

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/456**

**1985**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**WYWIAD «KULTURY» ZE ZBIGNIEWEM BUJAKIEM**

L. UNGER: **JIMMY REAGAN?**

A. MICHNIK: **WYBORY DO SEJMU PRL**

J. LITYŃSKI:

**NOWY RACJONALIZM CZY STARE ZŁUDZENIA**

## SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Obserwatorium</i> .....	3
Adam Michnik:	<i>Wybory do Sejmu PRL</i> .....	7
—	<i>Komunikaty</i> .....	14
Jan Lityński:	<i>Nowy racjonalizm czy stare złudzenia</i> .....	15
Stawomir Mrozek:	<i>Step</i> .....	33

### WIERSZE

Ryszard Krynicki:	<i>Wir. — Purgatorium i inne</i> .....	36
Jan Nepomucen Rzecki:	<i>Roca fixada zamek katarski</i> .....	38

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Redakcja „Kultury”:	<i>Wywiad ze Zbigniewem Bujakiem</i> ..	39
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	49
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	62
Zbigniew Byrski:	<i>Wojna gwiazdna</i> .....	67

### SĄSIEDZI

Adam Konar:	<i>Rozmowa z deztererem sowieckim</i> ....	70
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	76
Sprawozdawca:	<i>Zjazd „Słazaków”</i> .....	82
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	86

### KRAJ

Komitet Kultury Niezależnej i RKW REG. „Mazowsze”:	<i>Oświadczenie</i> .....	91
Adam Wrzeszcz:	<i>Otwartość</i> .....	92

### SPRAWY I TROSKI

Józef Garliński:	<i>List z Londynu (8)</i> .....	95
—	<i>Afera wokół Domu Polskiego Jana Pawła II w Rzymie</i> .....	99

### CI, CO ODESZLI

Stefania Kossowska:	<i>WAZ</i> .....	101
---------------------	------------------	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Mieczysław Chojnowski:	<i>Jeszcze o śmierci Witkacego</i> .....	107
------------------------	--	-----

### KSIĄŻKI

Stanisław Barańczak:	<i>Najmniej słów</i> .....	114
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Tragiczny polski western</i> .....	119
Janusz Poray-Biernacki:	<i>Poematy Bogumiła przyjaźnie ocenione</i> ..	122
Piotr Wandycz:	<i>Polska XX wieku</i> .....	125
Michał Heller:	<i>Zerwanie z Moskwą</i> .....	131
Edward Możejko:	<i>Bułgarskie reportaże</i> .....	133
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	136



—	<i>Miniaturowe Wydania Instytutu Literackiego</i> .....	139
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki: amerykańska, francuska, kanadyjska i norweska</i> .....	140



T. Brudzyński, L. Frencl, F. Kałuża, R. Krygier, J. Lewandowski, K. Ro- wiński, K. W. Stachowski, Nazwisko znane Redakcji, J. Surdykowski, P. Wan- dycz:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	151
--	--------------------------------	-----

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1985

INSTYTUT  LITERACKI

ZAWIADAMIAMY, ŻE W DNIU 25 PAŹDZIERNIKA BIEŻ. ROKU O GODZINIE 23-ej WSZYSTKIE FRANCUSKIE TELEFONY BĘDĄ 8-MIOCYFROWE. NASZ TELEFON BĘDZIE MIAŁ NUMER 39 62 19 04 (DAWNA CYFRA KIERUNKOWA „3” ZOSTAJE DOŁĄCZONA DO DAWNEGO NUMERU. TELEFONUJĄC Z ZAGRANICY TRZEBA NAKRĘCIĆ 33 (FRANCJA) A POTEŁ 39 62 19 04).

### WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Eva M. Buch, Libertyville, IL (USA), po raz 8-my — \$ 74,00	F. 614,20
F.H., (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. dr Eleonory Suwalskiej — \$ 10,00	F. 83,00
J. i A. Gombińscy, Londyn — dla uczczenia pamięci dr. St. Gombińskiego, w drugą rocznicę zgonu	F. 500,00
Dr Jacek Jędruch i Ewa Hoffman-Jędruchowa, Pittsburgh, PA (USA), po raz 10-ty — \$ 100,00	F. 830,00
Stanisław Komorski, Bazylea (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób mego Ojca, Andrzeja Komorskiego, żołnierza A.K. i więźnia UB — Fr.szw. 50,00	F. 185,00
Jadwiga Maurer, Lawrence, KS (USA) — dla uczczenia pamięci Barbary Toporskiej — \$ 50,00	F. 415,00
M.I., Michigan (USA) — \$ 600,00	F. 4.980,00
Iza de Neyman, Nicea — zamiast kwiatów na grób architekta Kazimierza Lichtensteina, pierwszego urbanisty w Oxfordzie, zmarłego 11 sierpnia br. w Oxfordzie	F. 300,00
Maria Orton, Rochester, MI (USA) — dla uczczenia pamięci Przyjaciół, Jana Brzozowskiego i Leopolda Tyrmanda — \$ 50,00	F. 415,00
Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci kolegi szkolnego Leopolda Tyrmanda — \$ 50,00	F. 415,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Wandy Podoskiej — \$ 50,00	F. 415,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 100,00	F. 830,00
Stanisław Remin, Essen (RFN) — DM 50,00	F. 152,50
Stodiek's Buchhandlung, Berlin, po raz 2-gi — DM 50,00	F. 152,50
Wojciech Zalewski, Calgary, Alta (Kanada)	F. 25,00
Z.B. z Lubania Śląskiego — \$ 5,00	F. 41,50
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 43-ci	F. 500,00
Anonimowo z Kuwaitu	F. 500,00
Beziemiennie, Paryż — zamiast kwiatów na grób gen. W. Jaruzelskiego	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

### WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Anonimowo z USA — na fundusz drukarski „Solidarności” w Polsce — \$ 36,00	F. 298,80
Eva M. Buch, Libertyville, IL (USA) — \$ 74,00	F. 614,20
Beziemiennie z Albuquerque, N.M. (USA) — \$ 8,00	F. 66,40
Beziemiennie z Bryan, TX (USA) — \$ 20,00	F. 166,00
Marion E. Donnenwirth i Józef Figa, Port Wayne, IN (USA) — \$ 50,00	F. 415,00
Helena Glauer, Bitburg (RFN)	F. 252,00
Reinhard i Magda Gnauck, Mainz (RFN) — zamiast kwiatów na grób śp. Barbary i Józefa Mackiewiczów — na „Solidarności” Walcząca	F. 1.000,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

## Obserwatorium

W maju generał Kiszczak przyrównał opozycję do agentury. W sierpniu generał Jaruzelski uznał „Solidarność” za przejaw obłędu. Między jednym przemówieniem a drugim zastrzono przepisy prawa karnego i prawa o wykroczeniach, uchwalono ustawę o szczególnej odpowiedzialności karnej i znowelizowano ustawę o szkolnictwie wyższym, likwidując autonomię uczelni, gdzie rządzić teraz będą pospołu instancje partyjne i administracja. Uchwalono również tak piękną ordynację wyborczą do Sejmu, że nawet ci, co wierzyli jeszcze — wbrew oczywistości — w możliwość wprowadzenia do tej instytucji jakichś elementów pluralizmu, powinni wreszcie porzucić ostatnie złudzenia. Ale na kogoś, kto chce się oszukiwać i być oszukiwany, żadne fakty i tak nie mają wpływu. Co się zaś tyczy pozostałych, to proces gdański — godne Związku Sowieckiego naigrawanie się z samego pojęcia sprawiedliwości — i fala aresztowań, które dotkliwie uderzyły w prasę i kulturę niezależną, są dla nich zdarzeniami bardziej znamiennymi niż ordynacja wyborcza, po której i tak niczego się nie spodziewali. Świadczą bowiem, jak wszystkie tu przytoczone, że myślą polityczną (?) władców PRL — zarówno mundurowych, jak i chodzących po cywilnemu — rządzi zasada: „kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam”. Przy czym, jak autorytatywnie wyjaśnili generałowie Kiszczak i Jaruzelski, kto nie jest z nimi, jest z konieczności albo agentem albo szaleńcem.

Kampanię wyborczą do Sejmu PRL prowadzi się w tym duchu i w tym stylu. Chociaż w PRL nie obowiązuje prawny przyms udziału w wyborach, władza robi wszystko, by wpoić w ogół przekonanie, jakoby wstrzymanie się od głosu było aktem wrogości wobec państwa, a tym samym — przestępstwem. Ideologicznym wsparciem tej propagandy strachu jest pseudo-patriotycz-

na retoryka odwołująca się głównie do twierdzenia, że PRL generała Jaruzelskiego jest jedynym możliwym w istniejących warunkach państwem polskim. Wniosek: kto występuje przeciw polityce generała, występuje przeciw Polsce, która bez niego zniknęłaby po prostu z mapy Europy albo została okrojona do rozmiarów Księstwa Warszawskiego. Tak oto wracamy znowu do strachu, tyle że nie o jednostkowy spokój, ale o istnienie zbiorowe. Albowiem strach i tylko strach ma zapewnić wysoką frekwencję wyborczą, którą władza będzie następnie mogła powoływać jako dowód poparcia, okazywanego jej rzekomo przez większość narodu. Argument ten był już używany na forum międzynarodowym po ostatnich wyborach do Rad Narodowych; mamy za sobą, głosili rzecznicy PRL, 75 % Polaków. Ale teraz potrzebny jest lepszy wynik, by można było stwierdzić, że opozycja traci wpływy i ogranicza się do garstki agentów i szaleńców.

Władza nie jest jednak całkiem pewna zwycięstwa. Nie wie, czy wyniki wyborów nie okażą się dla niej tak niekorzystne, że nie zdoła dofałszować ich do poziomu, który by mogła uznać za zadowalający. Niektórzy publicyści na etatach zapowiadają więc na wszelki wypadek, że absencja może być znaczną, co wszelako nie będzie miało ich zdaniem żadnej wymowy politycznej. Ktoś posunął się nawet do stwierdzenia, że nie miał takiej wymowy fakt, iż w wyborach do Rad Narodowych 25 % uprawnionych wstrzymało się od głosowania, gdyż byli to przeważnie chorzy. Sześć i pół miliona chorych — to obraz zdrowotności społeczeństwa polskiego gorszy od wszystkiego, co mówi na ten temat opozycja. Nie powinno to jednak dziwić w kraju, gdzie według generała Jaruzelskiego jest co najmniej tyleż obłąkanych.

W sytuacjach trudnych, gdy czeka ją ciężka przeprawa, władza PRL zwraca się zawsze z nadzieją na ratunek w stronę Kościoła. Naciski, wywierane, by doprowadzić do spotkania generała Jaruzelskiego z prymasem Glempem, okazały się skuteczne. Ale chociaż do spotkania doszło, nie przyniosło ono jednak władzy oczekiwanych korzyści politycznych, jak nie przyniosła ich wizyta ministra Olszowskiego w Watykanie. Toteż presję na Episkopat i na Stolicę Apostolską wywiera się nadal. Obecnie chodzi podobno o to, by papież przyjął przed wyborami generała Jaruzelskiego; zdjęcie generała w galowym mundurze chylącego głowę przez Ojcem Świętym — czyż można wyobrazić sobie piękniejszą ulotkę wyborczą? I czy coś wpłynęłoby lepiej na frekwencję niż udział w wyborach członków Episkopatu Polski? Mamy nadzieję, że nic podobnego nie nastąpi. Odnotowujemy jednak uporczywe pogłoski na temat ewentualnej przedwyborczej wizyty generała Jaruzelskiego w Watykanie, gdyż najlepszym dowodem niepewności władzy jest to właśnie, że szuka pomocy

Kościoła, który przecież od z górą roku otwarcie zwalcza, dążąc do zerwania jego więzi z kulturą niezależną i do ograniczenia działalności duszpasterskiej do najwęższej pojmowanych problemów wiary.

Skład przyszłego Sejmu nie zależy od wyborców. Posłowie będą mianowani przez władzę i ją tylko będą reprezentować. Wiele zależy jednak od tego, jak zostaną wybrani, tzn. od tego, jaki procent ogółu uprawnionych weźmie udział w wyborach. A właściwie — w referendum, bo władza nadała właśnie taki sens tej imprezie. Z jej punktu widzenia, ktokolwiek idzie głosować, głosuje na nią. Ktokolwiek wstrzymuje się od głosu, głosuje przeciw. Ale jeśli poziom absencji ma być miernikiem postawy społeczeństwa wobec władzy, to nie wiadomo jeszcze, czyim sukcesem zakończy się to referendum. Zapewne, w każdym przypadku władza zadba, by ogłosić, że większość wyborców poszła do urn; odpowiednio dobrane komisje dokonają wszelkich nieodzownych po temu manipulacji. Nie wiadomo jednak, jaką większość władza będzie sobie mogła przypisać przy zachowaniu choćby minimum wiarygodności. Oczywiście jest bowiem rzeczą, iż przy bardzo wysokiej absencji i dobrze zorganizowanej przez „Solidarność” obserwacji punktów wyborczych, większość ta będzie musiała być mniejsza — może nawet w sposób znaczący — od tej, która by władzy odpowiadała. Spowodowanie, by tak się właśnie stało powinno być w najbliższych tygodniach głównym celem wszystkich poczynań opozycji.

W tej sprawie nie ma rozbieżności. Wezwania do bojkotu wyborów powracają od kilku miesięcy na łamach prasy podziemnej. Wypowiedziały się też w tym duchu różne miarodajne instancje podziemnej „Solidarności” na czele z TTK. Zabrakło wszelako, jak dotąd, jednoznacznego wezwania Lecha Wałęsy, który poprzestał na oświadczeniu, że nie pójdzie głosować. Zabrakło też głosów intelektualistów i ludzi kultury niezależnej. Co równie niepokojące, dotychczasowe wezwania do bojkotu i wypowiedzi na temat wyborów zdają się zakładać, że wszyscy są przekonani o słuszności stanowiska opozycji. Ale tak nie jest. Ludzie mogą iść głosować powodowani strachem, zmęczeniem, zastarzałym nawykiem i przekonaniem, że cokolwiek zrobią, nie ma i tak żadnego znaczenia. Trzeba wytrwale tłumaczyć, że im skuteczniejszy bojkot, tym mniejsze indywidualne ryzyko. Że nikt nie jest prawnie zobowiązany do udziału w wyborach. Że dla terażniejszości i przyszłości Polski i Polaków nie jest obojętne, jak wypadnie to referendum: jeśli władza będzie mogła uznać je za swe bezwarunkowe zwycięstwo, to wszystkim będzie gorzej.

Największym wrogiem opozycji jest dziś jej własna bezzasadna wiara, że przytłaczająca większość narodu wie, co powinna zro-

bić w dniu wyborów i że zrobi to, co powinna. Wiara, która demobilizuje. Która sprawia, że mówi się nazbyt często w sposób przekonywujący tych zwłaszcza, którzy już i tak są przekonani, miast zwracać się do tych przede wszystkim, których dopiero trzeba przekonać. Ten sam zarzut stosuje się również do wielu audycji Radia Wolna Europa.

Opozycja nie może wygrać wyborów. Nie ma co liczyć na to, by przytłaczająca większość wzięła udział w bojkocie. Wystarczy jednak, że absencja będzie dość wysoka, by dla władzy, legitymującej się jednomyślnym rzekomo poparciem narodu wybory były przegrane.

REDAKCJA

## Wybory do sejmu PRL

(FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)

Wypowiadając się na temat zgłoszonego projektu ordynacji wyborczej, prof. Stanisław Stomma zauważył:

„Sądzę, że przepisy ordynacji wyborczej, które przedstawione zostały do dyskusji, należy ocenić w kontekście naszej rzeczywistości społeczno-politycznej, a nie same w sobie. Musimy je rozważać uwzględniając warunki, w jakich żyjemy, dlatego moje uwagi czy propozycje nie zmiierają do tego, czego byśmy chcieli, ale do tego co jest możliwe i słuszne. Chciałbym doprecyzować wyraz słuszne. Słuszne to znaczy najlepsze z możliwych”.

Słowa znakomitego publicysty, także znanego uczonego i polityka, wprowadzają nas w centrum ważnego sporu. Sporu o potrzebę porozumień małych i cząstkowych, zawieranych w sytuacji, gdy „wielkie porozumienie” — między rządem a „Solidarnością” — nie jest możliwe. Otóż teza, że „małe” porozumienia są potrzebne, kryć może w sobie zarówno realistyczny program działania na rzecz ewolucyjnych przeobrażeń, jak i postulat wpisania się w totalitarny system instytucji politycznych oraz rezygnację z oporu.

Rozważmy: współistnienie Polaków z systemem totalitarnym jest realnym faktem. Tego nikt nie jest w stanie ani zadekretować, ani przekreślić. Kompromis z totalitarnymi realiami jest udziałem każdego, kto chce jako tako normalnie żyć. Jest — w większym jeszcze stopniu — udziałem legalnych instytucji: Kościoła i towarzystw naukowych, klubów inteligencji katolickiej i związków twórczych, redakcji, samorządów pracowniczych, senatów uniwersyteckich. Instytucja która chce funkcjonować, musi zawierać swe „małe” porozumienia.

To przyjmujemy za oczywistość. Pytamy jednak o płaconą cenę i rozważamy, czy skórka jest warta wyprawki.

Jeśli np. demokratycznie wybrany senat wyższej uczelni ma nakaz relegowania wskazanych przez aparat bezpieczeństwa niepokornych studentów, to twierdzimy, że takiej ceny płacić się nie godzi. Dla zachowania norm moralnych środowiska akademickiego, lepiej doprowadzić do sytuacji, w której poczynania takie będzie przeprowadzać rektor komisaryczny. Jednak strefa manewru jest dość szeroka, zaś małe kompromisy są trwałym elementem funkcjonowania samorządnego uniwersytetu. Podobnie jest wszędzie tam, gdzie można mówić o istnieniu autentycznej samorządności. Rzecz w tym wszakże, iż żaden z tych codziennych kompromisów nie zastępuje — i zastąpić nie może — realnego porozumienia między władzą a społeczeństwem.

A przecież na tym polega idea naszych generałów. W ich ujęciu, te drobne ustępstwa na rzecz społecznych aspiracji mają służyć uwiarygodnieniu totalitarnych pseudo-instytucji życia publicznego (PRON, neozwiązki), których afirmacja będzie zwolna stawać się warunkiem jakichkolwiek ustępstw. Bowiem generałowie nie mają wątpliwości co do realiów: „to, że organizmy te są bojkotowane, to oczywiste” — słusznie napisał (w kwietniu 1985 roku) partyjny publicysta.

Chwila jest jednak szczególna: idzie o złamanie blokady międzynarodowej i narzucenie normalizacji na własnych warunkach; idzie też o złamanie społecznego oporu. W takiej chwili generałom zależy na zachowaniu pozorów. Nie jest przeto wykluczone, że zastanowią się nad niedawnymi (z kwietnia 1985 roku) uwagami prof. Reykowskiego, który stwierdził, że znaczna część inteligencji nie akceptuje obecnych rozwiązań instytucjonalnych (PRON etc.) i postulował szukanie nowych, trafiających „do politycznej wyobraźni”. Zarazem prof. Reykowski odrzucił — jako nierealistyczne — postulaty pluralizmu politycznego. Twierdzi on, że obecny „niepluralizm” nie jest kaprysem rządzących, lecz wynikiem stosowania rozwiązań, które „są wyrazem przystosowania do wymagań, jakie wynikają z potrzeb reprezentowanych przez nich warstw i klas i do okoliczności historycznych”.

Ostatnie z tych sformułowań jest bez wątpienia prawdziwe. Nigdy w historii likwidacja pluralizmu politycznego nie była kaprysem rządzącej elity. Zawsze był to wyraz „przystosowania” do wymagań „klasowych” i do „okoliczności historycznych”. Tak było w faszystowskich Włoszech i w hitlerowskich Niemczech, w bolszewickiej Rosji i frankistowskiej Hiszpanii, w pinochetowskim Chile i na castrowskiej Kubie. Rozwijając ten temat byłoby powtarzaniem oczywistości.

Wszelako warto zastanowić się — szkoda, że prof. Reykowski

z tego zrezygnował — nad okolicznościami, w których znów: niezależnie od kaprysu rządzących, a zależnie od wymagań warstw społecznych i okoliczności historycznych, pluralizm powraca na scenę życia publicznego jako tego życia niezbywalna reguła. Otóż ryzykują opinię — równie mało odkrywczą, jak stwierdzenie prof. Reykowskiego — że pluralizm zastępuje totalitarne dyktatury wtedy, gdy w obozie władzy dochodzi do rozłamu i zwalczające się grupy szukają oparcia w społeczeństwie. Inaczej może on być wywalczony jedynie naciskiem sił zewnętrznych w stosunku do totalitarnych struktur. Dodam jeszcze, że „Solidarność” — wychodząc z tych założeń — buduje w totalitarnym państwie pluralistyczne społeczeństwo i pragnie tą drogą wywalczyć porozumienie, którego istotą byłoby uznanie instytucjonalne tego pluralizmu.

Strategia taka nie wyklucza wszakże porozumień cząstkowych. Przeciwnie: zakłada działania w różnych sferach i nie odrzuca totalnie żadnej z form dialogu z władzą. Kiedy jednak zastanawiamy się nad propozycją taktyki „małych kroków”, musimy zawsze pytać: ku czemu te „małe kroki” mają zmierzać?

Nie zadowolili nas odpowiedzi, że ku „normalizacji” czy ku „wyjściu z kryzysu” bądź też „ku ratowaniu Polski”. Są to ogólniki, z których niewiele wynika. Twierdzimy bowiem: totalitarna koncepcja normalizacji ma za swój cel wymuszenie rezygnacji narodu z dążenia do podmiotowości. Uważamy tę koncepcję za przeciwną polskim aspiracjom i będziemy demaskować jej antynarodowe ostrze. Jesteśmy zdania, że totalitarny system sprawowania władzy dawno już wyczerpał w Polsce swe możliwości rozwojowe. Generałowie, restaurując ten system, nie przezwyciężą kryzysu, lecz uczynią go permanentnym.

Korzenie kryzysu tkwią w relacjach między aparatem władzy a społeczeństwem. Nie chodzi tedy o „rozwiązania, które trafią do wyobraźni”, lecz o rozwiązania gwarantujące autentyczną podmiotowość. Nie jest to rozróżnienie o charakterze formalnym. Mówiąc o „rozwiązaniach, które trafią do wyobraźni” informujemy rządzących i rządzonych, iż kierunek dokonujących się przeobrażeń jest prawidłowy, zaś ulepszenia wymagają tylko pewne socjotechniki realizowania celów aparatu władzy. Otóż nie. Właśnie kierunek polityki generałów — wyznaczony przez konsekwentną destrukcję podmiotowości i postępujący odwrót od demokratycznych reform — przesądza o istnieniu nieusuwalnych napięć społecznych.

Zgadzam się z prof. Reykowskim, że „okoliczności historyczne” (jeśli tym eufemizmem określa się stan uzależnienia od sowieckich towarzyszy) przekreślają nadzieję na natychmiastowe przekształcenie Polski w kraj parlamentarnej demokracji. Pow-

tarzam jednak: walka toczy się teraz o kierunek zmian, a nie o ich tempo.

Totalitarny aparat nie chce zmian w kierunku poszerzenia — choćby stopniowego — zakresu swobód obywatelskich, podmiotowości i pluralizmu. Nasi generałowie wciąż zdają się wierzyć, że przyszłość świata ludzkiego należy do totalitarnego komunizmu. Dlatego perswazjami demokracji osiągnąć niepodobna — trzeba ją wywalczyć.

Nie jest to postulat księżycowy. Wierząc w swoje totalitarne miraż, komuniści — kiedy muszą — bywają jednak realistami. Dowody tego nie raz dawali sowieccy przywódcy w pertraktacjach z Amerykanami, gdy porzucali internacjonalistyczne frazesy na rzecz pragmatycznego kompromisu. Dowody realizmu dała też — przypomnijmy — ekipa Jaruzelskiego, rezygnując — choć nigdy ostatecznie i doktrynalnie — z prób terroru typu stalinowskiego. Dlatego też — nie wyrzekając się działań na rzecz budowy podmiotowego i pluralistycznego społeczeństwa — nie odrzucamy żadnych rozwiązań i dróg pośrednich. Byle tylko były to autentyczne drogi wiodące do autentycznych porozumień.

W obecnej sytuacji nie sposób wskazać wszystkim działaczom związkowym jednej drogi i jednej postawy. Fakt, że umieli oni podjąć działania tak różnorodne świadczy o dużej dojrzałości Związku. Droga cząstkowych porozumień może być jedną z form działania „Solidarności” wpisane w plan szerszej strategii, a nie poczynania osób i grup skierowane faktycznie przeciw podziemnym strukturom Związku.

Posłużmy się przykładem wyborów do Sejmu. Ordynacja wyborcza nie różni się niczym od poprzedniej, tylekroć wyszydzonej i krytykowanej. Jej istotą jest redukcja obywatela do bezmyślnego przedmiotu wrzucającego kartkę do skrzynki. Nie są to więc żadne wybory, lecz — jak słusznie poprawiał mnie zawsze Bogdan Borusewicz — głosowanie. Udział w takiej komedii uwłacza godności rozumnego człowieka i oczywiście nie zostanie zaaprobowany przez „Solidarność”. Generałowie mogą naturalnie sfałszować wyniki głosowania — jak to jest w ich zwyczaju — ale postępując w ten sposób nie uzyskają przecież społecznego mandatu. Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

Powtórzmy: zgodzić się wypada z prof. Reykowskim, że postulat wolnych, demokratycznych, pięcioprzymiotnikowych wyborów do Sejmu nie jest dziś w Polsce realny. Jeśli „Solidarność” wciąż formułuje ten postulat, to nie z naiwności to wynika, lecz z przeświadczenia, że prawdy banalne — by banalnymi pozostały — muszą być wciąż na nowo artykułowane i powtarzane. Jesteśmy jednak w pełni świadomi, że w ramach totalitarnych reguł

gry nie są możliwe takie wybory do Sejmu, które z pewnością dowiodłyby, iż komuniści nie dysponują poparciem społeczeństwa. Żadna totalitarna dyktatura nie oddała władzy dlatego, że przegrała wybory — o tym też pamiętamy. Nie formułujemy tedy postulatu, by komunistów odsunąć od władzy, bowiem byłoby to hasło do totalnej konfrontacji, a nie płaszczyzna kompromisu. Mówiąc nawiasem: nie da się wykluczyć — realistycznie rzecz biorąc — że w zmienionej sytuacji i takie żądanie zostanie przez naród sformułowane. Komuniści nie mają żadnego boskiego mandatu na to, by rządzić Polakami do końca świata.

Dzisiaj wszelako postulat taki mógłby oznaczać konfrontację z militarną potęgą Wielkiego Brata. Czy tedy w cieniu tej potęgi jest miejsce na antytotalitarne, choć cząstkowe kompromisy? Odpowiadamy na to pytanie twierdząco. Także w kontekście wyborów do Sejmu.

Jak było dotąd? Tradycyjnym sposobem komunistów na uzyskiwanie wiarygodności jest wpisywanie na jedną listę do głosowania również pewnych osób obdarzonych publicznym szacunkiem i zaufaniem. Zapewne i dziś mają oni takie pomysły, co dowodzi jedynie beznadziejnej anachroniczności ich rozumowania. Jednak droga do kompromisu nie musi być na zawsze zamknięta. Wyjściem mogłoby być rozwiązanie umożliwiający społeczeństwu autentyczny wybór do Sejmu choćby 30 % spośród deputowanych. Jednak tych samych 30 % wpisanych na jedną listę obok Siwaka i Urbana spowodować może tylko tyle, że osoby te utracą swój dotychczasowy autorytet.

Inaczej mówiąc: realną drogą do kompromisu jest poszerzenie sfer podmiotowości, a nie kupowanie głosów i nazwisk za cenę kilku czy kilkunastu mandatów. Tak brzmi mój komentarz do cytowanych na wstępie uwag prof. Stanisława Stommy. Komuniści lubią przypominać styczeń 1957 roku. Wtedy to naród polski zaakceptował zasadę jednej listy; wtedy świeżo uwolniony z Komańczy Kardynał Wyszyński z ambony, a Czesław Miłosz z emigracji wezwali do udziału w głosowaniu i do udzielenia poparcia Władysławowi Gomułce. Jednak wtedy unosiły się nad Polską dymy płonącego Budapesztu, zaś Gomułka był symbolem nadziei na reformy wolnościowe. Można zastanawiać się, czy Kardynał i Miłosz postąpili słusznie, ale nie wolno abstrahować od sytuacji, która podyktowała im takie właśnie kroki.

Dzisiaj jest inaczej. Gdyby nawet Prymas Polski i Czesław Miłosz — co jest skądinąd nader mało prawdopodobne — wezwali do udziału w głosowaniu, to można wątpić, by Polacy ich usłuchali.

Prezentowany bywa wszakże i inny punkt widzenia. Zwolennikami „małych porozumień” są także pewni ludzie, którzy w

okresie 1980-1981 deklarowali swe poparcie dla „Solidarności”. Redakcja *Krytyki* określiła ich skrótowo mianem „nowych realistów”.

„Nowi realisci” są zdania, że „Solidarność” przegrała ostatecznie i na zawsze, a wraz z nią szansa na „wielkie porozumienie” i realną podmiotowość. Są tedy gotowi przyjąć płaszczyzną proponowaną przez generałów i wejść do Sejmu na zasadzie odgórnej nominacji. Powiadają: trzeba być wszędzie obecnym i ratować to, co jest możliwe do uratowania. Uważają taki wybór za „słuszny, to znaczy najlepszy z możliwych”.

Choć nie podzielam tego punktu widzenia, najdalszy jestem od przypisywania „nowym realistom” działania z niskich pobudek. Jeśli rozum nakazuje mi określić ich stanowisko jako kolaborancką ofertę pod adresem generałów, to przecież pamięć wciąż odtwarza inne scenariusze. Pamięć przywodzi na myśl wystąpienia posłów w Sejmie — poprzednich i obecnych kadencji — wystąpienia, które odegrały ważną i zdecydowanie pozytywną rolę.

Sprawa jest złożona. Dość wspomnieć interpelację poselską „Znaku” z marca 1968 roku czy — stosunkowo świeżej daty — wystąpienie posłów w sprawie więźniów politycznych (na zawsze zachowamy w pamięci piękną i szlachetną mowę posła Romualda Bukowskiego), w sprawie cenzury czy przeciw delegalizacji „Solidarności”, by zdać sobie sprawę, jak trudno tu o jednoznaczny osąd.

Bowiem z szacunku dla postawy niektórych posłów nie może wynikać aproba dla ich decyzji z początku 1980 roku, gdy z rąk Gierka i Babiucha przyjmowali poselskie nominacje. Jednak o ich godnym posłowaniu wciąż pamiętać należy, gdyż — być może — ten właśnie model obecności w Sejmie mają na celu „nowi realisci”.

Życie jest bogatsze od politycznych doktryn i spekulacji. Z perspektywy „Solidarności” udział w Sejmie na warunkach generalskich jest nie do przyjęcia. Także historia Koła Poselskiego „Znak” jest wymownym dowodem, że zawieranie paktów na totalitarnej płaszczyźnie jest wkroczeniem na drogę wiodącą od kompromisów do kompromitacji. „Solidarność” odrzuca przeto atrapę porozumienia. Jej istotą jest formuła Jaruzelskiego: „nie pytamy nikogo, skąd przychodzi”. Drugi człon tej formuły: „jeśli chce przyjąć nasze totalitarne reguły gry” — generał pozostawił inteligencji swych słuchaczy.

Nie negujemy, że w tej materii generał Jaruzelski dba o pluralizm: każdy może go publicznie wychwalać. Mogą to czynić „prawdziwi komuniści” w rodzaju Siwaka i faszyci spod znaku Poręby, miłośnicy Piłsudskiego i wielbiciele Dmowskiego, konserwatyści katolicy (jak Aleksander Bocheński) i katolicy mo-

raliści (jak np. prof. Andrzej Grzegorzczak), wierzący i niewierzący, partyjni i bezpartyjni, harcerze i komsomolcy, panny i rozwódki, kolaboranci wszystkich profesji i wyznań. Generałowie chętnie rozszerzyliby tę listę o prof. Stommę, o Andrzeja Micewskiego, a może i o świeżo nawróconego na „nowy realizm” Marcina Króla. Wierzymy, że jest to zupełnie niemożliwe.

Nie odmawiamy dobrej woli nikomu, kto sądzi inaczej. Tych, którzy zdecydują się przyjąć generalską nominację i zająć miejsce na poselskich ławach, będziemy sprawiedliwie i rzetelnie osądzać na podstawie ich słów i uczynków.

Jeśli wszakże nam, ludziom „Solidarności”, zaproponują w tym ogrodzie zoologicznym własną klatkę czy osobny wybieg, to odpowiemy ze spokojnym przekonaniem: bawcie się sami.



I to już koniec tych uwag o kompromisie politycznym i polityce kompromisu. Chwilowo okoliczności odwołują mnie do innych zajęć... Jutro zaczyna się proces. Komu ławy poselskie, komu ława oskarżonych...

Wolę wszakże dzielić ławę oskarżonych z Bogdanem Lisem i Władkiem Frasyniukiem, niż ławę poselską z Rakowskim i Siwakiem.

Takie czasy...

Pisałem w więzieniu śledczym  
Gdańsk, ul. Kurkowa 12

Adam MICHNIK



## KOMUNIKATY

37 MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI  
FRANKFURT 9-14 PAŹDZIERNIK 1985

KULTURA bierze w nich udział po raz czwarty prezentując swoje nowości wydawnicze.

STOISKO KULTURY MIEŚCI SIĘ W HALI Nr 4,  
I-sze piętro. Numer STOISKA 916, rząd „L”.

REDAKCJA KULTURY POSZUKUJE NASTĘPUJĄCYCH  
WYDAWNICTW:

*Modlitewnik dla grekokatolików*, wydany w Jerozolimie w 1941 roku przez Wydział Propagandy i Prasy Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie.

Zygmunt Turkiewicz: *Monte Cassino*. Album. Rzym 1944. Wyd. Wyd. Propagandy i Prasy 2-go Korpusu.

*Telegramy*. Dziennik wydawany w Równym ok. 10 września 1939 roku. Ukazały się trzy numery.



Redakcja czasopisma *POGLĄD* (Postfach 62 02 24, 1000 BERLIN 62) ogłosiła Konkurs na temat „Człowiek Zachodu w oczach nowej emigracji”. Forma dowolna: opowiadanie, esej, fragment dziennika.

Prace o objętości do 20 stron znormalizowanego maszynopisu, opatrzone godłem, należy przysyłać na adres Redakcji *Poglądu* do 31 grudnia 1985.

Redakcja przeznaczona na nagrody DM 1.500,00 zastrzegając sobie prawo dowolnego podziału tej sumy.

Najlepsze prace zostaną opublikowane w *Poglądzie*.

## Nowy nacjonalizm czy stare złudzenia

Z różnych stron dobiega wołanie o myślenie polityczne. Żądają go najbardziej radykalne kręgi podziemia, mówią o nim publicyści wywodzący się z grup programowo umiarkowanych. Te zasadniczo różne sposoby widzenia rzeczywistości łączy coś więcej niż czysto werbalne podobieństwo. Wspólne jest im mianowicie przekonanie, że trzeba przestać się łudzić. Solidarność to sprawa przebrzmiała — zdają się mówić — trzeba się pozbyć wiązanych z nią nadziei. Szanse wyjścia z impasu stworzy jedynie nowa, oparta o realistyczną analizę faktów, bezemocjonalna myśl polityczna. Realistyczne polityczne myślenie ma więc stać się zarówno punktem wyjścia, jak i drogą rozwiązywania problemów.

Dla radykałów porażka 13 grudnia 1981 roku jest wynikiem niepodjęcia zasadniczej walki z komunistami, dla umiarkowanych przeciwnie — dowodem na to, że ruch Solidarności poszedł w swych dążeniach za daleko. Diametralnie różne wnioski wyciągane z podobnych założeń metodologicznych podważają realistyczne podejście jednych, nie stając się bynajmniej dowodem na realizm drugich.

Reprezentanci koncepcji radykalnej wzywają do walki o niepodległość, przynajmniej zaś do podjęcia przygotowań i czujności w obliczu zbliżającej się decydującej rozgrywki. Wszelkie kontakty z władzą komunistyczną graniczą ich zdaniem ze zdradą narodową, wysiłki mające na celu poprawę codziennego bytu są działaniami pozornymi, jeżeli nie wręcz szkodliwymi, odwracającymi uwagę od celu zasadniczego. Związek Sowiecki jawi się tu jako niezdolny do obrony swych interesów „papierowy tygrys”.

*Neorealistów koncepcja kompromisu*

Dla zwolenników działań umiarkowanych rozumowanie takie jest „świadectwem ucieczki od historii i rezygnacją z myślenia”, dyskusja zaś z postawą radykalną „staje się na gruncie racjonalnym niemożliwa” (Andrzej Celiński, „Wokół czego dialog?” — *Krytyka* nr 18, str. 182, dalej A.C.). Realizm umiarkowanych zasadza się na przekonaniu, że istniejący obecnie układ międzynarodowy jest na tyle trwały, iż myślenie o jego zmianie staje się czystą utopią. Władza komunistyczna, choć narzucona, jest koniecznością. Rozwiązań szukać należy więc w „nowym samookreśleniu partnerów postulowanej umowy społecznej. Przede wszystkim — w odejściu od stereotypu, który wyobcowaną władzę przeciwstawia zjednoczonemu na zasadzie negacji społeczeństwu” (Grupa Publicystów Politycznych, *Wystąpienie pierwsze*, j.w., str. 165, dalej GPP). Spotyka się też, choć rzadko, próby połączenia myślenia radykalnego z postulatem ugody narodowej. I tak ogłoszony w 1983 roku Program Bieżący *Głosu* po określeniu własnych zasad polityki polskiej jako jedynej konsekwentnie narodowej i niepodległościowej, wysuwa program sojuszu z Wojskiem, wspartym o siłę Kościoła, zapominając mimochodem, że Kościół nie będzie nigdy odgrywał roli politycznego taranu, zaś dowództwo armii swe rozumienie interesu narodowego określiło już dostatecznie precyzyjnie 13 grudnia 1981.

Podkreślić trzeba, że cytowane już wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych, jak również artykuł A. Celińskiego wolne są od tego typu dziwołagów. Przeciwnie, uderza w nich powaga, nieobecność intelektualnego kuglarstwa, jasne wykładanie racji, a w przypadku GPP dodatkowo próba ustawienia się ponad istniejącymi podziałami. Publicyści polityczni pragną ponadto odciąć się od sporów o przeszłość i tworzyć pozaideologiczny program na dzień dzisiejszy. „Trzeba abstrahując od wszelkich podziałów i antagonizmów, rozważyć na chłodno, ale ze świadomością dramatycznego stanu kraju, możliwości i warunki zmiany” stwierdzają w pisany w marcu 1984 roku *Wystąpieniu* pierwszym. (Dwa następne powstały w odstępach miesięcznych. Wszystkie zostały złożone w redakcji *Tygodnika Powszechnego*). Wyjście z dramatycznej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska jest, według nich, możliwe jedynie poprzez porozumienie polityczne z władzami. Wystąpienia GPP poświęcone są głównie badaniom warunków tego porozumienia. Umiar społeczeństwa, pokojowy charakter ruchu obywatelskiego umożliwił „miękkie przyjęcie ciosu”, osłabił brutalność rozwiązania siłowego, jakim było

wprowadzenie stanu wojennego. Jest też nadzieją na przyszłość. Podziemie przejęło bowiem pokojowe nastawienie ruchu, społeczeństwo zaś, choć — co autorzy tekstów podkreślają wielokrotnie — zróżnicowane i różnorodne, „jest w stanie wznieść się ponad uprzedzenia i jakże zrozumiałe urazy” (GPP-3, str. 174) i przyjąć rozwiązania kompromisowe. Jako dodatkowy argument przywołują autorzy wystąpienia postawy z pierwszych lat powojennych, kiedy zdecydowana większość społeczeństwa była gotowa do „realistycznej oceny politycznych wyników ostatniej wojny” (GPP-3, str. 171). Mamy więc do czynienia z jasną koncepcją kompromisu uwzględniającego interes wszystkich odłamów polskiego społeczeństwa.

*Propozycja dla władzy*

Brak jednak jasności w kwestii kto wie czy nie najistotniejszej — jaki musiałby być mechanizm zmiany obecnego konfliktu w przyszłą współpracę. Ponieważ ze strony społeczeństwa warunki konieczne zostały już spełnione, dla GPP jest oczywiste, że ruch należy do władzy. Ona to winna zainicjować ugodę: „Pierwszy krok w kierunku przełamania dzisiejszego impasu jest obowiązkiem czynnika rządzącego. Bez wiarygodnych posunięć rządowych nie ma mowy o przełamaniu nieufności społecznej” (GPP-3, str. 174). Władza winna więc uświadomić sobie, że pluralizm społeczny stał się faktem, zrezygnować z doktrynalnych dążeń do reprezentowania całości narodowego interesu, z utożsamiania się z państwem. Poprawa stosunków gospodarczych i politycznych wiąże się więc ściśle z dobrą wolą czynnika rządzącego.

Warto tu zauważyć, że publicyści polityczni nie przypadkiem unikają takich określeń, jak „komuniści”, „PZPR” czy „władza komunistyczna”, zastępując je neutralnie i łagodnie brzmiącymi — „warstwa rządząca”, „czynnik rządzący”. Dyplomatyczne te sformułowania są wyrazem gotowości do porozumienia, jak również próbą odideologizowania konfliktu, sprowadzenia go do gry różnorodnych interesów. Jakże daleko odeszliśmy od czasów, w których komuniści dumnie obnosili swoje miano.

Propozycja GPP jest skierowana do dwóch stron konfliktu. Społeczeństwo bowiem, w zamian za umiarkowanie i rozsądek rządzących, nie może kwestionować ich panowania. „Trzeba myśleć — postuluje GPP — nie o władzy innej, lecz o władzy inaczej sprawowanej” (GPP-2, str. 168). Punktem wyjścia ma być praca koncepcyjna, opis „warunków i możliwości zmian”. Nawet wbrew władzy, lecz zgodnie z interesami narodowymi należy

stworzyć „miejsce, gdzie krystalizują się nowe idee, miejsce dyskusji o sprawach Polski i świata” (GPP-1, str. 166).

Tkwi w tym istotna słabość propozycji. Doceniając rolę działalności intelektualnej i ideotwórczej, nie sposób nie zauważyć, jak mało praktyczny może się okazać tak tworzony program zmian. Zbyt duży jest czynnik nieprzewidywalności, zbyt silny opór rzeczywistości, aby możliwa była realizacja propozycji opracowanych przez najtęższe nawet głowy. I to w sytuacji, gdy rządzący — co słusznie zauważają autorzy — „odrzucają, jak na razie, jakiegokolwiek próby kompromisu, który by przekraczał granice zwyczajnego posłuszeństwa” (GPP-1, str. 164), zaś nadzędnymi interesami narodowymi manipulują, używając ich jako szantażu wobec społeczeństwa (por. GPP-3, str. 172).

### *Złudzenia mimo braku złudzeń*

Wiara, że władza zmieni metodę rządzenia nie jest niczym uzasadniona. Rozwiązanie siłowe odniosło sukces, pozwoliło komunistom odzyskać poczucie „bezpieczeństwa politycznego i społecznego”. Wpadli w miły stan samouspokojenia i bezwładu. Jediną reakcją na informacje niepomyślne jest wzmacnianie działań represyjnych i powoływanie coraz to nowych instytucji kontrolnych. Wystarczy przeczytać kolejne oceny sytuacji gospodarczej, czy to opracowane przez instytucje rządowe, czy też przez usługowych publicystów, by dostrzec, że rządzący są z siebie zadowoleni. Winę ponoszą zawsze czynniki zewnętrzne — może to być Reagan i CIA, antysocjalistyczna opozycja, pasożyty, rozleniwione społeczeństwo, nieuczciwi urzędnicy — wszyscy i każdy, tylko nie czyniący nieustanne wysiłki rząd i mająca zawsze historyczną rację partia.

Z tych faktów publicyści polityczni zdają sobie sprawę. Nie proponują więc negocjacji, mówią wręcz o „porzuceniu złudzenia wspólnego stołu”, proponując w zamian jednostronne naciski w celu wywalczenia „płaszczyzny minimum” (GPP-2, str. 168). Niestety nie pokazują, w jaki sposób wywierać presję, jakie warunki muszą być spełnione, by była ona skuteczna. Pozostajemy w sferze słów.

### *Zeby przerwać błędne koło*

Zamysłem GPP jest poszukiwanie „nowej racjonalności”: „Po 1944 roku człowiek, który chciał uczestniczyć w życiu pu-

blicznym, miał — oprócz postawy czysto serwilistycznej — kilka racjonalnych dróg do wyboru. Często były one trudne, ryzykowne, a szanse powodzenia nikłe, lecz były to wyjścia racjonalne”. W słowach tych kryje się tęsknota do czasów, kiedy to w uśpio-nym społeczeństwie cenna była każda samodzielna inicjatywa. Była to jednak samodzielność skazana na łaskę i niełaskę władz. Ówczesny racjonalizm, z perspektywy katastrofy gospodarczej, przed którą nie uchronił pozorny spokój społeczny, nie jest już dziś przekonywujący. Wiara, że kredyt warunkowego zaufania, udzielany kolejnym ekipom, zaowocuje gotowością władz do uwzględniania postulatów społecznych i częściowym choćby dopuszczeniem przedstawicieli różnych grup do wpływu na decyzje, załamała się zarówno po 1956 roku, jak i po roku 1970.

Mówiąc o całkowitym anachronizmie metod sprawowania władzy, publicyści polityczni zauważają, że obecnie rządzący koncentruje się na obronie swej funkcji rządzenia”. Czyż kiedykolwiek było inaczej? Zmieniała się co prawda taktyka działania, przychodziły nowe ekipy nieodmiennie obiecujące, że tym razem zło się nie powtórzy. Cel strategiczny pozostawał ten sam — komuniści nigdy nie zrezygnowali z dążenia do nieograniczonego panowania.

Nie znaczy to, że rządzący powodowali się zawsze złą wolą i całkowitym brakiem zainteresowania dla sytuacji rządzonych, lecz dobre chęci były zawsze marginesem komunistycznych pragnień, zaś mechanizm stworzonego przez nich systemu nie pozwała na eksperyment w postaci trwałej akceptacji niezależnych społecznych reprezentacji.

Mówienie o anachronicznych rządach jest jedynie łagodnym eufemizmem. Mamy do czynienia z czystym absurdem i reakcją Stefana Kisielewskiego (por. *Tygodnik Powszechny* nr 51/84), który po przeczytaniu niewinnej z pozoru informacji w gazecie rządowej zaczyna wyć i gryźć zdaje się być jedyną możliwą dla człowieka o zdrowych zmysłach. Nie jest to oczywiście reakcja racjonalna. Natomiast reakcją racjonalną była zmiana stanu świadomości społecznej w roku 1980 i wynikająca z niej po roku 1981 masowa odmowa współpracy z władzą, której absurdalna doktryna z cykliczną regularnością doprowadza kraj do krawędzi upadku.

Autorzy wystąpień pragną przekonać rządzących o konieczności zmiany obecnego układu, usiłując ich jednocześnie zapewnić, iż nie zagrozi to ich pozycji. Chcą też uświadomić obu stronom, że łudzą się głęboko, sądząc, „że czynnik rządzący przetrzyma opór społeczeństwa, lub przeciwnie — że społeczeństwo przetrzyma mimo braku przemian w gospodarce” (GPP-2, str. 169).

Twierdzenie, jakże słuszne: — „Jeśli przetrzymamy, to jako naród skarłały, naród wyrzucony poza nawias Europy, naród w chronicznie chorym państwie” — może być niewątpliwie ostrzeżeniem dla społeczeństwa. Lecz nadzieja, że stanie się dzwonkiem alarmowym dla tych, którzy „jakoś się wyżywią” wydaje się pozbawiona podstaw. Paradoksalnie, pewne szanse istniały jeszcze po 13 grudnia, kiedy to komuniści, dławiąc ruch społeczny, udowodnili, że posiadają dostateczną siłę, aby samodzielnie, choć w cieniu szczerków sowieckich, rozbić zbyt przekonaną o własnej mocy „Solidarność”. Nadzieje na rozsądek władz wyrażały m.in. kompromisowe propozycje Rady Prymasowskiej. Odpowiedzią było całkowite milczenie, a najpoważniejszą, choć jakże względną korzyścią, stało się powszechne niemal przekonanie o bezskuteczności działań na rzecz porozumienia.

„Nowa racjonalność” jest dramatycznym wołaniem o przerwanie błędnego koła. Warunkiem wyjściowym ma być „uwzględnienie dwóch zasadniczych faktów naszej rzeczywistości politycznej: — nie jesteśmy państwem suwerennym; — nie jesteśmy i być nie możemy w realnej perspektywie państwem demokratycznym” (GPP-2, str. 167). Zgoda społeczeństwa na trwałość tego układu ma być czynnikiem, który zabezpieczając interesy rządzących doprowadzi do powstania między rządzącymi a rządzonymi podstawowej „sfery zgody”, obejmującej prawo, administrację i gospodarkę. Inne dziedziny pozostaną w „sferze sporu”, której istnienie nie może i nie będzie, jak zapewnia GPP, naruszać podstawowych interesów warstwy rządzącej. Dalej już rozwiązanie rysuje się samo. Prawo będzie przestrzegane, administracja zacnie sprawnie zarządzać, gospodarka ruszy wreszcie z martwego punktu, wzmocni się pozycja Polski na arenie międzynarodowej, przy czym — podkreślają publicyści — zmiany te nie powinny budzić niepokoju ZSSR. Fakt bowiem, że warstwa rządząca będzie „w znacznym stopniu autonomiczna w swych decyzjach”, zaś inne warstwy społeczne będą miały możliwość artykulacji swych dążeń, „nie jest w żadnym sensie sprzeczny z interesem Związku Sowieckiego” (GPP-1, str. 166). Więcej nawet, usamodzielnienie czynnika rządzącego, pozostającego zarazem gwarantem sojuszu z ZSSR, czyni ów sojusz autentycznym i akceptowanym przez znaczną część społeczeństwa.

#### Analogia pierwsza: „Solidarność”, PSL

Nasuwają się tu analogie historyczne. Oto kolejna próba rozwiązania dylematu, wobec którego okazało się bezradne za-

równy PSL ze Stanisławem Mikołajczykiem, jak i „Solidarność” z Lechem Wałęsą — żeby odwołać się do tych wysiłków, które nie pozostały na papierze, lecz doczekały się prób realizacji. Oba przedsięwzięcia — jedno zapoczątkowane przez moskiewską umowę w roku 1945, drugie przez Porozumienia Gdańskie z roku 1980 — noszą wszelkie znamiona działań na rzecz owych „sfer zgody”, czy „płaszczyzny minimum”, których powstanie postulują dziś autorzy opracowań. W obu przypadkach rząd podpisywał porozumienia, zmuszony czy to sytuacją międzynarodową, czy też wewnętrzną. I łamał je od początku, przygotowując uderzenie ostateczne. PSL i „Solidarność” w swej jawnej postaci istniały dokładnie tyle czasu, ile potrzebowały władze na rozbiście społecznego oporu.

Zarówno w połowie lat 40-tych, jak i w roku 1981 nieusprawiedliwiona okazała się też wiara w koncyliacyjną postawę ZSSR. „Złe byłoby — stwierdzał publicysta PSL — gdyby dobro tych stosunków (Polski i ZSSR — J.L.) zależało wyłącznie od tej części społeczeństwa, które reprezentuje PPR. Złe byłoby, gdyby Rosja w to uwierzyła” (*Gazeta Ludowa*, 15/45). ZSSR nie pragnął jednak sojuszu z polskim społeczeństwem. Polska w rozumieniu Stalina i jego następców może być komunistyczna lub żadna. Oni grają w zupełnie inną grę, żeby odwołać się do znanego powiedzenia Antoniego Słonimskiego. *Prawda*, TASS i inne mass-media obozu sowieckiego nie dlatego atakowały „Solidarność”, że była ona antysowiecka, lecz dlatego, że samo istnienie niezależnego związku zawodowego było sprzeczne z ich pojmowaniem świata.

A jednak można uznać założenia polityczne PSL i „Solidarności” za realistyczne: „Jeśli (...) za realistę uznać tego, który działa nie pod wpływem doraźnych i przemijających impulsów, który nie zamierza prowadzić swej działalności w oparciu o wąski krąg elity politycznej, lecz stara się zrozumieć i wyczuć nastroje i pragnienia szerokiego rzesz społecznych, który szuka możliwości działania w najgorszych nawet warunkach i działania tego się nie lęka — to Mikołajczyk był realistą przez całe niemal swoje aktywne życie publiczne” — pisze biograf Mikołajczyka Jakub Andrzejewski („Stanisław Mikołajczyk czyli dramat realisty”, *Krytyka* nr 10-11, str. 136).

#### Analogia druga — ZNAK

Propozycja GPP zaś sprowadza się co najwyżej do próby stworzenia nowej umiarkowanej i lojalnej opozycji typu koła

poselskiego Znak. Koło to powstało po Październiku 56, kiedy to nadzieje na ewolucję komunizmu były powszechne, samych zaś posłów można było uznać za symbolicznych reprezentantów znacznej części społeczeństwa. Dwadzieścia niemal lat działalności koła zakończyło wstrzymanie się od głosu samotnego posła Stomy przy wprowadzeniu do konstytucji PZPR i ZSSR. Można z całą pewnością mówić o politycznej porażce koncepcji Znak. Było to jednak wartościowe doświadczenie, zmuszające do poszukiwania innych dróg. Koncepcja Znak broni się zresztą nie swoją aktywnością sejmową, której wpływ na politykę władz był niezauważalny, lecz szeregiem przedsięwzięć wydawniczych i kulturotwórczych. W latach 50-tych czy 60-tych wydawanie pism czy książek poza cenzurą nie było w Polsce możliwe. Przedsięwzięcie takie uznane byłoby za szaleństwo, co zresztą nie byłoby najgorsze, gdyby udało się coś wydrukować i rozpowszechnić.

W późnych latach 70-tych, nie mówiąc już o chwili obecnej, nie trzeba już za rzeczywistą i owocną działalność kulturo-twórczą płacić pozornym udziałem w życiu politycznym. Publicyści polityczni zdają się udawać, że problem ten nie istnieje. Fetyszyzując „politykę”, gubią to, co najistotniejsze — duchowy wymiar posierpniowych przemian. W jednej z najciekawszych analiz sytuacji pogrudniowej Rada Programowa KIK-u zauważyła: „wysiłek (...) jest konieczny dla refleksji i samokontroli, dla obrony przed triumfalizmem światopoglądowym czy narodowym. Przede wszystkim jest konieczny po to, by szukać właściwych i pogłębionych odpowiedzi na dręczące ludzi pytanie: jaki jest stosunek między nadzieją, którą niesie chrześcijaństwo i którą przeżywa się zawsze, także w czasie klęski, a nadzieją, której pragniemy w wymiarze historii, między nadzieją eschatologiczną a nadzieją polityczną; między zwycięstwem moralnym a zwycięstwem historycznym, czym jest wolność wewnętrzna człowieka i jakie znaczenie ma jej zachowanie dla wolności politycznej narodu” (*Spotkania* nr 27-28/84).

Ten wysiłek jest niewidoczny w propozycji GPP. Wręcz przeciwnie, publicyści polityczni pragną „zagłaskać” świadomość społeczną, cofnąć ją do stanu sprzed sierpnia 1981.

#### *Analogia trzecia — DiP*

Charakter wystąpień GPP narzuca też inne porównanie. Przed sierpniem 1980 roku powstało konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” — ośrodek myśli politycznej opozycyjnej wobec praktyk władzy, lecz też akceptujący system czy to jako nieuchron-

ność geopolityczną, czy też jako zło konieczne. Był to więc rodzaj załączka dla postulowanego przez publicystów politycznych porozumienia „ludzi, którym nie wystarcza anachroniczny system gospodarczy i społeczny, którzy w tym tragicznym dla kraju okresie gotowi są porzucić stereotypowe formuły i stereotypowe metody rozwiązywania problemów (...). Swoisty parlament nowoczesności” (GPP-1, str. 166). Pozostawił też DiP ciekawe i istotne analizy, bogatsze pod względem merytorycznym niż opracowania o stanie gospodarki sporządzone przez ludzi z ugrupowań pozostających w jawnej opozycji do systemu.

Jednak realizm DiP-u załamał się w najbardziej chyba istotnym dla DiP-owego myślenia punkcie — szukania sojuszników dla swych tez w aparacie władzy i wśród prominentnych działaczy gospodarczych. Z partyjnej elity jedynym odzewem były szykany. Zaś opracowania zespołu stały się znane dzięki wydawnictwom poza cenzurą, a więc dzięki ludziom, z którymi filozofia polityczna DiP-u wchodziła w spór. Oni właśnie byli chętnymi czytelnikami analiz DiP i starali się je wykorzystać w swym działaniu. Postulowany zaś adresat prac konwersatorium nie chciał i nie umiał wyciągnąć z nich żadnych wniosków. Animator DiP-u Stefan Bratkowski, po bezowocnych próbach mediacji w roku 1981, został wyrzucony z PZPR-u. Dziś jest autorem jednej z ciekawszych inicjatyw podziemnych, jednoosobowym wydawcą *Gazety Dźwiękowej*. Jego realizm sprowadza się do formuły wygłaszanej na początku każdej kolejnej kasety, że rzecz sporządzona została do własnego użytku i dla własnej przyjemności. W porozumienie zdaje się nie wierzyć, choć być może marzy o chwili, gdy władza opamięta się. Jak zresztą większość z nas. Dzieje publicznej działalności Bratkowskiego, typowego człowieka środka, entuzjasty umiarkowania, są też jakby odpowiedzią na zaskakujące wywody A. Celińskiego: „swoiście paradoksalnym faktem jest, że wtedy gdy władza skłonna była bardziej niż kiedykolwiek przedtem do stworzenia jakiejś płaszczyzny współpracy ze społeczeństwem (...), część środowisk opiniotwórczych utwardzała swoje stanowisko, zbliżając się ku myśleniu w kategoriach 'wszystko albo nic'” (A.C., str. 189).

#### *Neorealizm w polityce międzynarodowej, czyli pytania o détente*

Dotychczasowe doświadczenia zdają się wskazywać, na jak wątych podstawach oparta jest „nowa racjonalność”. Jeane Kirkpatrick w wywiadzie dla George'a Urbana tak podsumowuje inną próbę realizmu, tym razem w skali międzynarodowej: „Pogląd, że *détente* odniesie sukces, nie był wykazany empirycznie

absurdem. Teraz utrzymywanie tego poglądu jest absurdem — wykazany empirycznie. (...) Teraz mamy nie tylko przekonywujące teoretyczne podstawy do sądu, że teoria *détente* była błędna, lecz także niezbite, namacalne, świeże dowody. Dla tego utrzymywanie przy życiu poglądu, którego błędność została wykazana tak bogatymi doświadczeniami, jest nieracjonalne” (*Encounter* 11, 83; polski przedruk *Poglądy* 8, 84). Dokładnie w ten sam sposób nieracjonalne są propozycje GPP.

Problem, z którym borykają się dziś Polacy jest częścią problemu światowego. Nie jest przypadkiem, że dotykając polityki ogólnoswiatowej, publicyści polityczni udzielają ostrożnego poparcia polityce *détente*: „nie jest nam przydatna 'zimna wojna' w żadnej formie. Potrzebujemy odprężenia” (GPP-3, str. 172). Podobnie argumentuje A. Celiński: „Warto jednak pamiętać, że zaostrzenie się sytuacji międzynarodowej nie przynosi nam korzyści (...); że nie jest to problem wyłącznie teoretyczny, przekonał się w 1981 roku, kiedy pytanie, czy celem 'Solidarności' jest walka o pełniejszy kształt naszej suwerenności, o poprawę losu Polaków i Polski przez efektywniejsze wykorzystanie wewnętrznych czynników zmiany, czy też walka z międzynarodowym komunizmem, bywało pytaniem o ówczesnie dokonywane wybory”. Otóż właśnie to pytanie, z którym dość łatwo chcą się autorzy uporać, nie pozwala na prostą odpowiedź. Cięży nad nim widmo „zimnej wojny”, a więc okresu stalinowskiego, czasów tragicznych dla narodów bloku sowieckiego. Zmierzch stalinizmu to jednocześnie początek odprężenia.

„Zimna wojna” była częścią polityki stalinizacji, odcięciem podbitych społeczeństw od reszty świata w celu poddania ich fizycznej i ideologicznej obróbce. Nie ma natomiast dowodów na tezę, że samo odprężenie międzynarodowe łączy się z poprawą losów ludów imperium. Wywózki AK-owców na wschód i proces 16-tki w Moskwie odbywały się w czasie idyllicznych wręcz stosunków między aliantami, po Jałcie a przed Poczdamem. Sowiecka interwencja na Węgrzech nastąpiła niemal równocześnie ze złagodzeniem napięć międzynarodowych, zaś interwencje w Czechosłowacji i Afganistanie odbyły się w czasie względnie poprawnych stosunków Wschód-Zachód. Postępom polityki odprężenia towarzyszyło rozbijanie ruchów dysydenckich w ZSSR, aresztowanie działaczy Karty '77 w Czechosłowacji, w NRD zaś w okresie świetnych stosunków gospodarczych z RFN wprowadzono przepisy, ograniczające kontakty obywateli tego państwa z cudzoziemcami. Drastyczny jest też przykład Rumunii, gdzie flirt z Zachodem idzie w parze z przerażającym terrorem wewnętrznym. Można te przykłady mnożyć, można też podać takie, które świadczą będą za tezę przeciwną. Dlatego na pytanie o

odprężenie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Bo też jest ono źle postawione.

Jeżeli żądamy — a żądać mamy prawo — polityki opartej o zasady moralne, to musimy się liczyć z konsekwencjami. Obrona praw człowieka jako integralna część polityki międzynarodowej musi prowadzić do napięć. Jeżeli więc „nie leży w niczym interesie ucieczka od Europy, izolacja i utrata więzi z naszymi duchowymi i politycznymi korzeniami” (GPP-3, str. 173), to w niczym interesie nie leży też Europa zniewolona, słaba, ustępująca krok po kroku. Czyli pytanie o odprężenie musi być pytaniem o sens tego procesu, o rodzaj wzajemnych ustępstw dwóch przeciwstawnych systemów. Nie chodzi tu o utożsamianie się z polityką amerykańską, czy o rozumowanie „im gorzej, tym lepiej”. Chodzi o tożsamość Europy. Jej utrata byłaby dla Polaków klęską nieodwracalną.

#### *Aktualność sporu o Porozumienie Warszawskie*

Rozważania A. Celińskiego zdają się iść podobną drogą co wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych. Najciekawszą częścią są tu uwagi dotyczące okresu 1980-1981, jako że autor był jednym z bardziej wpływowych działaczy w Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Jako osobisty sekretarz Lecha Wałęsy i sekretarz KKP aż do wyborów, prowadząc wiele zebrań władz związkowych, biorąc udział w rozmowach z władzami, miał możliwość poznania kulisów wydarzeń. Uczestniczył na przykład w zakończonych porozumieniem warszawskim i odwołaniem strajku generalnego negocjacjach podczas kryzysu bydgoskiego. Dziś broni zarówno zasad tego porozumienia, jak i konieczności rezygnacji ze strajku, krytykując równocześnie ówczesnych zwolenników innych rozwiązań. Píše więc: „Mówi się także, że trzeba było podjąć walkę w marcu 1981 roku, kiedy stosunek sił był najwyraźniej dla władzy niekorzystny. Odrzucam ten i podobne jemu poglądy. Jeśli by nawet wprowadzenie stanu wojennego w kwietniu 1981 roku nie przyniosło spodziewanego przez władze skutku — umiędzynarodowienie konfliktu stałoby się faktem” (A.C., str. 190).

Jesteśmy tu w samym centrum ówczesnego sporu — sporu o strajk generalny. Porozumienie warszawskie podzieliło „Solidarność” na dwie równe niemal grupy. Opowiadanie się dziś, po czterech niemal latach, za którąkolwiek z nich byłoby co najmniej spóźnione. Słusznie jednak zwraca Celiński uwagę, że u podstaw porozumienia leżała obawa. Strach przed interwencją paraliżował siłę negocjacyjną ekipy „Solidarności”, której człon-

kwie, przekonani o nieuchronności interwencji, znaleźli się między historycznymi szeptami Rakowskiego a gotowością załóg do strajku. Oczywiście nie należy czynić negocjatorom z „Solidarności” zarzutu, że podpisali porozumienie. Trudno wymagać od kilku ludzi, aby zrywali rozmowy ze świadomością, że skazują kraj na z góry przegraną wojnę. Lecz wbrew temu, co twierdzi Celiński, nie wiemy, czy argument interwencji nie był jedynie manewrem ekipy rządowej. Nieznajomość podstawowych danych nie pozwala na rzeczową analizę, a jedynie na wyrażenie swoich emocji i głębokich przekonań. Tak było wówczas. Tak też czyni autor opracowania. Natomiast nie bierze pod uwagę faktu, że sposób rozwiązania, a właściwie zakłajstrowania konfliktu był ciosem dla „Solidarności” jako ruchu społecznego. I to nie dlatego, że wyniki porozumienia były iluzoryczne, bo i tak z perspektywy 13 grudnia wszystkie kompromisy, zwycięstwa i porażki okazały się iluzoryczne, lecz dlatego, że stawiając związkowców w stan pełnej gotowości, a następnie odwołując strajk generalny, władze „Solidarności” odebrały im wiarę w możliwość zorganizowania takiego strajku. Ludzkie wysiłki zostały przekreślone. Zniknęła obawa, lecz osłabła też nadzieja. Stało się oczywiście, że „Solidarność” w imię odpowiedzialności za losy narodu zawse, w przypadku uderzenia władzy, cofnie się. Ruch stał się bezbronny, otworzyła się droga do stanu wojennego. Błędem był więc nie kompromis przy warszawskim stole negocjacyjnym, a kompromis zawarty na posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Można było do strajku nie wzywać, lecz jeśli już do niego wezwano, to należało go zrobić. Wybrano wyjście pośrednie. Spór o porozumienie warszawskie nie jest więc sporem, jak chciałby Celiński, między rozemocjonowanymi radykałami a rozsądnymi, znającymi się na rzeczy politykami. Jest sporem o konsekwencje, o odpowiedzialność za podejmowane decyzje.

### O kompromisach „Solidarności”

Spojrzenie Andrzeja Celińskiego wynika wprost z jego wizji świadomości społecznej: „Społeczeństwo pozbawione możliwości poznania samego siebie, nie informowane o zagrożeniach, o współczesnych bądź potencjalnych konfliktach, nie może rozumnie kierować swoim losem. (...) Urazowo-rewindykacyjne myślenie wielu działaczy 'Solidarności', uzasadnione z pewnością ich doświadczeniem, było też w wielu przypadkach świadectwem politycznej niedojrzałości” (A.C., str. 175). Niebanalne, lecz też i odległe od prawdy słowa.

Daleki jestem od idealizowania działaczy „Solidarności”, od

negowania błędów popełnionych przez nich na różnych szczeblach — zakładowych, regionalnych, krajowym. Wystarczyło jednak pójść na kilka zebrań w fabrykach, by zobaczyć, do jak rozsądnych kompromisów byli skłonni, jak mało było u nich myślenia urazowego, jak wiele podejmowali wysiłków dla rozwiązań konstruktywnych. Do pewnego momentu dalecy byli od nastrojów konfrontacyjnych. Świadczy o tym chociażby głosowanie na Zjeździe, odrzucające ogromną większością głosów poprawkę, wypowiadającą porozumienie gdańskie w części dotyczącej uznania kierowniczej roli PZPR w państwie.

Autor „Wokół czego dialog?” dobrze wie, że wszelkie próby kompromisów rozbijały się o nieugiętą odmowę władz, które równie chętnie negocjowały, jak nie wykonywały podjętych zobowiązań. To było oczywiście od początku, ale nie chcieliśmy przyjąć tego do wiadomości, wierząc, że władzy też zależy na poprawie sytuacji.

Także kryzys rejestracyjny nie był, jak chce Celiński, wynikiem wzajemnej nieufności, lecz częścią strategicznego planu rozbicia Związku. Dlatego poważnym błędem była już sama próba rejestracji „Solidarności”. Z dzisiejszej perspektywy (a trzeba przyznać, że wówczas bynajmniej nie było to oczywiste) widać, że z rejestracji należało zrezygnować. Zwiększyłyby to oczywiście trudności Związku (konta bankowe, lokale, wyjazdy zagraniczne, negocjacje), oddawałoby jednak znacznie lepiej sytuację gry z nieuczciwym partnerem.

Jak słusznie zauważył Piotr Łukasiewicz w artykule „Wojna światów”, pisany — co warto podkreślić — na kilka miesięcy przed grudniem 1981: „Słysz się pogląd, że obecna 'odnowa' jest jakościowo inna, bowiem powstały instytucjonalne przesłanki zatrzymania jej zdobyczy. Z twierdzenia tego wyziera naiwny w naszym systemie światopogląd legalistyczny. Ustawy dopuszczające działalność wolnych związków zawodowych i limitujące cenzurę mają stanowić zaporę dla totalitarnych zapędów władzy. Reguły prawne nie mają jednak w Polsce żadnego znaczenia. (...) Nie wystarczy powstanie i istnienie 'Solidarności' oraz wielu innych stowarzyszeń i komitetów, muszą one na co dzień być ożywione aktywnością wszystkich zrzeszonych w nich członków. Nie społeczeństwo zorganizowane, lecz społeczeństwo aktywne będzie jedynie zdolne do efektywnej kontroli władz” (Krytyka nr 8/81).

Gdyby Solidarność działała bez rejestracji, do Związku przystąpiłoby mniej karierowiczów, którzy pojawili się po 10 listopada 1980 roku (a więc po oficjalnym uznaniu Związku). Zmniejszyłyby się też, co najważniejsze, psychiczny szok, jaki nastąpił po rozwiązaniu dwa lata później. Bez rejestracji „Solidarność” mo-

gła się czuć formalnie niezależna od władz państwowych, od decyzji podległego sądu. Formalnie, bo oczywiście faktycznie i tak decydująca była siła militarna. Lecz ważna jest różnica w świadomości, czy „Solidarność” istnieje, bo ma za sobą prawo ludzkie i międzynarodowe, a przede wszystkim wolę swych członków, czy też dlatego, że postawie w pewnym momencie podnoszą ręce, a sędzia wykonuje odpowiednie zalecenia. Dodatkowo rejestracja stała się kpina z jednego z najważniejszych postulatów Związku — niezawisłości sędziowskiej.

### *Nieporozumienia z apolitycznością*

Nie przekonuje również opis Celińskiego ideowych założeń działań „Solidarności”. Pisze on: „Formuła apolityczności, którą daliśmy sobie narzucić, uniemożliwiła określenie stosunku, w pierwszym rzędzie ‘Solidarności’, do realnych zagrożeń dla zapoczątkowanego latem 1980 roku procesu sanacji państwa i polskiej gospodarki” (A.C., str. 182). W rzeczywistości Związek nigdy nie uznał formuły apolityczności, dość mętnego, rodem z nowo-mowy pojęcia, którym posługuje się też GPP, wzywając do wyrzeczenia się „fikcji apolityczności” (GPP-1, str. 165). Związek zgodził się natomiast na uzgodnioną w Porozumieniach Gdańskich formułę, że nie będzie pełnił roli partii politycznej i niewątpliwie nigdy do tej roli nie pretendował.

Niemal od początku istnienia Związku dla jego działaczy i członków było oczywiste, że muszą zajmować się problemami ogólnospołecznymi, a nie działać w wąskich ramach narzucanych im przez władze. Było tylko kwestią czasu (dość zresztą krótkiego), aby większość zrozumiała, że chodzi tu o politykę — politykę związku zawodowego, będącego — jak to już wówczas określano — ruchem społecznym. Wystarczy przecież przeczytać program „Solidarności”, by zobaczyć trzeźwy i rzeczowy stosunek do zachodzących zmian, do procesu, który autor opracowania nazywa procesem sanacji państwa i polskiej gospodarki. Program ten był wynikiem praktyki, podsumowaniem niejako pracy wielu tysięcy ludzi biorących czynny udział w życiu publicznym, działaczy „Solidarności” na różnych szczeblach, z których wielu żadnych formalnych funkcji związkowych nie pełniło.

Błędem władz związkowych było zbyt nikłe poparcie dla tego typu wysiłków, brak uwagi dla tworzących się nowych pól działania, jak chociażby spraw samorządu lokalnego czy spółdzielczości. Osłabienie ruchu widoczne jesienią 1981 roku wynikało z wielu czynników: ze zmęczenia wywołanego katastrofalną sytuacją rynkową, ze sprytnie przechwyconej przez władze obawy

przed nadchodzącą zimą. Wynikało także, może nawet przede wszystkim, z powszechnego oczekiwania na rozwiązania centralne, czyli ze zbytniego upolitycznienia, a zbyt małego uspołecznienia działań ruchu. W nastawionej na negocjacje ciężkiej machinie związkowej nie starczało miejsca dla działalności obejmującej różnorodne obszary życia społecznego.

### *Magiczne myślenie o władzy*

Błędem okazała się również powszechna wiara w możliwość reformy władzy i poddania jej społecznej kontroli. Pisze o tym A. Celiński: „Rzeczywistość polityczna kilku posierpniowych miesięcy wykazała bezpodstawność przyjętych poprzednio założeń”. Dodaje jednak natychmiast: „Nie uzasadnia to jednak przekonania, że przyjęcie ich było błędem”. Zdziwiające to rozumowanie. Można bowiem mówić, że błąd był nie do uniknięcia, można próbować usprawiedliwiać go okolicznościami, co więcej można starać się udowodnić, że błąd zrobiony został w trakcie realizacji, samo zaś założenie było zasadne, lecz nie wolno twierdzić, że przyjęcie bezzasadnych założeń było przejawem rozsądku. W dwóch sprzecznych zdaniach próbuje autor bronić tezy o konieczności „historycznego kompromisu” z władzą komunistyczną. Otwierają mu one pole do szerokich rozważań.

A przecież między bezpodstawną wiarą w dobrą wolę władz naczelnych, co wyraża się w pragnieniu uświadomienia im wspólnego interesu, a bezrefleksyjnym parciem na konfrontację (przy całej niejasności tego pojęcia) istnieje cały zestaw rozwiązań pośrednich. Prawda, że trudnych, i w opracowaniu, i w realizacji, wymagających wielu połączonych z niepowodzeniami prób.

Pewien niepokój budzi również podtrzymywanie przez Celińskiego tez o prowokacji czy to w sprawie Narożniaka, czy też w sprawie bydgoskiej. Lansowanie ich wówczas było wyrazem przekonania, że władze centralne pragną porozumienia, któremu przeciwstawia się aparat. Dziś powinno być jasne, że dokument prokuratora Czubińskiego nie był żadną prowokacją, lecz po prostu roboczym materiałem, wprowadzonym w życie w 1982 roku, obowiązującym do chwili obecnej. W sprawie bydgoskiej zaś nie jest jasne, kto miał prowokować i jaki był cel prowokacji. Teorie o spiskach i prowokacjach mają tendencję do samouzasadniania i dlatego warto zachować wobec nich pewną ostrożność.

Zgadzam się, że „dzisiaj można dyskutować, czy potrafiliśmy jako społeczeństwo i jako poszczególne jednostki skutecznie wykorzystać czas, jakim dysponowaliśmy”, i że „na to pytanie odpowiedzi z pewnością będą rozbieżne” (A.C., str. 183-184). Co



więcej, wydaje mi się, że sposoby odpowiedzi wyznaczają w jakiś sposób myślenie o chwili obecnej. Odrzucanie gry na porozumienie nie musi oznaczać przyjęcia stawki na narodowe powstanie. Może jednak i powinno wyznaczać cele ruchu społecznego, zarówno podziemia, jak i ludzi działających na powierzchni. Organizowanie narodowego powstania to nic innego niż tworzenie, małej zresztą, armii sfrustrowanych i niewyżytych działaczy. Z drugiej jednak strony nie wolno stawiać porozumienia jako celu naczelnego, uzależniając w ten sposób cały ruch społeczny od każdego niemal posunięcia władz, kierując całą jego uwagę na incydentalne w końcu wahania bieżącej polityki.

### *Solidarność — potrzeba refleksji społecznej*

Ruch „Solidarności” musi być w pewnym sensie samowystarczalny, umieć działać obok władz państwowych, wbrew represjom, niezależnie od mało prawdopodobnych porozumień. Ruch taki może oczywiście iść na różnorakie ustępstwa, godzić się na kompromisy, nawet współpracować na różnych szczeblach z administracją, tworząc owe „sfery zgody” (co jest przecież zasadniczym sposobem działania związku zawodowego). Lecz nie może pozwolić sobie na rezygnację ze swych celów, zapomnienie o tym, czym jest i dlaczego powstał.

Sądząc z dotychczasowej praktyki, dziś groźba ta jest odległa, co nie oznacza, że „Solidarność” znalazła już najskuteczniejsze metody działania.

W swym widzeniu kompromisu zbliżam się chwilami w sposób istotny do krytykowanych autorów. Lecz wydaje mi się, że próbuję to zrobić z trochę innej strony. Uważam bowiem, że odrzucenie niepodległości państwa i suwerenności społeczeństwa jako perspektywicznych celów ruchu zawęża go w sposób istotny. Lecz zasadnicza chyba różnica kryje się w moim przekonaniu, że „Solidarność”, ów skomplikowany i niewolny od sprzeczności twór istnieje, a jego istnienie jest nadzieją na przyszłość.

Propozycje GPP i A. Celińskiego są niewątpliwie reakcją na niedostateczną skuteczność dotychczasowych form działania, przede wszystkim zaś na brak widocznych sukcesów „Solidarności”. Publicyści polityczni, uznając moralne i edukacyjne funkcje podziemia, podkreślają jednocześnie: „Nie może (podziemie — J.L.) jednak siłą rzeczy — znaleźć skutecznych narzędzi pozytywnej, bieżącej działalności politycznej” (GPP-1, str. 165). Twierdzenie to wynika, jak się wydaje, z wąskiego rozumienia polityki jako gry na najwyższych szczeblach.

Potrzeba tworzenia „swoistego parlamentu nowoczesności” jest niewątpliwa. Aby jednak spełnił on swoją rolę, jego propozycje muszą być kierowane do jedynej siły mogącej stworzyć warunki, na których władza zgodzi się na „płaszczyznę minimum” — do „Solidarności” w szerokim rozumieniu tego ruchu. Nie znaczy to, że ma to być działalność usługowa. Nie chodzi przecież o łatwe pokrzepienie i schlebienie społeczeństwu, o wyszukiwanie argumentów na rzecz nieomylności przywódców ruchu. Lecz aby gorzkie nawet słowa weszły w społeczny obieg, muszą się one znaleźć w podziemnych wydawnictwach. Sytuacja, w której czytelnik może czytać obok *Tygodnika Powszechnego* także *Tygodnik Mazowsze*, kiedy może wzbogacać swą wiedzę o teksty w *Znaku*, *Więzi* i *Krytyce*, zaś miejscem działania może być KIK, lecz też i TKZ „Solidarności”, jest właśnie „pozytywną, bieżącą działalnością” zarówno polityczną jak i społeczną.

Na koniec uwaga optymistyczna. Charakterystyczna jest obecna u autorów obu opracowań obawa przed niewłaściwym zrozumieniem ich wystąpień. Publicyści polityczni wyrażają ją pisząc: „Jedna strona (tj. społeczeństwo — J.L.) musi porzucić przeświadczenie, że wszelka praca dla jego (tj. minimum wspólnego interesu państwowego — J.L.) realizacji jest formą moralnego odstępstwa” (GPP-2, str. 167), zaś A. Celiński mówi w tym samym duchu: „kolaboracja — pojęcie adekwatne w stosunku do tych, co po zduszeniu przez władze społecznej próby zreformowania instytucji publicznych w zgodzie z oczekiwaniami przeważającej części społeczeństwa i potrzebami kraju, podjęli współpracę z władzą na warunkach przez nią określonych — nie może obejmować postawy gotowości do porozumienia uwzględniającego interesy obu stron konfliktu: władzy i społeczeństwa (A.C., str. 190). Te obawy mogą być źródłem optymizmu. I oczywiście każdy uważny czytelnik omawianych tekstów musi uznać, że posądzenie autorów omawianych tekstów o kolaborację byłoby bezzasadne. Mamy przecież do czynienia z głosami jasno wyrażającymi swe stanowisko, głosami inspirowanymi troską o polski byt narodowy. Fakt, że nawołujący do porozumienia nie przemawiają językiem ezopowym, lecz jasno wykładają swoje racje, że próbują odnaleźć drogę kompromisu, nie rezygnując przy tym z własnego oblicza politycznego, oznacza, że dobrze zdają sobie sprawę z granic, których przekroczyć nie można. Jak pisze Celiński, „kompromis kończy się tam, gdzie rezygnuje się z zasad”.

Po poprzednich zmianach politycznych ludzie skłonni byli do zacierania pamięci — zapomniany został PSL i jego heroiczna walka, dość łatwo zatarły się w pamięci nadzieje, jakie wiązano z przemianami w roku 1956, stłumiono w sobie pamięć o zamor-

dowanych w grudniu 1970 roku. Dziś pamięć wydaje się być trwała.

Wnioski wyciągane z przeszłości mogą być różnorakie. Pluralizm społeczny wyraża się właśnie w mnogości propozycji, w tworzeniu się różnorodnych grup, z których jedne proponują bezwzględna walkę, inne zaś dążenie do kompromisu. Nieuchronne są konflikty, potrzebne są polemiki i dyskusje. Lecz stała obecność w naszym życiu idei, które umożliwiły powstanie „Solidarności” jest gwarancją, że społeczeństwo polskie nie podda się, nie zrezygnuje z bycia świadomym podmiotem wydarzeń.

Jan LITYŃSKI

### POMOST

Czerwiec 1985. Cena \$ 1,50.

Nowy miesięcznik społeczno-polityczny, będący kontynuacją kwartalnika „POMOST”.

3242 N. Pulaski Road,  
CHICAGO, IL. 60641, U.S.A.

### W A W E L

#### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

## Step

Pędziliśmy stepem, jechaliśmy stępą, Kogut, Lis i ja.

I „Jabłoczko” piosnkę trzymaliśmy w zębach. To znaczy Lis — bo miał zęby. Kogut wymawiał się brakiem uzębienia, a ja, choć miałem jeszcze parę trzonowych, też wolałem się tym nie zajmować.

Nie zawsze tak było. Kiedyś „Jabłoczko” piosnka ślicznie brzmiała, jabłuszko było dorodne, rumiane, świeże i pachnące — prościuteńko z naddnieprzańskich sadów. Każdy chciał je mieć w pysku.

— Eśoioe... — powiedział Lis.

— Mów wyraźniej, bo nie rozumiem — odpowiedziałem.

Lis wyjął „Jabłoczko” piosnkę z organu mowy i ponownie sformułował:

— Weź to ode mnie.

— Jakże wezmę, kiedy mam tylko trzonowe, a trzymać trzeba w przednich. Może Kogut by wziął?

— Jam ptak, a nie pterodaktyl — na to Kogut. — U mnie już żadnego w ogóle zęba na skutek ewolucji. Jam trzymał w dwudziestym pierwszym kiedyśmy Kaukaz tłumili, ja na Ukrainie trzymał przy rozkułaczaniu w trzydziestym trzecim, ja w czterdziestym czwartym w republikach bałtyckich też trzymałem, alem nie puścił tylko przez wierność Partii. Bo jabłoczko jest okrągłe i ptak tylko przez wierność Partii w dziobie utrzymać je może. I teraz też — jasne — potrzynam kiedy Partia wezwie, ale Lis nie Partia tylko zwykły kozak, czyli darujcie bracia, lecz dziób u mnie zmęczony.

— Wwa-asza-ać... — powiedział Lis, znowu niewyraźnie, bo chcąc nie chcąc znowu sobie „Jabłoczko” piosnkę między zęby wsadził.

Pędziliśmy stepem, jechaliśmy w kłębach — kurzu, a trawa pomięta co dawno pomięta, nie podnosiła się, bo się jej podnosić już nie opłacało i tylko malachit stepowy jako materia nieożywiona nic z nas sobie nie robił i trwał w stosunkowo dobrym stanie.

Popatrywałem na Lisa z niepokojem. Bowiem jabłuszko tak nigdyś jędrne i pachnące od dawna robaczywym już się stało, a wiadomo, że robaczki będąc częścią przyrody temu samemu co historia prawu dialektycznemu podlegają — to znaczy rozwijają się.

Kogut też ku Lisowi zezował i pewnie też odczuwał ten sam co ja niepokój: potrzyma Lis „Jabłoczko” piosnkę w zębach, czy nie potrzyma. Bo jak on puści, to któryś z nas będzie musiał.

Jechaliśmy stepem, pędziliśmy w kłębach...

Słońce jak zwykle ku zachodowi się miało, choć nie powinno, ale ono nieuświadomione przecież — i Lis jakiś zielony na pysku się stał. Ja z Kogutem widzimy, że choć źle z nim już przedtem było, to teraz jeszcze jest gorzej, a lada chwila najgorzej będzie. To znaczy wcale już nie o to chodziło, żeby owocek potrzymał, już nie o to nawet, żeby go wytrzymał, lecz o to już jedynie, żeby się wstrzymał.

Więc się rozglądamy czy w stepie nadal pusto, żeby jakiego świadka przy tym nie było. Ja i Kogut nie doniesiemy przecież na kolegę, malachit stepowy, murawa pomięta — być może także nie, ale obcy na pewno doniesie.

No i widzimy, że nie pusto. Na widnokręgu kurzawka jakaś, malutka najpierw, ale zaraz coraz większa kurzawa i już automobil przy nas. Zaś w samochodzie Michał Swietłow, poeta radziecki, oraz Julian Tuwim, poeta polski — siedzą. Ten pierwszy napisał wiersz pod tytułem „Grenada”, bardzo ładny wiersz, który tak się zaczyna:

*Jechaliśmy stepa,  
Pędziliśmy w kłębach  
I „Jabłoczko” piosnkę  
Trzymaliśmy w zębach.  
Ach, piosnkę tę dotąd  
Na pewno pamięta  
Malachit stepowy,  
Murawa pomięta.*

... w tłumaczeniu Juliana Tuwima.

A teraz obaj wychylają się ku nam z samochodu.

— Co on taki zielony? — zapytuje Tuwim, który jako poeta znany był z dużej wrażliwości na kolory — i wskazuje na Lisa.

— Bo on chłopską, niezależną Partię zakłada, a kolor zielony sztandarem ludu na roli pracującego jest — objaśniłem.

— Co on zakłada, co? — zainteresował się Michał Swietłow, bohater socjalistycznej pracy literackiej.

— Niezależną, samorządną Partię Ludu Wieśniaczego Wszechrosji. Ponieważ odtąd pluralizm, czyli wielopartyjność w Związku Radzieckim będzie.

Zaś Swietłow:

— A?

Wiadomo, że — A — samogłoską jest i jako taka wymaga, żeby jamę ustną otworzyć. Więc otworzył i Swietłow swoją, ale tak szeroko — bo szczeka mu przy tym opadła — że nawet arbuż by się w niej zmieścił — i z tak otwartą już pozostał. Więc nawet śpieszyć specjalnie się nie musiałem, tylko wyjąłem „Jabłoczko” piosnkę Lisowi — a czas już najwyższy był — i włożyłem Swietłowowi. Jak Tuwim też będzie chciał, to niech poprosi Swietłowa, może się z nim podzieli.

Odjechaliśmy stepem, pędząc sobie w kłębach, a oni zostali, trzymając to w zębach.

*Sławomir MROŻEK*

NAKŁADEM WŁASNYM OFICYNY POETÓW  
I MALARZY

TYMON TERLECKI

„SZUKANIE RÓWNOWAGI”

(Szkice literackie i publicystyczne)

Wybór ponad 20 prac z zakresu historii polskiej i europejskiej, aktualnych zagadnień ideowych emigracji, sztuk plastycznych, krytyki poezji i prozy, dokonany z kilkudziesięcioletniego dorobku, obejmujący m.in. takich myślicieli jak Leonardo da Vinci i Kopernik, Ferrero i Kołakowski, pisarzy jak Mickiewicz, Norwid, Conrad, T. S. Eliot, Wierzyński, Dylan Thomas, plastyków jak Koszowski i Bohusz-Szyszko. Prace ukazują się w obecnej formie po raz pierwszy. Stron 418. Portret autora rys. przez Henryka Gotliba. Cena £ 7.60.

Do nabycia u wydawcy:

146 Bridge Arch, Concert Hall Approach,  
London, SE1 8XU

oraz w księgarniach polskich w Europie i Ameryce.

## Wiersze

Ryszard KRYNICKI

### W I R

— Dziękuję, że przyszedłeś. Ostatnio  
byłem chory, bałem się  
słów i ludzi. Już...

— Mam mało czasu. Przyjaciele z czyścica  
prosilili, by cię ostrzec. Jutro  
nie nocuj w domu. Znów...

w dwie strony porywa  
wir świtu  
i snu.

### PURGATORIUM

Nocą, w pustym przedziale. Niczego  
nie pragnę, nikogo się nie obawiam. W oddali  
pełgają ogniki czyścica: mojego miasta.

### JAK PISAĆ?

Tak pisać, by głodny  
myślał, że to chleb?

Głodnego trzeba nakarmić  
a pisać tak, by głód  
nie poszedł na marne.

## ZWYCIĘSTWO

Znów czytamy wiersze  
z czasów wygnania, z domu niewoli:  
Takie ono już jest: *za grobem zwycięstwo.*

## NIE WSZYSCY

Naprawdę umiemy żyć dopiero w kłęsce?  
Nie wszyscy: kto żyje nie dla zwycięstwa,  
żyć w kłęsce nie umie.

## LISTEK, SKRAWEK NIEBA

Podziwiam wiersze, w których każdy liść  
ma swoje imię i sens, każdy kamyk  
wie, że został stworzony — ale ten,  
kto jak inni jednako bezbronny  
ucieka w dół ulicy, i podcięty pada  
na płyty chodnika, kuli się, bezradnie  
chowa głowę w ramionach, podciąga kolana  
chcąc uchronić brzuch  
przed podkutym butem —

on nie myśli o listku, który obok upadł,  
małego skrawka nieba nie widzi  
nad sobą.

'83

\*\*

Szum, trzaski, jazgot  
zagłuszarki. Nicość pracuje.  
Warszawa pierwsza  
nadaje obok muzykę rockową:  
underground, znikłe  
głosy. Przez wizgi i jęk  
przebija się straszna  
wiadomość o śmierci. Boże,

nie.

V, '85

\*  
\*\*

Nie wiem, czy mam prawo  
mówić czy milczeć.  
Modłę się. Bez słów. On

Wie.

'83

Ryszard KRYNICKI

Jan Nepomucen RZECKI

ROCA FIXADA:  
ZAMEK KATARSKI

Skały oblepione niebem,  
a zamek skałą,  
catharsis światła  
paruje w śmierć doskonałą.

Pod mchem ukryte reinkarnacje  
przeciwcielesnej sekty.  
Pną się po cierniach  
Perfecti,  
nadzy negacją,  
uciekiniery spod okupacji  
Księcia tej ziemi.

Błogosławieni w których krzak żądz usechł,  
którzy są niemi  
w modlitwie odartej z ciała,  
którzy kolumną ducha  
utkwieni w niebie jak skała:  
roca fixada.

Zbawca oślepyłych światła i oddaleń  
nie rzuca cienia na gwałt istnienia  
w Księżstwach doczesnej doli.  
Bóg poza czasem nie boli,  
nie boli skała.  
Pamięć tylko została:  
zamek — ruina ciała.

17 kwietnia 1984

Jan Nepomucen RZECKI

## Archiwum polityczne

### Wywiad "Kultury" ze Zbigniewem Bujakiem

REDAKCJA „KULTURY”: — *Wybory do Sejmu są dziś zagadnieniem kluczowym: zarówno ich wygranie dla gen. Jaruzelskiego, jak i dla społeczeństwa — udany bojkot. Jak Pan ocenia szanse bojkotu?*

ZBIGNIEW BUJAK: — Wolę mówić nie o szansach, a raczej o skali bojkotu, którą można by uznać za sukces. Podczas wyborów do rad narodowych wielu ludzi bało się. Od strachu przed utratą stanowiska czy odmową otrzymania paszportu po zupełnie irracjonalne obawy, że odbiorą im kartki żywnościowe. Dlatego szli głosować. Okazało się jednak, że przy dużej liczbie bojkotujących władze praktycznie nie są w stanie nikogo represjonować. Pozostaje im więc kampania zastraszania. Będą straszili w miejscach pracy, będą straszili w mieszkaniach posyłając tam aktywistów, będą puszczać najbardziej absurdalne plotki o karach za odmowę głosowania. Zadaniem „Solidarności” jest przeciwstawienie się tej kampanii a następnie obliczenie skali bojkotu.

Chciałbym jednak zauważyć, że sam fakt głosowania w wielu przypadkach nie oznacza poparcia dla władzy. Wśród głosujących w zeszłym roku znaleźli się nawet ludzie, którzy nam pomagają, u których mieszkamy. Zadecydował tu swoisty strach. Mówię swoisty, bo jak nazwać uczucie, które pchnęło ludzi do urn a jednocześnie nie przeszkadza im pomagać podziemi. Warto tu zwrócić uwagę, że najwięcej ludzi głosowało pół godziny przed zamknięciem lokali wyborczych — do 19.30 wygrywali z reżimem, tuż przed gongiem znokautował ich strach. W tych wyborach naszym sprzymierzeńcem będzie zarówno fakt braku represji z powodu bojkotu, jak i fakt, że podczas ostatniego gło-

sowania przełamana została bariera psychiczna bezmyślnego uczestnictwa w tej farsie.

Musimy zrobić wszystko, aby uświadomić ludziom jak ważący politycznie będzie wzrost liczby bojkotujących (a więc ponad 40 %). Gdyby zaś bojkot przekroczył połowę uprawnionych, to generał Jaruzelski występując na forum ONZ i udając tam przedstawiciela narodu polskiego będzie już tylko śmiesznym dyktatorem.

Po wyborach podane zostaną dwie liczby. Władza triumfalnie ogłosi swe zwycięstwo w granicach 80-ciu, a może nawet więcej procent. My natomiast podamy liczbę prawdziwą — innej podać nie możemy, bo dla „Solidarności” fałszowanie rzeczywistości oznaczałoby śmierć społeczną. Polacy w kraju i na emigracji winni uczynić wszystko aby liczba prawdziwa stała się znana na świecie.

R. „K”: — *Podobno gen. Jaruzelski zaproponował Prymasowi kilkadziesiąt mandatów poselskich dla tzw. niezależnych z tym jednak warunkiem, że nie utworzą żadnego klubu. Episkopat postanowił, że Kościół oficjalnie nie poprze żadnych kandydatów. Tym niemniej ta propozycja wywołała duże poruszenie i wygląda, że kandydatów nie zabraknie. Czy nie sądzi Pan, że takie kandydatury powinny spotkać się z bardzo wyraźnym potępieniem i z zapowiedzią ostracyzmu?*

Z.B.: — Taka propozycja rzeczywiście została złożona i początkowo niektórzy się nią zainteresowali. Obecnie wszystkie środowiska niezależne dystansują się od tego pomysłu. Co więcej, nawet jeden z głośniejszych jego zwolenników, poseł Edmund Osmańczyk, nie wpisał się (czy też nie wpisano go) na listę kandydatów. Na ogłoszonej niedawno liście krajowej bezspornym autorytetem cieszył się jedynie mistrz kolarski Szurkowski, ale jako działacz społeczny wydaje się on nieco za mało doświadczony. Być może na listach okręgowych znajdzie się trochę ludzi znanych lokalnie czy środowiskowo. O traktowaniu takich osób będą decydować ich społeczności. Próba skokietowania niezależnych, choć gotowych do pewnego kompromisu, środowisk nie powiodła się z kilku przyczyn. W październiku zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę. Po tym fakcie, a następnie po oskarżycielskim i pełnym oszustw wobec Kościoła procesie, każdy kto mówi o kompromisie z władzą sprawia wrażenie człowieka, który dopiero wczoraj znalazł się w Polsce. Na pewno więc nikt, kto znajdzie się na liście wyborczej nie może twierdzić, że jest przedstawicielem społeczności katolickiej, zaś hierarchia kościelna w żaden sposób nie zaangażuje się w wybory. O niepowodzeniu

tego pomysłu zdecydował też sam Sejm, który zaakceptował stan wojenny i przegłosował szereg ustaw, które spowodowały m.in. delegalizację związków zawodowych i stowarzyszeń twórczych, zmianę systemu karnego w narzędzie represji w stylu stalinowskim, zniszczenie reformy gospodarczej, likwidację samorządności wyższych uczelni. Nikt, kto chce zachować twarz, nie może do takiego Sejmu kandydować. Bardzo silnie działa wreszcie głos opinii publicznej, o czym świadczy zdecydowane odcięcie się środowisk Młodej Polski i Res Publici (na łamach *Tyg. Mazowsze*) od zamierzeń uczestnictwa w przyszłym Sejmie. Okazuje się, że co innego rozważać ten pomysł we własnym gronie, a co innego przejść od rozmów do publicznej realizacji. Każdy bowiem kto się na to zdecyduje rozmieni swój autorytet na drobne i skończy się jako osoba znacząca i ceniona w społeczeństwie. Jest to już dziś tak oczywiste, że znacznie większą wagę przywiązując do organizowania akcji ukazującej znaczenie bojkotu i liczenia jego zakresu.

R. „K”: — *„Solidarność” od samego początku zajęła bardzo wyraźne stanowisko przeciwko aktom gwałtu. Jest to zasada słuszna i nikt z ludzi rozsądnych nie myśli o akcjach terrorystycznych. Ale czy brak reakcji na zbrodnie władz nie jest zbyt daleko posunięty? Czy nie byłoby celowe powołanie specjalnej komórki — na wzór prokuratury Armii Krajowej — która rejestrowałaby wszystkie przestępstwa władz — nie tylko Służby Bezpieczeństwa, ale również sędziów, prokuratorów, lekarzy więziennych, środowisk inteligenckich — i publikowała periodycznie takie „czarne listy” co stworzyłoby formę nacisku psychologicznego i mobilizowało społeczeństwo?*

Z.B.: — TKK nie powołała takiej instytucji, choć listy tego typu były ogłaszane. Nie mogliśmy nadać im oficjalnego statusu, gdyż nie znalazł się nikt, kto gotów byłby publicznie pod własnym nazwiskiem wziąć odpowiedzialność za ich sporządzenie i ogłoszenie, za wyznaczenie norm prawnych i moralnych według których osądza się winy ludzi na tych listach umieszczanych. Pisma publikują opisy bezprawnych działań władz ukazując przestępczą rolę już to funkcjonariuszy SB i MO, już to prokuratorów i sędziów, już to służby więziennej. Sporządzane są i publikowane sprawozdania z procesów. Komitet Helsiński gromadzi materiały, opracowuje — i publikuje, raporty w których opisane są udokumentowane nadużycia, przestępstwa i zbrodnie aparatu władzy. Działają też Komitety Obrony Praworządności. Pismo *Praworządność* zajmuje się tego typu sprawami jako jednym ze swoich programowych zadań. Myślę, że iść dalej nie należy. Działalność wymiaru sprawiedliwości AK, aczkolwiek potrzebna i wnikliwa,

nie była jednak wolna od tragicznych pomyłek, czy nawet załamania osobistych porachunków. Jeśli chcemy tego uniknąć, musimy zatrzymać się na poziomie gromadzenia i publikowania dokumentacji, pozostawiając ostateczny osąd w pełni niezależnemu wymiarowi sprawiedliwości w wolnej Polsce.

R. „K”: — *Nie muszę chyba Pana przekonywać, że ruch niepodległościowy nie może liczyć na najmniejszą nawet pomoc ze strony Zachodu. Musimy zrobić maksymalny wysiłek, aby nawiązać współpracę ze społeczeństwami naszych wszystkich sąsiadów; taki wspólny front może w przyszłości odegrać dużą rolę. Proszę sobie przypomnieć głośny List Otwarty kardynała Wyszyńskiego do episkopatu niemieckiego. Przyczynił się on w dużej mierze do znormalizowania stosunków polsko-niemieckich. W tej dziedzinie „Solidarność” niewiele zrobiła poza znanym apelem na zjeździe „Solidarności” w Gdańsku, który zresztą nie spotkał się z jednomyślnym poparciem delegatów. Czy myśląc o takiej akcji nie należałoby zacząć od naszych mniejszości narodowych — od Ukraińców, Białorusinów, Litwinów — które mogłyby się stać swego rodzaju Piemontem?*

Z.B.: — Chciałbym podkreślić, że „Poślanie do narodów Europy Wschodniej” zostało uchwalone przez Zjazd przy niewielkiej tylko liczbie głosów przeciwnych i wstrzymujących się. Niewiele uchwał miało tak silne i żywiołowe poparcie. Faktem natomiast jest, że wśród niewielu jego przeciwników znalazło się kilku znanych i cenionych doradców, którzy swoje stanowisko uzasadniali względami bieżącej polityki.

Idea współpracy z naszymi sąsiadami jest bardzo bliska i ma silne poparcie wszystkich niemal niezależnych środowisk i ugrupowań w Polsce. Oczywiście zdają sobie doskonale sprawę z ogromnego znaczenia, jakie to może mieć dla naszej wspólnej przyszłości. Praktyka pokazuje jednak, że najsluszniejsza nawet idea musi jeszcze mieć także takich zwolenników, którzy chcą i umieją nadać jej sens poprzez praktyczną działalność. I tu dokładnie zaczyna się problem. Istnieje wprawdzie kwartalnik *Obóz* zajmujący się problemami wszystkich krajów „oboza komunistycznego”, wydawany jest *Biuletyn Informacyjny Obozu*, z którego to serwisu korzysta wiele pism, ukazują się publikacje książkowe i artykuły o naszych sąsiadach. Nie ma jednak pism czy wydawnictw w ich językach, i nie ma niezależnych instytucji kulturalnych i oświatowych poszczególnych mniejszości narodowych. A takim działaniem muszą być zainteresowane przede wszystkim owe mniejszości. Jesteśmy gotowi i jesteśmy w stanie udzielić potrzebnej pomocy tym, którzy działalność tę zainicjują i poprowadzą.

Od lat nikt poważny w Polsce nie kwestionuje granic z Ukrainą, Litwą i Białorusią. Emocje, jakie sprawa Wilna i Lwowa wciąż wywołuje wśród emigracji litewskiej i ukraińskiej, są więc dla nas niezrozumiałe. Mówiąc o tych problemach na łamach *Kultury* nie mogę pominąć prekursorskiej roli, jaką to pismo i publicystyka Juliusza Mieroszewskiego odegrały w tej sprawie i w przełamywaniu wzajemnych nieufności.

R. „K”: — *„Solidarność i Pan jesteście dzisiaj symbolem niezależnego społeczeństwa. Nie jest to jednak — i praktycznie nigdy nie był — ruch czysto związkowy, ale ruch społeczno-polityczny. Obecnie powstaje coraz więcej ośrodków i grup prowadzących własną działalność. W zasadzie jest to zdrowe i normalne. Centralizacja w warunkach podziemia jest praktycznie niemożliwa, byłaby jednak potrzebna jakaś koordynacja. Co Pan o tym myśli i jak ją Pan widzi?*

Z.B.: — Nie wprowadzałbym podziału na ruch czysto związkowy i ruch społeczno-polityczny. Trudno przecież w jakimkolwiek kraju wskazać ruch czy organizację, które miałyby większy wpływ na rzeczywistość niż autentyczny, świadomy swych zadań, związek zawodowy. Statutowy zapis wielu związków stwierdza, że celem ich jest ochrona praw, godności i interesów pracowników. Jeśli określeniem „pracownik” obejmujemy też lekarzy, dziennikarzy, sędziów czy aktorów, to jest oczywiste, że związek zawodowy musi walczyć i o ochronę etyki lekarskiej, i o wolność słowa, i o niezależność sądownictwa, i o swobody twórcze. W jednym kraju może się to ograniczać do interwencji w pojedynczych przypadkach, w innych do likwidacji patologicznego zjawiska społecznego, a w Polsce oznacza to zasadnicze reformy ustrojowe. Tak więc związek zawodowy ma tym większe znaczenie społeczno-polityczne, im więcej jest w danym kraju różnych deformacji społecznych, z patologią władzy włącznie. Oczywiście Związek musi jeszcze chcieć to robić i mieć dostatecznie duże możliwości organizacyjne i intelektualne. Nie negując roli demokracji parlamentarnej związkowy ruch społeczny jest szansą w organizowaniu bezpośredniej aktywności ludzi w ich miejscu pracy, środowisku zawodowym, czy społeczności lokalnej. Wydaje mi się, że znaczenie „Solidarności” nie tylko w Polsce wiąże się przede wszystkim z tym, że umiała jasno postawić sobie te zadania.

Zgadzam się, że przy takiej ich wielości (choć część z nich może być dziś rozważana jedynie teoretycznie) i przy rosnącej ilości inicjatyw, koordynacja działań jest potrzebna. Ma ona jednak sens wtedy, gdy dotyczy konkretnych spraw i gdy o jej potrzebie mówią struktury znające dokładnie swoje możliwości organizacyjne (co niestety nie zawsze ma miejsce).

Wydawnictwa łatwo koordynują swoje plany wydawnicze a redakcje pism organizują wymianę informacji. Regiony — członkowie TKK — uzgadniają bieżące zadania Związku i akcje dla ich realizacji. Bardzo szerokiej koordynacji wymaga liczenie frekwencji wyborczej. Ta akcja ujawnia zdolności organizacyjne poszczególnych struktur dając też wyobrażenie o zasięgu ich działań. Obok nadawania kierunku pracom organizacyjnym ośrodek koordynacyjny winien też nadawać ton w sprawach szerszej rozmianej polityki. Jednak taktyka i strategia działania jest bardziej wynikiem wolnej gry idei niż koordynacji. I tu TKK podlega ocenom tak jak każdy ośrodek opiniotwórczy. Okazało się przy tym, że mimo wszystkich naszych błędów pozostajemy ośrodkiem najbardziej znaczącym, zaś takie pomysły jak zakładanie „czysto politycznych” partii, czy też odrzucenie idei „Solidarności” nie znajdują zwolenników, zaś same partie poza hasłami nie są w stanie zaproponować konkretnych działań.

R. „K”: — *„Solidarność” na Zachodzie wymagałaby reform. Stan wojenny zaskoczył na Zachodzie wiele osób przypadkowych, nie znających tutejszych stosunków ani języków. Legitymowanie się posiadaniem mandatów czy stazu w „Solidarności” krajowej jest niewystarczającym kryterium. Jedyną oficjalną placówką jest praktycznie placówka „Solidarności” powstała w Brukseli, której działalność sprowadzona jest jednak wyłącznie do kontaktów i współpracy z zachodnimi związkami zawodowymi oraz do ścisłego wykonywania poleceń TKK. Niezależnie od biura w Brukseli powstała na Zachodzie cała masa komitetów, grup, redakcji pism, etc., legitymujących się „Solidarnością”. Kontakt z Panem jest trudny, liczni „delegaci” przyjeżdżający do Polski przedstawiali Panu swoje ułamkowe naświetlenia, partykularne interesy różnych grup, no i ambicje personalne. Nie lepiej wyglądają „delegaci” krajowi, którzy tu się zjawiają pogłębiając ogólne zamieszanie. Możliwości politycznego działania na Zachodzie są dla nas niewielkie, ale jednak są. Żeby móc je należycie wykorzystać powinno — moim zdaniem — pojawić się na Zachodzie jakaś znana i znacząca osobistość, która miałaby mandat nie tylko od Pana, ale od wszystkich ważniejszych ośrodków niezależnych w kraju. Byłby to ktoś w rodzaju rzecznika podziemia. Jak się Pan na to zapatruje?*

Z.B.: — Niestety, obecnie jest to niemożliwe. Zgadzam się, że mogłoby to mieć duże znaczenie. Byłoby też pomocą dla Jurka Milewskiego. Proponowaliśmy nielegalny wyjazd kilku osobom, o których wiedzieliśmy, że się do tej roli nadają. Odmówili. Właściwie jestem z tego zadowolony. Przecież najbardziej są oni

potrzebni właśnie tutaj. Od dziesiątków lat kolejne przymusowe emigracje pozbawiały kraj elit politycznych. Ostatnia, „Solidarnościowa”, emigracja osłabiła ważne, ale jedynie pojedyncze ośrodki, jak choćby Górny Śląsk. Ludzie z autorytetem odgrywają dziś wielką rolę. Wokół nich skupiają się i od nich uczą się kolejne pokolenia, które dzięki temu nie muszą zaczynać od zera. Sam wyrastałem na doświadczeniach działaczy KSS KOR. Teraz na naszych — działaczy „Solidarności” — uczą się inni. Powstaje w ten sposób liczna, paropokoleniowa elita o różnorodnym i bardzo bogatym doświadczeniu. Powstaje szkoła politycznego i społecznego działania mająca za sobą zarówno wielkie zrywy (Sierpień 1980), jak i wielkie porażki (13 grudnia), przygotowana do „długiego marszu”. To wielka szansa dla Polski.

Obawiam się też, że delegat z kraju mógłby tylko na krótko ożywić sprawę polską. Tymczasem potrzebne są nie tyle spektakularne sukcesy propagandowe, ile raczej zorganizowanie stałego polskiego lobby. A to już zadanie dla emigracji. Delegat z Polski niewiele może tu pomóc, skoro nie pomógł temu wybór polskiego Papieża i powstanie „Solidarności” — wydarzenia tworzące niesłychanie korzystną koniunkturę dla tego typu przedsięwzięć. Z punktu widzenia kraju istnieje coraz większa potrzeba politycznego zorganizowania się Polonii. Potrzebne jest poparcie Fundacji dla rolników indywidualnych na forum rządów i parlamentów. Potrzebne jest poparcie stanowiska kierownictwa „Solidarności” w sprawie pomocy gospodarczej dla Polski. Potrzebna nam jest współpraca z emigracją, aby umiejętnie zdyskontować na forum zachodnich rządów i parlamentów bojkot „wyborów”. Tego typu spraw będzie przybywać, a w momencie politycznego przełomu współpraca ze zorganizowaną emigracją mogłaby się okazać bezcenna. Pozostaje mi wyrazić nadzieję, że obecny proces tworzenia się w coraz szerszym zakresie bliskich kontaktów emigracji z opozycją w kraju i wzajemnego poznawania zrodzi niebawem potrzebę szerszego porozumienia się wewnątrz emigracji i stworzenia organizacji prowadzących politykę wypracowaną wspólnie z opozycją w kraju. Dopiero wtedy może się dla „Solidarności” okazać konieczne wysłanie przedstawiciela podziemia.

R. „K”: — *Wiele osób obawia się — ja również do nich należę — że na skutek katastrofalnie pogarszającej się sytuacji gospodarczej i obniżającej się stopy życiowej mas społeczeństwa może w Kraju nastąpić — mimo całej uspakajającej akcji Pana, Kościota i Wałęsy — niekontrolowany wybuch. Skutki takiego wybuchu są nieobliczalne. Czy Pan się z tym liczy i zastanawia się co w takim wypadku będzie robiła TKK?*



Z.B.: — Pojedyncze osoby nie mogą mieć wpływu na powstrzymanie wybuchu. Ja w każdym razie nie mam takich ambicji. Tonując działając natomiast istnienie zorganizowanego podziemia. Skala ewentualnego wybuchu, jego tło i dynamika, są obecnie nie do przewidzenia. Nie wiemy, jak wówczas zachowa się aparat represji, na ile władze będą w stanie stłumić wybuch, na ile gotowe będą do ustępstw. Kierownictwo „Solidarności” może poprzestać na dwóch żądaniach — uznania pluralizmu związkowego i oczywiście zaprzestania represji za działalność polityczną. Ale czy żądania społeczne zatrzymają się na tym poziomie? Przypuszczam, że nie. Wiele będzie zależało od dynamiki ruchu. To, co może obecnie zrobić TKK, ogranicza się do przygotowania łączności krajowej, zorganizowania informacji. Dlatego popieramy tworzenie jak największej liczby pism i wydawnictw, bo to one głównie tym się zajmą. Przygotowujemy się też do wyrażania społecznych żądań i przedstawienia sposobu ich realizacji.

Coraz częściej w rozmowach i prasie niezależnej pojawiają się głosy, że należy czekać na zryw, który obejmie co najmniej 2-3 kraje (Polska, Czechosłowacja, Węgry, NRD). Nie wiem, na ile to jest realne, lecz na pewno wybuch w którymkolwiek z tych krajów wiązać się będzie z niezwykle poruszeniem w Polsce. Wydaje się, że sytuacja izolowanego protestu już się nie powtórzy. Polskie społeczeństwo na pewno czynnie poprze każdy bunt w obozie. I wówczas pomoc emigracji, szczególnie ludzi mających wpływ na postawy rządów, umiejących dotrzeć do opinii publicznej, będzie miała ogromne znaczenie. I jest to właściwie pytanie do Polaków w wolnym świecie — czy będą oni wówczas potrafili wznieść się ponad partykularne interesy i ambicje, na ile będą mogli współpracować między sobą i stworzyć współpracę wszystkich emigrantów ze zniewolonej części Europy.

R. „K”: — *Szereg osób, które przed stanem wojennym zajmowały mniej lub bardziej eksponowane stanowiska w „Solidarności”, nie bierze obecnie żadnego udziału w pracach podziemia. Tym niemniej wiele z nich uważa się za upoważnionych do zabierania głosu na Zachodzie co nie zawsze daje korzystne rezultaty. Czy nie uważa Pan, że należałoby to ukrócić? Znakomicie oczyściłoby to atmosferę.*

Z.B.: — Nie możemy zmusić nikogo do współpracy, do działań w podziemiu. Nie mamy ani prawa ani możliwości zakazać komukolwiek zabierania głosu. Jeżeli natomiast ktoś, czy to w kraju czy przebywając za granicą, mówi oczywiste głupstwa, to jest sprawa jego poglądów i sumienia. Nasze stanowisko jest jasne.

R. „K”: — *Czym Pan tłumaczy, że TKK i w ogóle podziemie tak mało uwagi poświęcają sprawom gospodarczym i społecznym? Było to zrozumiałe w trudnym okresie „burzy i naporu”, ale po wprowadzeniu stanu wojennego byłby — zdawałoby się — czas na przemyślenie tych spraw. Robienie strajków czy protestów z powodu np. podwyżek cen jest na pewno niewystarczające.*

Z.B.: — Uważam, że strajków i protestów jest zdecydowanie za mało. To jedyny sposób zmuszenia władzy do reform. Tegoroczna paromiesięczna batalia po raz pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego przyniosła sukcesy „Solidarności” w zakładach pracy. Nie zakończyła się ona pełnym sukcesem, lecz władzom niełatwo będzie się znów zdecydować na klajstrowanie skutków swej polityki gospodarczej podwyżkami cen. Przełamany został strach przed strajkiem, odzyskana wiara w jego skuteczność, i kolejna podwyżka oznaczać będzie kolejną falę strajków. A taki układ sił czyni nasze propozycje gospodarcze słyszalnymi i pozwala realnie myśleć o ich urzeczywistnieniu.

Jeszcze przed 13 grudnia „Sieć wiodących zakładów pracy” zajęła się wielkim kompleksem spraw związanych z reformą gospodarczą. Opracowano kilka projektów ustaw, m.in. o samorządzie i o przedsiębiorstwie. Komisja Krajowa powołała zespół negocjujący sprawy gospodarcze. W stanie wojennym TKK poparła wchodzenie do samorządów i prowadzenie tam walki zarówno o reformę, jak i o interesy załogi. Co kwartał zespół ekspertów TKK przedstawia ocenę wyników gospodarczych. Opublikowane zostały dwa kluczowe dokumenty — stanowisko Związku w sprawie warunków przystąpienia do MFW oraz „Ocena pogrudniowej polityki gospodarczej rządu”. Przygotowywane są kolejne dokumenty. Kierownictwo „Solidarności” jest za udzieleniem Polsce kredytów, ale nikt z przywódców, zarówno w podziemiu jak i „na powierzchni”, nie uważa, że zachodnie rządy winny to zrobić bez istotnych zmian w funkcjonowaniu gospodarki. Jest to stanowisko mające powszechne społeczne poparcie.

Liczę, że nasz głos będzie co najmniej wysłuchany z uwagą. Nie przekonał mnie prof. Zbigniew Brzeziński i jego argumentacja, którą przedstawił m.in. na spotkaniu z Polonią w Sztokholmie. Rozumiem i doceniam potrzebę kompromisu, ale bez zasadniczych reform kolejne pożyczki zostaną wyrzucone w błoto, zaś my będziemy je spłacać ciągłym obniżaniem poziomu życia.

R. „K”: — *Czym Pan tłumaczy, że powstaje już ogromna literatura hagiograficzna, dotycząca „Solidarności”, KOR-u, etc., co do złudzenia przypomina hagiografię Legionów i sanacji w okresie międzywojennym, a nie ma przemyśleń długofalowych, które*

*dzisiaj mogą wydawać się nawet nierealne, ale których może zabraknąć przy zmianie sytuacji? Jest wielu doskonałych specjalistów, u których można by takie opracowania zamawiać. Pieniądze na przyzwoite stypendia na pewno znalazłyby się bez trudu, a prace mogłyby być anonimowe. Tego się nie robi, natomiast stale napływają wnioski o stypendia na jałowe przyczynkarstwa i to głównie z zakresu humanistyki?*

Z.B.: — Mam wątpliwości, czy można mówić o hagiografii. Krytyczne spojrzenie na „Solidarność” jest dość powszechne. Powiedziałbym nawet, że wielu publicystów zapomniało, czym był i w jakich warunkach działał Związek. Obowiązuje raczej zasada „a nie mówiłem”, co najwyraźniej występuje w niektórych głosach w dyskusji nad tekstem Andrzeja Walickiego w *Aneksie*. Sam tekst jest zresztą tego najlepszym przykładem. Obok takich wypowiedzi, i obok niewiele wnoszących do sprawy tekstów bezkrytycznych, powstało kilka znaczących prac, żeby wspomnieć o monografii szczecińskiej „Solidarności” dokonanej przez M. Szejnert i T. Zalewskiego, czy o historii „Solidarności” J. Holzera. Również J. J. Lipskiego historia KOR-u nie wydaje mi się panegirkiem. Są to pozycje, z których wielu będzie się uczyć. Obok tego powstają ciekawe eseje i artykuły publicystyczne.

Zgadzam się jednak, że system stypendialny w dzisiejszej postaci nie spełnia swych zadań — nie inspiruje prac o szerszym i długofalowym oddechu. Zarysowuje się dość poważny problem: specjaliści — prawnicy, socjologowie, ekonomiści, ekolodzy — nie są skłonni do całościowych opracowań perspektywicznych. Decyduje właśnie brak perspektywy. Nikt nie chce pisać ze świadomością, że jego praca, jeśli zostanie wykorzystana, to dopiero w odległej przyszłości. Żyjemy, co może jest naszą słabością, problemami teraźniejszości. Gdy zmieni się sytuacja, zmieni się też postawa specjalistów. Wystarczy przypomnieć, że pomiędzy sierpniem 1980 a grudniem 1981 w szybkim tempie powstały opracowania uwzględniające tak ówczesną, jak i przewidywaną rzeczywistość.

Wszystko to nie zmienia faktu, że obecny system stypendialny należy poprawić. Ale pewne korekty zawsze trzeba będzie wprowadzać wraz ze zmianą sytuacji. Dzisiaj różne rodzaje stypendiów spełniają często funkcje pomocy finansowej dla ludzi pozbawionych możliwości pracy, czy wykonywania zawodu. Jest to sposób o wiele lepszy niż dawanie wsparcia. Niemniej każdy specjalista, który zgłosi się i zapowie podjęcie prac nad ważnym opracowaniem otrzyma stypendium.

## Widziane z Brukseli

JIMMY REAGAN?

Ateny, piątek, 14 czerwca 1985, 9-ta rano czasu miejscowego. Boeing 727 linii amerykańskich TWA lot nr 847 z Kairu do Rzymu startuje w dalszą drogę po międzylądowaniu w Atenach z 143 pasażerami i 8 osobami załogi na pokładzie. 10 minut po starcie, dwóch młodych pasażerów o wyglądzie „śródziemnomorskim” (tak się mówi w prasie zachodniej o Arabach aby nie narazić się na zarzut rasizmu), opuściło swoje miejsca i z walizkami typu *attache case* udało się do toalet. Po chwili wyszli już bez walizeczek, ale za to z naganem 9 mm i dwoma granatami w rękach. „Ręce na kark, głowa w dół, ani słowa” wrzasnęli wyraźnie rozhisteryzowani džentelmeni, przystawiając rewolwer do skroni stewardessy i wymachując granatami przed kapitanem Johnem Tetrake, 58 lat, weteranem, który po tym właśnie locie miał odejść na emeryturę i zająć się winnicą w stanie Missuri.

Zamiast do Missuri obleciał w sześciu etapach morze Śródziemne.

1) Palermo na Sycylii. Bez problemów. Włosi natychmiast wypełnili zbiorniki aby tylko pozbyć się porywaczy i zakładników, choć był to wygodny moment aby unieruchomić samolot i zaatakować piratów.

2) Bejrut. Zaczynają się problemy. Porywacze przedstawiają się. „Należymy do szyckiej bojówki samobójczej Al Hussein. Domagamy się natychmiastowego zwolnienia wszystkich Arabów przetrzymywanych w więzieniach izraelskich, wycofania sił izraelskich z południowego Libanu, potępienia polityki amerykańskiej w całym świecie arabskim. Jeżeli nie, to wysadzamy wszystko w powietrze”. Na razie odlecieli z Bejrutu, a na znak ich szlachetnych intencji zwolnili 19 kobiet i dzieci.

3) Algier. Tu znowu jest okazja aby zaatakować porywaczy. Ale w Algierze to niemożliwe, nie będą strzelać do swoich. To wszak bracia w Islamie. Napelnili więc zbiorniki i powiedzieli „z Bogiem”.

4) Bejrut na nowo. Po drodze sprawy zaczynają się precyzować. Stewardessa Ula Derickson została wezwana do zebrania wszystkich paszportów i dokonania selekcji wśród pasażerów: chodziło o odseparowanie osób o nazwiskach brzmiących z żydowska.

Nie była to jedyna selekcja: w drugiej odseparowano czterech pasażerów podejrzanych o przynależenie do armii amerykańskiej. Po wylądowaniu Boeinga w Bejrucie, świat się dowiedział o co chodzi. Siedmiu podejrzanych o niedobre pochodzenie żydowskie zostało pod osłoną nocy zabranych z pokładu i wywiezionych w niewiadomym kierunku. Jeden z czterech podejrzanych

o związek z armią USA, Robert Stethen, amerykański nurek z Grecji, został bestialsko pobity, a potem zabity kulą w kark (skąd u Arabów ten sposób z Katynia?) i nieżywy wyrzucony na beton lotniska. „Na pokaz i na postrach”, powiedzieli. Porywacze byli nerwowo i fizycznie wyczerpani, na pokład weszli więc ich koledzy dla pomocy i rotacji. I odlecieli.

5) Algier na nowo. Tu porywacze dowiedzieli się, że ich wspólnik został aresztowany w Atenach. „Jeżeli Ali Atwa (znaczy się wspólnik) nie będzie natychmiast wysłany do Algieru, zabijemy ośmiu pasażerów greckich”. Został wysłany specjalnym samolotem Olympic Air, nie zabili ani jednego. Odwrotnie, wszystkich Greków zwolnili, w tym śpiewaka rock Denisa Russosa. Papan dreu odetchnął, a wraz z nim 50 innych rodzin, tyluż bowiem pasażerów zwolnili porywacze w Algierze. No i odlecieli.

6) Bejrut, na nowo. I na dobre. Porywacze byli nareszcie u siebie. Lotnisko Khaldé położone jest na południowym przedmieściu Bejrutu, całkowicie kontrolowanym przez bojówki szycyckiego ugrupowania Amal. Szyici, tacy trockiści Islamu — według wyrażenia Brońskiego — jedna z dwóch głównych sekt muzułmańskich, zamieszkujących głównie Iran, stanowią najliczniejszą z wielu wspólnot religijnych w Libanie, ale byli zawsze najbardziej, pozbawieni praw i wpływu na władzę, żyli na marginesie Libanu, oazy kultury i dobrobytu na Bliskim Wschodzie, kontroliowanym przez maronickich chrześcijan i sunnickich muzułmanów. Wojny religijne między sunitami a szyitami, między Druzami a chrześcijanami, ale także między każdym oddzielnie i wszystkimi razem z Palestyńczykami Arafata, najazdy Syrii i Izraela, zniszczyły Liban.

W koszmarnym kołowrotku historii Libanu ostatnich 15 lat, szyici postanowili wywalczyć należne im prawa. Zaczęli więc, tak jak inni, zabijać swoich i cudzych. Dziś jest to ruch reprezentowany w Libanie przez organizację wojskowo-polityczną Amal, co znaczy — żeby nie było wątpliwości — „Nadzieja”. Kiedyś sfrustrowani i bezradni, dziś szyici kontrolują całe południe Bejrutu i Libanu, w tym lotnisko. Jak każdy ruch religijny, Amal ma swoich sfanatyzowanych ekstremistów, zwą się Hezbollah, szaleńcy Boży, i działają pod wpływem i za pieniądze zwariowanych mollahów i ajatollów z Teheranu.

#### W domu

Kiedy więc, w 60 godzin po starcie z Aten, Boeing TWA wylądował po raz drugi w Bejrucie, porywacze znaleźli się po prostu w domu. Ich bojówki otoczyły samolot, Amal dał firmę. Amal, a zwłaszcza jego szef Nabih Berri. Postać, owszem, niebanalna: minister nieistniejącej „sprawiedliwości” w nieistniejącym rządzie nieistniejącej „jedności narodowej” nieistniejącego Libanu i nieistniejącego prezydenta Gamajela. Adwokat, pierwsza żona Amerykanka (ma z nią 6 dzieci i sieć stacji obsługowych w USA),

Berri, 47 lat, ubierający się wyłącznie po cywilnemu, nie podnoszący głosu, nic z fanatyka, wystarczająco sprytny aby przejąć i utrzymać od 10 lat przywództwo Amalu, natychmiast zrozumiał, że sfanatyzowani Hezbollahowie podali mu na tacy kolosalną szansę polityczną. I że on musi tę szansę wykorzystać. No i wykorzystał.

Przejął kierownictwo operacji. Przede wszystkim dla „zapewnienia bezpieczeństwa” zakładnikom w obliczu groźby akcji komandosów... izraelskich, wycofał pasażerów z Boeinga i rozrzucił ich po mieście, każdego oddzielnie, bez bicia ni krzyku, tak aby nikt poza nim nie mógł ich odnaleźć. I zaczął rozmawiać jak równy z równym z rządem USA, przede wszystkim za pośrednictwem amerykańskiej telewizji, która zainstalowała studio u niego w domu. Miał także bezpośredni kontakt z Białym Domem. P. McFarlane, następca Kissingera i Brzezińskiego na stanowisku doradcy prezydenta, osobiście z nim rozmawiał przez telefon i uznał, że p. Berri to osoba „zdolna do położenia kresu niedoli zakładników”.

I rzeczywiście. P. Berri wskazał drogę postępowania, udając się kilka razy do stolicy Syrii, Damaszku, na „konsultacje” z prezydentem Assadem. Prezydent Assad wskazał dalszą drogę udając się akurat w czasie porwania na „konsultacje” do Moskwy. Prezydent Reagan zrozumiał, że jest szansa uratowania twarży i zakładników. Bardzo podziękował panu Berri za zajęcie się zakładnikami, prezydentowi Assadowi za pomoc w ratowaniu zakładników, Czerwonemu Krzyżowi za gotowość przeprowadzenia akcji zwalniania więźniów w Izraelu, no i wysłał wiceprezydenta Busha do Frankfurtu, gdzie ostatecznie odzyskali wolność byli zakładnicy pochodzenia aryjskiego i żydowskiego.

W ten sposób super-potęga amerykańska nadała szefowi bojówek terrorystycznych rangę męża stanu, wycofała Syrię z listy państw terrorystycznych, którą sam Reagan ustalił, chociaż kraj ten patronował wielu zamachom — m.in. na Amerykanów, a kontrolowane przez niego bojówki przetrzymują nadal kilku Amerykanów porwanych w Bejrucie. Byli zakładnicy spożyli dwie pozęgalne kolacje, na deser był tort z napisem „Happy return” w lukrze. Tylko Bob Stethen, 23-letni, krótko ostrzyżony jak *marines* (to wystarczy, aby zginąć w Bejrucie) wrócił oddzielnie. W trumnie.

#### Banał i rutyna...

Całość zakończyła się więc wesołym oberkiem, na czym można by historię porwania Boeinga 727 linii TWA spokojnie zamknąć. Na pozór bowiem rzeczywiście nie było w tej historii niczego oryginalnego. Ot, banał i rutyna drugiej połowy dwudziestego wieku.

Nie był to wszak pierwszy Amerykanin zamordowany na zimno strzałem w głowę. Mjr Nicholson, oficer biura łącznikowego

armii USA w NRD został zastrzelony jak kaczką przez sowieckiego strażnika, bo się nieopatrznie zbliżył do czegoś, co ów obrońca pokoju i socjalizmu uważał za obiekt wojskowy. No, ale skoro poszedł w niepamięć południowo-koreański Boeing 747 i jego 269 pasażerów-szpiegów, w tym kilkudziesięciu obywateli USA, to oczywiście nie wypada nawet wspominać o jakimś majorze na ziemi niemieckiej czy nurku na libańskiej. Zresztą w samym Libanie poniosło śmierć w kilku zamachach innych szyickich szaleńców około 200 amerykańskich żołnierzy, których śmierć o tyle nie poszła na marne, że natychmiast potem cały kontyngent wycofano. Jak z Wietnamu — *toute proportion gardée*. W samym tylko 1984 roku terroryści uderzyli w 77 obiektów amerykańskich poza granicami USA, zabijając 61 osób, raniąc 144 i wyrządzając szkody na 24 miliony dolarów.

Nie był to także jakiś odosobniony wypadek gangsterstwa lotniczego. Kilka dni zanim (żeby się już bardziej nie cofać) Boeing TWA zamiast do Rzymu poleciał do Bejrutu, jordański Boeing został porwany i wysadzony w powietrze na tym samym lotnisku w Bejrucie. Kilka dni potem wybuchła bomba na lotnisku we Frankfurcie, zabijając trzy osoby. 23 czerwca eksplodował w powietrzu u wybrzeży irlandzkich Boeing 747 Air India, grzebiąc na dnie oceanu 329 pasażerów z załogą. Tego samego dnia, ale na lotnisku w Tokio, wybuchła bomba ukryta w bagażu właśnie wyładowanym z kanadyjskiego 747. To Sikhowie pogniewani na pana Gandhi postanowili urządzić sobie taki festiwal powietrzny. Można sobie wyobrazić, co by się działo gdyby rzeczywiście szaleńcy w turbanach na głowie byli „dobrze” nastawili mechanizm zegarowy i bomba wybuchła, tak jak na Air India, w powietrzu. Tym razem byłoby 450 ofiar.

Jeżeli chodzi o terroryzm w ogóle, to są już statystyki i to naukowe. *Time* informuje nas, w powołaniu na instytucję o niedwuznacznej nazwie „Risk Inc.”, że liczba aktów terroru na świecie wzrosła z 293 w 1970 roku do 3.500 w 1984 roku, co daje średnią 10 zamachów dziennie! Bilans ogólny w tzw. aspekcie ludzkim wynosi ok. 40.000 zabitych.

Terroryzm wszedł więc już dawno, żeby to tak powiedzieć, w życie, a raczej w śmierć codzienną i Amerykanie mogli i mieli czas się do tego zjawiska przyzwyczaić. A jednak porwanie Boeinga TWA zrobiło w USA kolosalne wrażenie. Prezydent Reagan wykrzyknął „Terroryści wypowiedzieli wojnę Ameryce”, Kongres się naradzał, Departament Stanu zagroził, że im pokaże, nawet w pierwszej chwili (długo to nie trwało), prasa amerykańska zapomniała, że powinna być przeciw prezydentowi niezależnie od sytuacji. Co się stało?

..ale nie w USA

Kilka zjawisk nałożyło się na siebie. Terroryzm był dla USA właściwie kategorią nieznaną, a w każdym razie odległą. Wszyst-

ko, jak wiadomo, jest względne, nawet w terrorze. W ciągu ostatnich 5 lat FBI zarejestrował w całych Stanach Zjednoczonych „tylko” 166 aktów typu terroru politycznego, co dało „tylko” 15 zabitych. W tym samym czasie z rąk, że tak powiem, normalnych bandytów padło w USA... 100.000 ofiar. Polityczny mord nie figurował więc na liście prawdziwego zagrożenia *American way of life*. Wbrew pozorom, filmom i „Dallas”, nie cała policja amerykańska jest skorumpowana, a niektórzy szeryfowie działają skutecznie. FBI odkryła na czas kandydatów na morderców Gandhiego w czasie jego wizyty w USA i zdemontowała także bandę zamierzającą zamordować prezydenta Hondurasu p. Suazo Cordova. Mord miał być dokonany z pobudek naturalnie ideowo-postępowych, ale FBI nakryła wraz z bojówką „rewolucjonistów”, 8 przemytników i 3 samoloty z kokainą. Wartość handlowa — 10 milionów dolarów.

Wszystkie ekstremizmy polityczne są właściwie w USA *under control*: neo-naziści, patrioci portorykańscy, nawet makabeusze z Ligi Żydowskiej, mającej, bez zabijania ludzi, zatruć, pod hasłem „*Let my people go*”, życie dyplomatom sowieckim w USA.

To przy okazji samolotu TWA i zamordowania na zimno i karnie obywatela USA, Amerykanie po raz pierwszy zrozumieli, że terror puka do ich drzwi, że zwyczajni cywile z dolarami w rękę mogą jak inni stać się przedmiotem politycznego szantażu, że paszport z napisem USA nie zapewnia bezpieczeństwa, że dziś, w dobie odrzutowców, turystyki i siły ich waluty, Amerykanie, i to nie żołnierze a cywile, kobiety i dzieci są zakładnikami, a mogą nawet płacić życiem za niezrozumiałe dla nich problemy polityczne odległych rejonów. I że cała super-potęga ich kraju, za którą płacą setkami miliardów dolarów rocznie, na nic się w takiej sytuacji nie przydaje.

Stany Zjednoczone nie wchodziły nawet do poważnych statystyk. Uniwersytet w Tel Awiwie zbadał (poza Libanem i Afganistanem — to są *Dinge an sich*) 412 poważnych aktów terroru. Otóż, bardzo ciekawe dało to wyniki: 40 % zamachów miało miejsce w Europie Zachodniej, 20 % na Bliskim Wschodzie, reszta w Ameryce Łacińskiej i na Dalekim Wschodzie. W USA — prawie zero. Tel Awiw doliczył się około 40 grup terrorystycznych, ale 14 z nich odpowiedzialnych jest za ponad połowę zamachów i ofiar. Szyici podpisali — poza Libanem — około 11 % zamachów, Palestyńczycy — tylko 9 % i to w większości zabijając siebie nawzajem.

Otóż samolotem TWA Amerykanie wlecieli w epokę politycznego terroru uświadomionego. Zdali sobie przy tym sprawę ze swoich własnych poważnych słabości strukturalnych. Jak można — w wypadku naprawdę poważnej ofensywy zawodowych terrorystów — ustrzec kraj, którego cała południowa granica jest właściwie nie strzeżona. Przez granicę z Meksykiem przenika do USA około miliona nielegalnych emigrantów rocznie. Jak ustrzec 90 elektrowni atomowych i 670 wojskowych obiektów z urządzeniami nuklearnymi, nie mówiąc już o bezbronnych ludziach, przed

wariatami, którzy strzelają w kark 23-letniego faceta i gotowi są do samobójstwa byle tylko ukarać białych i bogatych innowierców, lub po prostu innych! Biały Dom jest na pewno najlepiej strzeżonym obiektem w USA. A jednak p. Robert Lata, choć to człowiek cokolwiek „nie po kolei” jeżeli chodzi o umysł i charakter, wszedł wraz z orkiestrą marynarki do Białego Domu i został odkryty dopiero po 14 (słownie czternastu) minutach. W ciągu 14 minut, wyszkolone komando jakiś Che Gwarantów czy Husseinów, może spowodować dość poważne szkody w materiale i ludziach.

### *Hamlet czy nie Hamlet?*

Kiedy kpt. Testrake, 14 czerwca ok. 10-tej rano, nacisnął u siebie w kabinie specjalny guzik alarmowy oznaczający porwanie, w Waszyngtonie, gdzie zaledwie świeża, odezwały się dzwonki alarmowe: gdzieś nad Morzem Śródziemnym samolot amerykański jest w niebezpieczeństwie. Ponieważ jest to rejon delikatny, obudzono p. Mc Farlana, doradcę prezydenta. Kiedy już znane były polityczne okoliczności porwania, postanowiono obudzić prezydenta. Prezydent bardzo nie lubi być budzonym, zwłaszcza kiedy — jak to właśnie było — spędza *weekend* w słynnej daczce w Camp David. Ale zrozumiał, sprawa była ważna, kazał się informować na bieżąco.

Wszyscy wszak pamiętali jak się skończyło dla Jimmy Cartera porwanie i przetrzymanie zakładników amerykańskich w Teheranie. To się powtórzyć nie może. Reagan jest Ronald a nie Jimmy. Sekretarz stanu Shultz ostrzegł, że „nie może tak być aby każdy akt terroru powodował w tym kraju nieustające dyskusje w formie *happening*'u, żeby jak Hamlet marnować czas zastanawiając się czy uderzyć, a jeżeli uderzyć, to gdzie, kiedy i jak”. Doradca prezydenta, sekretarz stanu i Prezydent postanowili więc podjąć energiczne i zdecydowane kroki anty-terrorystyczne. I podjęli...

Po pierwsze, postawiono na nogi specjalny sztab anty-kryzysowy i anty-terrorystyczny. W biurze obok gabinetu Shultza rozwieszono kilka gigantycznych map, na których zapalały się światełka śledzące kolejne etapy przygody Boeinga. Na czele komórki stanął znany specjalista od terroryzmu, doradca Shultza, Robert Oakley, miał on bezpośrednie połączenia z Białym Domem i Pentagonem, a właściwie z całym światem. Tylko nie z kapitanem Testrake...

Po drugie, zarządzono pokaz siły na miejscu. Do kilkudziesięciu tysięcy głowic atomowych postanowiono dodać lotniskowiec „Nimitz”, który w towarzystwie krążownika „Południowa Karolina” i porte-helikoptera (razem kilka tysięcy bomb i kilka tysięcy *marines*'ów), zjawił się na redzie Bejrutu.

Po trzecie, zarządzono pokaz siły na odległość. Specjalna jednostka „Delta” została postawiona w stan alarmu. Powstała ona

po klęsce w Iranie w 1979 roku, kiedy to wyprawa mająca wyzwoleć zakładników w Teheranie skończyła się w Oazie Tabas ogromną klęską i kompromitacją i była jednym z czynników klęski wyborczej Cartera. „Delta” ma bazę w Fort Bragg, w Karolinie północnej, liczy 2.000 nadzwyczajnie wyszkolonych komandosów, dysponuje własnymi środkami transportu, helikopterami, a nawet dwiema łodziami podwodnymi, zdolnymi do przetrzucania ludzi „Delty” w największej dyskrecji w każde miejsce na świecie. „Delta” ma nadzwyczajną opinię, mimo, że — jak dotąd — jedyna jej operacja w terenie, przed inwazją Grenady, zakończyła się raczej niepomyślnie: 35 skoczków „Delty” wylądowało w nocy, aby opanować lotnisko w Port Salinas, ale dali się nakryć przez „doradców” Kubańczyków, którzy zabili lub ranili 22 komandosów. Uratował ich dopiero rano desant ich kolegów z morza.

Przy sprawie Bejrutu „Delta” została w domu. Operacja za trudna, powiedziano, tak jakby „Delta” była potrzebna do operacji łatwych. Ryzyko za wielkie, powiedzieli, tak jakby zawodowcy z „Delty” przygotowani zostali do operacji bez ryzyka.

„Delta” stacjonuje w środku USA, o 15.000 km od najbardziej prawdopodobnych i najbardziej gorących punktów ewentualnych terrorystycznych akcji anty-amerykańskich. O tym, żeby poszczególne komanda „Delty” stacjonowały w kilku punktach świata i zdolne były interweniować od razu, trudno chyba marzyć, jakie państwo zgodziłoby się na to? Moskwa nie musiała pytać o zgodę Bułgarii na międzylądowanie a nawet stacjonowanie swych spadochroniarzy, kiedy trzeba było straszyć interwencją na Bliskim Wschodzie lub ratować Nassera czy Sadata w 1973 roku. Stanom Zjednoczonym odmówiono w Europie Zachodniej, no i naturalnie w Grecji, prawa tankowania ich samolotów wiozących części zamienne do izraelskich Fantomów. Co dopiero powiedzieliby przy propozycji zainstalowania „Delty”?

Po czwarte, Biały Dom gotów był ponieść ryzyko i zasugerował uderzenie na Boeinga już w czasie pierwszego lądowania w Algierze. Ale rząd republiki algierskiej naturalnie odmówił: nie będziemy strzelać do naszych braci-piratów. A poza tym, powiedzieli, nie wiadomo do kogo strzelaliby nasi algierscy żołnierze, gdyby dowiedzieli się, że na pokładzie są Amerykanie.

Po piąte — tak jak tego domagali się porywacze — nawiązano dyskretne kontakty w sprawie zwolnienia szyckich więźniów w Izraelu. Ujawniła się tu bardzo ciekawa koncepcja dyplomatyczna. Izrael mianowicie już dawno, na długo przed porwaniem Boeinga 727 TWA, zapowiedział, iż ma zamiar zwolnić ponad 700 szyitów. Teraz rząd w Jerozolimie oświadczył, że szyitów natychmiast zwolni, bo życie amerykańskich obywateli jest najcenniejsze, ale tylko jeżeli Amerykanie go o to poproszą. Z własnej inicjatywy — powiedzieli — tego jednak teraz akurat nie zrobią, bo to oznaczałoby kapitulację wobec porywaczy, a Izrael na to sobie pozwolić nie może. Ale Waszyngton także sobie na to pozwolić nie chciał. Jimmy Shultz czy Jimmy Reagan, czy

Ronald Hamlet... mniejsza o nazwisko, równie dyskretnie zwrócono się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża aby zajął się pośrednictwem w tej sprawie.

Po szóste, nadano tytuły szlacheckie p. Nabih Berri, który kierował operacją i zamiast być traktowany jak zwyczajny opryszek, tyle że w krawacie a nie w drelichu, zaawansował z łaski Białego Domu do rangi wielkiego przywódcy politycznego. Pozwoli mu to naturalnie wybić jeszcze większą liczbę swych palestyńskich, chrześcijańskich czy izraelskich wrogów i poprowadzić rokowania przy okazji następnego porwania amerykańskiego samolotu. Po czym, znowu z łaski USA, zostanie już nie tylko ministrem sprawiedliwości, ale i transportu powietrznego, a nawet — czemu nie — premierem.

Po siódme, nawiązano kontakt roboczy z prezydentem Assadem, który kieruje dziś Syrią, Libanem, szyitami, Palestyńczykami, Nabihem Berri, oraz większością anty-amerykańskich akcji terrorystycznych na Bliskim Wschodzie i w innych okolicach prawdopodobnie też. Z nadania prezydenta USA, prezydent Syrii został wprowadzony do kategorii normalnych mężów stanu, a jego kraj zniknął — z opracowanej przez tego samego prezydenta USA — listy krajów uprawiających czy finansujących międzynarodowe operacje terrorystyczne, na której Syria dumnie figurowała obok Libii, Iranu, Północnej Korei czy Kuby.

Całość operacji, jak wspomniałem, zakończyła się nadzwyczajnie pomyślnym wynikiem. Ze starcia z bandą gangsterów, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wyszły zwycięsko, ratując 39 zakładników podczas gdy straty własne wyniosły tylko jednego nurka US Navy i kilka twarzy znanych z oficjalnych portretów i zdjęć prasowych. Nawet jeżeli — o czym na razie nic nie wiadomo — rząd amerykański zagroził użyciem siły czy sankcjami (jakimi?), to w każdym razie postępowanie amerykańskiej superpotęgi zasługuje na krótką analizę. Najpierw więc, co mógł rząd USA zrobić, jakie miał modele do wyboru.

#### Do wyboru

Po pierwsze, model włoski, ten z Palermo: byle się pozbyć i uszy po sobie, nie nadawał się do użycia. To był samolot i obywatele amerykańscy i Waszyngton nie mógł udać, że go to nic nie obchodzi.

Po drugie, model grecki: natychmiastowa kapitulacja przed terrorystami. Papandreu stawia się tylko Reaganowi, bo w tym starciu nie ponosi żadnego ryzyka. A poza tym terroryści mogą przecież działać z pobudek ideologiczno-postępowych, antyimperialistycznych, więc nie należy ich zwalczać. Śpiewak rock Rusos śpiewa postępowe teksty, więc jego wolność ważniejsza. Ten model też się dla USA nie nadawał. Opinia publiczna w USA tego by nie zniosła i partia republikańska tego by nie przeżyła. W przyszłych wyborach, naturalnie.

Po trzecie, model sowiecki: kara śmierci nie za porwanie, a za zamiar porwania, strzelanie na pokładzie lub na lotnisku przez KGB-istów, przebywających stale wśród pasażerów. W Gruzji, liberał o ujmującym uśmiechu nazwiskiem Szewardnadze, obecny minister spraw zagranicznych ZSSR, a poprzednio car Tyflisu, nakazał strzelać do porwanego samolotu (12 ofiar), a potem skazał na śmierć jeszcze dodatkowo czterech porywaczy, dzieci gruzińskiej nomenklatury. Kuzniecow i Dymyszcz, dziś szczęśliwie na Zachodzie, dostali wyroki śmierci w Leningradzie nie za nieudane porwanie, a za nieudany (i naiwny) zamiar porwania samolotu. A jak to zawodzi, to jeszcze jest Finlandia, zmuszona do wydawania tych, którym porwanie się udało. Teraz trzeba lecieć dalej, a to nie zawsze możliwe, nawet jeżeli się przeżyje pierwszą salwę KGB.

W KDL-ach jest podobnie. W Bułgarii złapali jakiegoś faceta, który podkładał bomby w stacjach zimowych sportów, ale nie zabił nikogo. Może nie lubił nart, a może żal mu było gór przecinanych wyciągami? Może to był taki ekologiczny terrorysta? Nikt się nie dowie, już mu ścięli głowę.

Po czwarte, model francuski: dużo krzyku, mało akcji. Francuska super-potęga nie jest w stanie wydostać swych czterech, Bogu ducha winnych obywateli, porwanych w Bejrucie w imię świętej sprawy szyckiej. Parlament uchwalił, rząd przemówił, prasa nie ustaje, nawet sam prezydent stanął na pierwszej linii i przyjął żony porwanych. Ale zakładników nie odzyskał. Polityka Francji wobec trzeciego świata i kompleksy pokolonialnej winy francuskich socjalistów wykluczają jakąkolwiek ostrą presję, nie mówiąc już o czynach wobec zwyczajnych gangsterów.

Po piąte, model izraelski: jest to jak na razie jedyny model skuteczny i to w kilku wariantach.

a) wersja Entebbe, najbardziej ryzykowna, ale i najbardziej opłacalna. Ratuje się zakładników, daje dobrą lekcję porywaczom i tym, którzy im pomagają. Nie każdego naturalnie na to stać, ale nie należy tego modelu lekceważyć.

b) EL AL, latająca forteca. Każdy wie, że są agenci na pokładzie, porywacze wiedzą, że nie wyjdą żywo, ich mocodawcy wiedzą, że nie będzie negocjacji. Odprawa na lotnisku w Tel Awiwie trwa dwie godziny, młody człowiek przeprowadzający rewisę bagażu zadaje kilkaset na pozór głupich pytań, ale potrafi sprawdzić przez komputer czy rzeczywiście spałeś tam gdzie mówisz i z kim. Na lotniskach zagranicznych EL AL ma specjalne wyjście i parkuje daleko od dworca, ma własną służbę sprawdzającą bagaże. Można tego wszytyckiego nie lubić, ale EL AL to najbezpieczniejsza linia świata.

c) Ostra, a czasem krwawa riposta, każdy akt terrorystyczny spotyka się z natychmiastowym aktem kontr-terrorystycznym. Możemy się moralnie krzywić na zasadę burzenia buldożerami lub wysadzania domów terrorystów w Cisjordanii, możemy nie lubić bombardowania osiedli w libańskiej dolinie Bekaa, gdzie pod syryjskim parasolem i opieką zaprzyjaźnionego z Reaganem pre-

zydenta Assada ulokowane są sztaby operacyjne wszystkich terrorystycznych ugrupowań z Bliskiego Wschodu, ale można sobie wyobrazić, co by się działo w Izraelu, gdyby takiej riposty nie było. Niech ten rzuci kamieniem...

### Paraliż postępu

Było więc modeli do wyboru i do koloru. A jaki to model Amerykanie wybrali w sprawie Boeinga TWA? Ja wiem, że „Delta” to nie Cahal, że Bejrut to nie Entebbe, że Berri i Assad to nie Amin Dada. Ryzyko operacji przy użyciu siły było rzeczywiście ogromne. Za ogromne jak na Stany Zjednoczone sparaliżowane ich własną potęgą wojskową i potęgą prasy amerykańskiej. Prasa, a zwłaszcza trzy główne sieci telewizji amerykańskiej, odegrały w sprawie zakładników w Bejrucie rolę zasługującą na bardzo troskliwe i zrównoważone zbadanie. Była to rola decydująca w najbardziej negatywnym sensie tego słowa, działała ona jak kolosalne *lobby* obezwładniające, pod pretekstem służby informacyjnej, wolę działania władzy i urabiające opinię publiczną w sensie kapitulacji za wszelką cenę. W skrócie, telewizja, pod pretekstem świętej informacji, oddała się w służbę terrorystom.

Żaden model Stanom więc nie odpowiadał. Powtarzam, że nie wiem, czy istnieje jakaś możliwa amerykańska wersja obrotu przed terroryzmem. Ale wiem, że jednym z elementów walki z terroryzmem jest zrozumienie istoty tego zjawiska. Amerykanie go nie rozumieją.

Nie rozumieją więc, że:

1) Terroryzm uważa gwałt i zabójstwo nie za środek do celu, a za cel sam w sobie. Jego źródłem jest nie tylko leninowska czy trockistowska apologia gwałtu, ale również filozofia Nietzschego a zwłaszcza jej uproszczona — żeby nie powiedzieć prostacka — wersja w wykonaniu Sartre'a. To Franz Fanon, jeden z „najlepszych” uczniów Sartre'a, doprowadził rozumowanie mistrza do kulminacji w książce „Les Damnés de la Terre”, do której mistrz osobiście napisał przedmowę. Jego formuła „gwałtu zorganizowanego i kierowanego” stanowi podstawę nowoczesnego terroryzmu politycznego. To on sformułował zasadę, że „gwałt jest siłą oczyszczającą jednostkę. Gwałt uwalnia jednostkę z jej wszystkich kompleksów niższości”. To właśnie ta linia rozumowania, prowadząca do wniosku, że terroryzm jest działaniem twórczym, wyprowadzającym jednostkę z bezwładu i rozpacz, stanowiła podstawowy argument Hitlera.

2) Terroryzm niszczy instynkt moralny człowieka, jego szacunek dla procesu politycznego jako sposobu rozwiązywania konfliktów społecznych. Terroryści odrzucają ideę „umowy społecznej”, tak jak ją widzieli Hobbes czy Locke, dla których proces polityczny jest zasadniczym mechanizmem cywilizacji. Dla terrorystów, gwałt ma zastąpić wszelką procedurę demokratyczną.

Terroryści arabscy, Baader-Meinhoff, IRA, ETA, Czerwone Brygady japońskie, nigdy nie okazali gotowości włączenia się w jakikolwiek proces demokratyczny i legalny. Wiedzą, że zostaliby zmieceni ze sceny politycznej.

3) Terroryzm wykorzystuje wolność jaką akcji politycznej zapewnia system demokratyczny. Wykorzystuje on podstawową słabość demokracji, polegającą na sprzeczności między koniecznością zwalczania niebezpieczeństwa terroryzmu, a środkami do jakich w tym celu państwo demokratyczne musiałoby sięgnąć, a które mogłyby okazać się niezgodne z hasłami... demokracji właśnie, przynajmniej w najbardziej konwencjonalnym sensie. Prowadzi to do ogromnego niebezpieczeństwa jakim jest powolne osłabianie woli walki społeczeństw demokratycznych z terroryzmem we wszelkiej postaci.

4) Terroryzm osłabia państwa demokratyczne. Są rządy, jak widzieliśmy, które jak Grecja kapitulują przed terrorystami nawet bez próby oporu, są inne, które negocjują przed kapitulacją, choć nie wiadomo co gorsze, bo nadają w ten sposób gangsterom statut równorzędnych partnerów, są inne które udzielają schronienia i azylu politycznego terrorystom, pod pretekstem, że chodzi tu o bojowników o postęp. Czyż nie było tak we Francji z terrorystami z baskijskiej ETA, lub z włoskich Czerwonych Brygad? Są państwa, które odmawiają solidarności, kiedy jakiś inny rząd stara się coś uczynić. Jedną z rzadkich prób konkretnej akcji po porwaniu Boeinga TWA był zamiar ogłoszenia przez Reagana blokady lotniska w Bejrucie, centrum światowego ruchu piratów powietrznych. Jeszcze Reagan nie skończył mówić, a już Francja i inne kraje ogłosiły, że się nie zgadzają, bo jak można karać naród libański za zbrodnie terrorystów. Jaki naród libański: szyicki, sunnicki, chrześcijański, palestyński? Terroryści, mówiąc w skrócie, chcieliby doprowadzić demokrację do samobójstwa. Są miejsca gdzie się im to udaje.

5) Terroryzm nie jest zjawiskiem statycznym, ale stanowi groźbę w stałym rozwoju. Jego światowa infrastruktura jest coraz lepiej zorganizowana, opiera się o sieci kryte przez paszporty dyplomatyczne państw uznanych przez ONZ, zasiadających w Radzie Bezpieczeństwa, będących członkami Komisji Praw Człowieka ONZ. Rząd libijski wysyła bojówki na całą Europę Zachodnią w celu mordowania przeciwników Kadaffiego i choć przy tej okazji padają też niewinne ofiary, np. młoda policjantka angielska, to nikt nie domaga się usunięcia Libii np. z UNESCO. Odwrotnie, sama UNESCO finansuje organizacje i programy kryjące nieraz działalność terrorystyczną. W czasie najazdu na Liban w 1982 roku, wojska izraelskie znalazły archiwa pełne dokumentów OLP, z których wynika, że ONZ-owska agencja pomocy Palestyńczykom w obozach, UNWRA, kryła bazy i arsenały terrorystyczne w przedszkolach i ambulatoriach, wynika także, że spora część funduszków na terroryzm pochodzi z Arabii Saudyjskiej i krajów zatoki perskiej, to znaczy z naszych dolarów płaconych za naftę.

6) Terroryzm może więc zniszczyć państwo demokratyczne, ale nie może i nie chce zniszczyć państwa totalitarnego. Odwrotnie, terroryzm przyczynia się do rozszerzenia bazy totalitarnej na świecie, w zamian za co państwa totalitarne udzielają mu pomocy i azylu, baz treningowych i broni, pieniędzy i poparcia dyplomatycznego. Z wyjątkiem epizodu między-arabskiego z Abu Daudem nieskutecznie postrzelonym w warszawskim hotelu i porachunków przy pomocy bomb w samochodach między „studentami” arabskimi w Bukareszcie, żaden kraj komunistyczny, ze Związkiem Sowieckim na czele, nie był nigdy celem ataku międzynarodowego terroryzmu.

### *Cui prodest?*

I to powinien być zasadniczy wniosek dla USA. Międzynarodowy terroryzm nie jest zjawiskiem odosobnionym, samym w sobie, ale wchodzi w ogólny bilans równowagi sił na świecie, w sensie niekorzystnym dla Zachodu i demokracji. Międzynarodowy terroryzm osłabia demokracje w starciu z komunizmem.

Mimo leninowskiej szkoły terrorystycznego myślenia i działania, mimo sieci szkoleniowych obozów terrorystycznych od Karłowych War, poprzez Warnę, Balaton, Hawanę, aż po Symferopol, Odessę i Taszkient, mimo obecności „instruktorów” sowieckich, NRD-owskich czy północnokoreańskich w Nikaragui, Mozambiku, no i przede wszystkim w bazach palestyńskich w Libanie, nikt rozumny nie twierdzi, że wszystkie szaleństwa terrorystów na świecie są inspirowane i zorganizowane przez bolszewików z nożem w zębach. To zresztą — nawiasem mówiąc — szkoda, że tak nie jest, wtedy bowiem wiadomo by było z kim rozmawiać i z kim w razie czego się rozliczać. W terroryzmie jak w pacyfizmie najgorsi nie są ci, którzy to robią za sowieckie pieniądze lub z ideologii prosowieckiej, ale ci którzy to robią z przekonania i fanatyzmu pokojowego, jak w pacyfizmie, lub gwałtownego jak w terroryzmie.

Fanatycy Islamu czy Baskowie nie czekali na Lenina aby zabić przeciwników, Irlandczycy strzelają do Anglików już 400 lat. Ale były to wtedy zjawiska lokalne. Dziś, jakkolwiek byłyby albo nie udział ZSSR w organizowaniu ataków na bazy amerykańskie w RFN, bóżnicę w Paryżu, na Papieża w Rzymie, na samoloty TWA, jest faktem, że to ZSSR nauczył i uzbroił terrorystów, to ZSSR stanowi ich główną tarczę w świecie dyplomatycznym, to ZSSR nawołuje do demontażu demokracji, która jest wyłącznym celem ataków terrorystycznych, to ZSSR jest głównym beneficjentem światowego terroryzmu. Wszystkie kraje wymienione przez Reagana jako „sponsorzy” międzynarodowego terroryzmu: Libia, Kuba, Nikaragua, tzw. demokratyczna republika Yemenu, północna Korea, oraz wymieniana przedtem, ale już wymazana, Syria, to kraje pozostające pod parasolem sowieckim, związane z Moskwą mniej lub bardziej widocznymi nićmi. Rea-

gan oficjalnie oskarżył te kraje o odpowiedzialność za akty międzynarodowego terroru. No a gdzie riposta? Dlaczego nie uczynił najmniejszej aluzji do głównego patrona? Reagan zapowiedział, że mordercy Roberta Stethena zostaną odnalezieni i ukarani. No i co? Jeżeli terroryzm międzynarodowy ma zostać przyhamowany, a potem wytepiiony, takie ostrzeżenia i takie zapowiedzi nie mogą pozostać bez skutków, muszą być dotrzymane.

8 sierpnia 1985 roku wybuchła bomba w głównej europejskiej bazie amerykańskiego lotnictwa pod Frankfurtem. Zginęło trzech Amerykanów, rannych było ok. 20, szkody ogromne. Do odpowiedzialności za bombę przyznały się dwie grupy terrorystyczne: niemiecka Rote Armee i francuska Action Directe. Był to pierwszy wypadek wspólnego rewindykowania zamachu przez te dwie bandy o bogatej przeszłości „zawodowej”. Ale nie była to niespodzianka. 15 stycznia 1985 roku obie te grupy uprzedziły opinię i rządy i to w dwóch językach, żeby nie było problemu z tłumaczeniem, że „podejmują wspólną akcję w Europie Zachodniej przeciwko strategii imperialistycznej i jej najbardziej wysuniętej strukturze, Paktowi Atlantyckiemu”.

Nie rzucili słów na darmo. W styczniu zastrzelony został gen. Audran, francuski specjalista od uzbrojenia, w lutym Ernst Zimmerman, patron AEG w Monachium, w czerwcu bomba wybuchła w tej samej bazie we Frankfurcie (3 ofiary), inne miesiące wypełniła seria wybuchów podpisanych CCC „Cellules Communistes Combattantes”, która wstrząsnęła kilkoma budynkami w Belgii, związanymi blisko czy daleko z Sojuszem Atlantyckim. (Uprzedzam krytyków, że o terroryzmie łańcisko-amerykańskim nie wspominam, bo to zupełnie oddzielny temat).

Otóż, co powinno zainteresować specjalistów od terroryzmu w Białym Domu (jeżeli rzeczywiście tacy istnieją), to fakt, iż pierwszy pisany dokument zapowiadający nową jakościowo formułę i falę euro-terroryzmu, podpisany został „Komando George Jackson”. Kto to jest George Jackson? To ofiara „amerykańskiego imperializmu” właśnie.

Ów Jackson, Murzyn, został aresztowany kiedy miał 18 lat, za udział w napadzie na stację obsługi. Łup wynosił 70 dolarów, ale Jackson, jak to bywa w USA, już z więzienia żywy nie wyszedł. Najpierw brat George'a, Jonathan, został zastrzelony (miał 17 lat) przez policję, kiedy brał zakładników, aby uwolnić swych kumpli z więzienia. Sam George przebywał już w więzieniu w San Quentin (to nie sanatorium), gdzie został przeniesiony po tym kiedy, nie wiadomo czy słusznie, został oskarżony o zamordowanie strażnika więziennego (białego) przy próbie ucieczki w poprzednim więzieniu Soledad, w styczniu 1971 roku. Otóż George Jackson został zastrzelony kulą w plecy w sierpniu 1971, podczas nowej próby ucieczki. Byłaby to historia niestety prawie banalna w USA, gdyby nie książka — wybór listów napisanych między 1964-1970 rokiem, wspólnie, przez George Jacksona i dwóch innych „braci” (tak się nazywają ci Czarni, którzy uwa-



zają się za rewolucjonistów w USA), więźniów San Quentin, wydaną w 1970 roku pod tytułem „Bracia z Soledad”.

Można się więc założyć, że następne dwa zamachy euro-terrorystyczne w Frankfurcie lub w innej bazie USA, będą podpisane kolejno przez „brata” John Clutchette i „brata” Fleeta Drumgo, współautorów książki. Czy Waszyngton *aluzju poniał*, czy trzeba jeszcze innych podpisów?

### *Sześć dni, które nie wstrząsnęły nikim*

Konkluzja jest prosta. Terroryzm międzynarodowy nie jest dla świata demokratycznego problemem marginesowym, zjawiskiem, które można utrzymać w ryzach i pod kontrolą, do jakiego się można przyzwyczaić. Z terroryzmem nie można żyć. Terroryzm stanowi rosnącą groźbę dla pokoju, stabilności świata w ogóle, a demokracji w szczególności. Na terroryzm nie ma formuły magicznej, nie da go się zlikwidować bez rozpoznania zjawiska i wspólnej, solidarnej i zdecydowanej akcji zaradczej.

Podstawowym elementem takiej akcji mogą być tylko: autorytet, rozwaga, znajomość przeciwnika, wola walki no i przede wszystkim siła Stanów Zjednoczonych.

Kiedy po Carterze obejmował owalny salon Białego Domu Reagan, oświadczył on, iż „sprawa zakładników w Teheranie nie powinna być trwać nawet sześciu dni. Był to wstyd i upokorzenie USA”. Znacznie prostsza sprawa TWA w Bejrucie trwała 17 dni. Czy teraz USA nie są zawstydzone i upokorzone? Reagan oświadczył: „Terroryzm wydał wojnę Stanom Zjednoczonym”. To prawda. Stany Zjednoczone powinny więc walczyć. Inaczej tę wojnę przegrają. A my z nimi.

Leopold UNGER

Pisane 14 sierpnia 1985

## Korespondencja z Rzymu

### *Czy zwrot w polityce wschodniej?*

W ostatnim roku na odcinku tzw. watykańskiej *Ostpolitik* doszło wszędzie do wyraźnego pogorszenia stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską i odnośnymi rządami krajów bloku. A to głównie z powodu omawianego już na tych łamach watykańskiego dokumentu o teologii wyzwolenia, którego pewne fragmenty Moskwa i Praga, ale także inne stolicy Europy Wschodniej uznały

jako obraźliwe i uniemożliwiające dialog. Ataki propagandy komunistycznej nie były jednak — rzecz zmienna — skierowane przeciw dyplomacji watykańskiej, lecz przeciw Papieżowi i kardynałowi Ratzingerowi, prefektowi Kongregacji Doktryny Wiary (dawne Święte Oficjum), która ogłosiła inkryminowany dokument, aprobowany przez Jana Pawła II. W ciągu ostatnich miesięcy atmosfera zaczęła się jednak stopniowo poprawiać. Jak zwykle zadecydowały o tym w dużej mierze wymogi polityki zagranicznej w związku z dojściem do władzy Gorbaczowa i dobrym przyjęciem przez Moskwę raportu Papieskiej Akademii Nauk w sprawie zbrojeń kosmicznych (tzw. wojny gwiazdowej). Wprawdzie raport ten nie został dotąd opublikowany, ale z pewnych niedyskrecji i wynurzeń samego prezesa Akademii wynika, że występuje on przeciw amerykańskiemu planom w tej dziedzinie. Do pełnego rozjaśnienia, jeśli nie wręcz początku odwrócenia dotychczasowej tendencji, blokującej watykańskie „otwarcie ku Wschodowi”, przyczyniła się ostatnia encyklika papieska *Slavorum Apostoli*.

Wbrew przewidywaniom i obawom, którym dawali wyraz m.in. funkcjonariusze czechosłowaccy odpowiedzialni za sektor kościelny, nie zawiera ona drastycznych sformułowań brzmiałych jak reprimenda pod adresem reżimów komunistycznych. Nie zawiera potępienia łamania praw człowieka i swobód religijnych. Jej treść i cały wydźwięk mają charakter pozytywny. Encyklika została zinterpretowana jako apel o jedność Europy, jako wkład do dowartościowania tożsamości słowiańskiej i zarazem europejskiej, jako wezwanie do przywrócenia równowagi pomiędzy Wschodem i Zachodem i zarazem jako wezwanie do nieignorowania — a co gorzej odpisywania na straty — żywotności duchowej Europy środkowo-wschodniej. Nic więc dziwnego, że przyjęto ją bez zastrzeżeń w stolicach krajów bloku sowieckiego. Okoliczność ta spowodowała tymczasem wyraźną zmianę atmosfery. Czy przyniesie także konkretne skutki — za wcześnie sądzić. Jest jednak rzeczą zmienną, że nawet rząd czechosłowacki, który do niedawna jeszcze nie zdradzał żadnej ochoty do rozmów, okazał ostatnio gotowość do podjęcia rokowań. Zaprosił oficjalnie kardynała Casarolięgo, legata papieskiego, który niezależnie od przewodniczenia jubileuszowym uroczystościom w Welehradzie ku czci świętych Cyryla i Metodego, przeprowadził rozmowy w Pradze. Jego spotkanie z prezydentem Husakiem umożliwiło przedstawienie stanowiska Watykanu na najwyższym szczeblu, co było nie do pomyślenia na przestrzeni ostatnich 20 lat, i w konsekwencji doprowadziło następnego dnia do poufnej narady z wicepremierem Lučanem, odpowiedzialnym za sprawy kościelne i z innymi przedstawicielami rządu. Żle poinformowane i patrzące z nawyku przez czarne okulary niektóre gazety zachodnie twierdziły, że spotkanie delegacji watykańskiej z przedstawicielami rządu zostało odwołane w poniedziałek 8 lipca — tymczasem odbyło się ono już w sobotę 6 lipca. Jak się wydaje, władze praskie udzieliły obietnic, jeśli chodzi o nominacje

biskupów na wakujące stolice diecezjalne, na co Watykan naciska daremnie od wielu lat, i pewne ulgi dla kleru i zgromadzeń zakonnych. Wszystko ma być utrzymane w duchu „gradualizmu”, czyli realizowane stopniowo i bez nadmiernego rozgłosu. Uzgodniono, że trzeba znaleźć drogi prowadzące do porozumienia. Wystawnicy Watykanu podkreślili z uznaniem, że władze — wbrew przewidywaniom i obawom — nie ingerowały w przebieg uroczystości w Welehradzie i nie utrudniały dostępu wiernym, co spowodowało, że uczestniczyło w niej około 150 tys. osób — liczba rekordowa, o czym do niedawna jeszcze nikt nie mógł nawet marzyć. Po raz pierwszy doszło do publicznych przejawów kontestacji w czasie wystąpienia federalnego ministra kultury Klusaka oraz do owacji na cześć nieobecnego Papieża.

Jest rzeczą nader charakterystyczną, że tak jak w przypadku Czechosłowacji, tak i w podobnych sytuacjach w innych krajach bloku, dyplomacja watykańska widzi źródło braków i niedociągnięć nie tylko w złej woli i postawie danych rządów, lecz również w niedostatecznej gorliwości pastoralnej duchowieństwa. Odnosi się to także do Węgier, gdzie położenie Kościoła jest bez porównania lepsze, niż gdzie indziej z wyjątkiem Polski. Jak zauważył pewien dyplomata watykański, obeznany z rzeczywistością krajów Europy wschodniej: „Nie wszyscy duchowni w Czechosłowacji wykorzystują istniejące możliwości działania, wola nieraz siedzieć cicho, zastraszając się pretekstem ciężącej atmosfery”. O realizmie dyplomacji watykańskiej świadczą także okoliczność, że nie dramatyzuje ona problemu kapłanów należących do proreżimowej organizacji „Pacem in terris” — przeciwnie, uważa, że co najmniej 80 % członków „jest w porządku”, znaleźli się w niej bowiem wyłącznie, by uzyskać ekwiwalent w postaci ułatwień duszpasterskich. Dyplomacja watykańska w zasadzie nie dąży do zmiany obowiązującego ustawodawstwa ograniczającego swobody Kościoła i wiernych. Dąży natomiast do tego, by te antykościelne ustawy czy rozporządzenia nie były wprowadzane w życie. Z tego punktu widzenia lepiej niż w Czechosłowacji wygląda sytuacja w Rumunii, gdzie władze są względnie tolerancyjne. W istocie rzeczy nie ustawy, lecz określona praktyka stanowi przeszkodę zarówno w działalności duszpasterskiej, jak i życiu społecznym.

Punktem ciężkości powodzenia lub niepowodzenia watykańskiej „polityki wschodniej” jest oczywiście stanowisko Moskwy. Jak dotąd ze strony nowego kierownictwa brak sygnałów pożądaney zmiany dotychczasowego, nieprzejednanego stanowiska. Watykanowi zależy na tym, by otworzyć zablokowane kanały kontaktowe ze wspólnotami katolickimi w ZSSR. Chodzi przede wszystkim o Litwę, Łotwę i Białoruś, o to, by przedstawiciele Watykanu mogli swobodnie komunikować się z tymi wspólnotami i odwrotnie — by biskupi i kapłani stamtąd mogli bez przeszkód przyjeżdżać do Rzymu. Tak brzmiał jeden z głównych postulatów przedłożonych w lutym br. ówczesnemu min. Gromyce w czasie wizyty w Watykanie.

Kto wie, czy wizyta kardynała Casaroliego w Pradze (należy pamiętać, że prezydent Husak nazajutrz po rozmowie z Casarolim poleciał do Moskwy) nie stanowi preludium do jego podróży na Litwę. Nie odbyła się ona, jak wiadomo, w sierpniu ubiegłego roku na skutek odmowy sowieckiej. Dopiero kiedy do niej dojdzie będzie można poważnie rozważać ewentualność podróży Jana Pawła II na Litwę, co pociągałoby za sobą konieczność zatrzymania się w Moskwie. W roku 1988 Kościół prawosławny będzie obchodził uroczystości tysiąclecie chrztu Rusi. Z tym właśnie jubileuszem niektórzy obserwatorzy łączą możliwość wizyty Papieża. Na pewno jej pragnie, ale jak dotąd można mówić jedynie o „pobożnym życzeniu”. Przedtem bowiem musiałyby zaistnieć odpowiednie warunki nie tylko na płaszczyźnie dyplomatycznej i wewnętrznej w ZSSR. Wyraźny postęp musiałby nastąpić także w aspekcie ekumenicznym. Choć dialog teologiczny pomiędzy prawosławiem i Kościołem katolickim posuwa się powoli naprzód — dialog z patriarchatem rosyjskim w ludzkim, szerszym tego słowa znaczeniu, utknął na martwym punkcie.

#### Pobratymcy

Katolicki tygodnik słowacki *Katolicke Noviny* zignorował podniesienie do godności kardynalskiej Słowaka, Józefa Tomko. Wśród 28 nowokreowanych kardynałów nominacja ta stanowiła jedną z głównych niespodzianek ostatniego konsystorza, zwłaszcza, że równocześnie Jan Paweł II mianował go prefektem Kongregacji Ewangelizacji Ludów, dawniej zwanej *Propaganda Fide* (Krzewienie Wiary), jednej z najważniejszych dykasterii Kurii Rzymskiej. Błyskawiczna kariera J. Tomko zwróciła uwagę obserwatorów watykańskich. Urodzony w 1924 roku opuścił Słowację w 1945 i po ukończeniu studiów na uniwersytetach papieskich (trzy doktoraty: z teologii, prawa kanonicznego i nauk społecznych) był przez 15 lat wicerektorem czeskiego Kolegium św. Nepomucena w Rzymie. W 1962 roku zaczął pracować równocześnie w Kongregacji Doktryny Wiary, a w grudniu 1974 został mianowany podsekretarzem w Kongregacji Biskupów. W lipcu 1979 r. Jan Paweł II mianował go sekretarzem generalnym Synodu Biskupów, a we wrześniu tego samego roku udzielił mu sakry biskupiej. W ciągu sześciu lat Tomko przygotował dwa kolejne zgromadzenia synodalne (1980 i 1983) i zaczął przygotowania do tegorocznego synodu nadzwyczajnego, zwołanego przez Papieża w związku z 20-tą rocznicą Drugiego Soboru Watykańskiego. Na tym stanowisku odznaczył się wielką pracowitością i dynamizmem, dzięki czemu działalność sekretariatu i Stałej Rady Synodu nabrała rozmachu. Niezależnie od tego przyczynił się walnie do rozwoju duszpasterstwa emigracji jako założyciel słowackiego Instytutu św. Cyryla i Metodego w Rzymie i wizytator ośrodków emigracji słowackiej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i krajach Europy Zachodniej. Liczne podróże w charakterze wysła-

nika Stolicy Apostolskiej na konferencje episkopatów na całym świecie pozwoliły mu poznać dogłębnie sytuację wielu Kościołów lokalnych i zjednały mu szerokie uznanie.

Ci, którzy mają z nim ciągłą styczność twierdzą, że wykazuje rozwagę i autodyscyplinę i należy niewątpliwie do kręgu najbliższych doradców Papieża, do których żywi on szczególnie zaufanie. W swym przemówieniu do rodaków na audyencji z okazji konsystorza Tomko podkreślił więzy, jakie łączą naród słowacki z Kościołem powszechnym: „Tradycja Cyryla i Metodego skłania Słowaków jako bezpośrednich spadkobierców do refleksji nad ich miejscem na obecnej i przyszłej scenie europejskiej”.

Drugi z naszych pobratymców kreowanych na kardynała, Mirosław Lubacziwskij, urodził się 71 lat temu w archidiecezji lwowskiej. Otrzymał święcenia kapłańskie w 1938 roku z rąk abpa Andrzeja Szeptyckiego, metropolity lwowskiego obrządku grekokatolickiego. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej udał się na dalsze studia do Rzymu, skąd w 1947 roku przeniósł się do USA. Poświęcił się tam duszpasterstwu w parafiach ukraińskich obrządku grekokatolickiego. Na przełomie lat 60-tych i 70-tych był dyrektorem duchownych seminariów ukraińskich w Waszyngtonie i Stanfordzie. Po nominacji na metropolitę Filadelfii Jan Paweł II udzielił mu sakry biskupiej 12 listopada 1979 roku w Kaplicy Sykstyńskiej w czasie uroczystej liturgii w obrządku wschodnim z udziałem kardynała Slipyja. W marcu 1980 roku w czasie Synodu biskupów ukraińskich, zwołanego w Watykanie, został wybrany koadiutorem kardynała Slipyja jako Arcybiskupa Większego Lwowa dla Ukraińców, z prawem do sukcesji. Stał się faktycznie następcą Slipyja po jego śmierci 7 września 1984 roku. Od swego wystąpienia na pogrzebie patriarchy, kontestowany przedtem przez nacjonalistyczny odłam emigracji i raczej niepopularny, Lubacziwskij „zaczął wchodzić w buty przywódcy duchowego emigracji” — jak się wyraził jeden z czołowych działaczy ukraińskich ze Stanów Zjednoczonych. Jest on niewątpliwie kontynuatorem zasadniczej linii swego wielkiego poprzednika, choć w sprawie nieuznanego dotąd przez Watykan patriarchy ukraińskiego zajmuje stanowisko mniej uparte, przystosowując się elastycznie do wymogów watykańskiej *Ostpolitik*, a więc traktując ten postulat bez nacisków i w dalekiej perspektywie. Jego dotychczasowe kroki i publiczne wystąpienia w sprawach ogólnonarodowych i kościelnych nie odbiegają jednak od istoty strategii Slipyja. W liście pasterskim z 11 kwietnia br. przypomniał daty sprzed 40 lat, kiedy pięciu biskupów ukraińskich aresztowano na obszarach dawnej Małopolski Wschodniej, wcielonych do ZSSR. Protestował przeciw trwającym wciąż prześladowaniom katolików na Ukrainie, zmuszonych do zejścia do współczesnych katakumb. Określił ostatnie 40 lat historii Kościoła ukraińskiego jako „próbę ogniową” i wezwał wiernych do walki z prześladowaniami poprzez modlitwę i wzrost powołań do stanu kapłańskiego. W ten sposób ukraińscy grekokatolicy, rozproszeni po świecie, będą — jego zdaniem —

przygotowani do nadejścia dnia, w którym będzie im dane swobodnie głosić na nowo Ewangelię na ziemi ojczyściej.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 sierpnia 1985 r.

P.S. Muszę sprostować nieścisłość, jaka zakradła się do mojej noty pt. „Trzeci zawias” (*Kultura* nr 7-8, 1985). To nie śp. kard. Wyszyński — jak błędnie napisałem — ale ówczesny metropolita Wojtyła z okazji podniesienia go do godności kardynalskiej w 1967 roku powiedział, że: „Kościół w Polsce jest od tej pory zawieszony na dwóch zawiasach”.

## Wojna gwiezdna

Stosunek liberalnej prasy amerykańskiej zmienia się ostatnio zdecydowanie na korzyść propozycji Ronalda Reagana odnośnie tzw. wojny gwiezdnej. Ponieważ to określenie powoduje nieporozumienia, zmieniono je na „Strategiczną Inicjatywę Obronną”, co lepiej oddaje istotę rzeczy. Amerykańskie *mass media* zmieniły swój stosunek do tej, wysoce niepopularnej przez dwa lata koncepcji, na skutek zmiany stanowiska fizyków nuklearnych, z których wielu uważało propozycję Reagana za czystą fantazję, gdyż przy bardzo wątpliwych efektach musiałaby kosztować tryliony dolarów. Zmiana postawy uczonych jest następstwem wyników nowych badań. Ładunki laserowe można będzie wysyłać z instalacji naziemnych z szybkością światła i przekazywać wyposażonym w lustra satelitom, zawieszonym w przestrzeni kosmicznej. Satelity te, zaopatrzone w zestaw maksymalnie zminiaturyzowanych komputerów, mogą dokonywać miliardowych operacji w ciągu sekundy — między innymi nakierowywać laserowe ładunki na właściwy cel za pośrednictwem luster umieszczonych w przestrzeni kosmicznej. Lustra te bowiem nie zmieniając swego położenia mogą zmieniać w miliardowym ułamku sekundy swoje ogniska tak, by razić laserem zbliżające się pociski. Oczywiście nikt z laików niewprowadzonych w badania nie wie i wiedzieć nie może jak to jest możliwe. Początkowo wynalazek ten uważano za nierealny, ponieważ eksperci kongresowi obliczyli, że będzie potrzeba tyle satelitów ile Sowiety posiadają pocisków a więc około 10.000. Obliczenia te okazały się wysoce nieprecyzyjne. Korekty dokonał świetny specjalista, fizyk Gregory Canava, pracujący w ośrodku badawczym w Los Alamos. Na czterech stronach dokonał bezbłędnych obliczeń, z których wy-

nika że liczbie 10.000 przypuszczalnych rakiet sowieckich nie musi bynajmniej odpowiadać identyczna ilość satelitów amerykańskich paraliżujących ich lot, że przy udoskonalonej technologii amerykańskiej wystarczy 100 satelitów. Rezultatów jego obliczeń nikt nie zakwestionował. Odtąd zaczęła się nowa era w spojrzeniu na tzw. wojnę gwiazdową. Kierownikiem centrum badawczego, do którego ściągnięto setki najwybitniejszych fizyków, jest gen. porucznik James Abrahamson. To on, chyba przed rokiem, dokonał pierwszego udanego eksperymentu, niszcząc przy pomocy satelity urządzenia sterownicze amerykańskiej rakiety-makiety, ale mało kto zwrócił uwagę na jego rewelacyjne oświadczenie: „Po raz pierwszy w dziejach udało się trafić kulą kulę w locie”. Wówczas bowiem nie wiadano jeszcze, że liczba satelitów amerykańskich nie musi wynosić 10.000 i że cała impreza jest w zasięgu technologii amerykańskiej i możliwości finansowych USA. Drugim ważnym czynnikiem jest zastosowanie, przy użyciu lasera, promieni rentgenowskich. Dzięki nim amerykańska rakietka Minuteman, wystrzelona z bazy Vandenberg w Kalifornii, została trafiona ładunkiem laserowym promieni X na atolu Kwajalen, gdzieś pośrodku Pacyfiku. Najważniejszy element nowej broni stanowi jednak to, że jest ona wyłącznie obronna. Może zniszczyć tylko jeden obiekt.

Laser stosowany jest w przemyśle do cięcia stali przy użyciu wielkich maszyn, które wytwarzają potencjał o olbrzymiej mocy. Lasery obronne w przestrzeni kosmicznej emitują tylko niewielki ładunek, którego zadaniem jest zniszczenie aparatury pocisku nuklearnego o wielkiej sile rażenia. Z tej przyczyny nie mogą być niczym innym jak tylko instrumentem obrony — „Jest to kula, która trafia kulę w locie”.

W ciągu ostatniego roku Stany Zjednoczone z dużym powodzeniem posunęły naprzód prace nad technologią obronno-lasem, która spowoduje bezużyteczność broni nuklearnej obydwu supermocarstw. Budzi to wielki niepokój kierowników sowieckich, gdyż badania w tym kierunku rozpoczęto znacznie wcześniej w ZSSR niż w Stanach Zjednoczonych. Mieli bowiem nadzieję, że w tej dziedzinie zachowają monopol i będą w stanie unieszkodliwić rakiety amerykańskie, angielskie i francuskie, utrzymując pełny potencjał nuklearny własnych wyrzutni na morzu, lądzie i w powietrzu. Nadzieje te okazują się płonne. 20-letni wysiłek Sowietów w dziedzinie unowocześnienia i uwielokrotnienia arsenału nuklearnego pójdzie na marne. Również na złom pójdą rakiety amerykańskie i krajów Zachodu. Ale różnica polega na tym, że Zachód nie chciał stosować szantażu nuklearnego wobec Rosji, podczas gdy bazą polityki Sowietów wobec reszty świata był szantaż i ustawiczne straszenie Zachodu nuklearnym unicestwieniem. I dlatego politycy sowieccy wyłażą ze skóry, by zmusić Amerykę do zaprzestania badań i produkcji nowych strategicznych środków obronnych. Od dwóch lat stanowi to warunek kontynuowania rozmów rozbrojeniowych w Genewie, ale ich wysiłki — jak dotąd — nie dają spodziewanych rezultatów. Im-

perium sowieckie liczyło bowiem, że Ameryka i Europa Zachodnia, szantażowane groźbą katastrofy nuklearnej, będą Sowiety żywiły, odziewały, dostarczały kredytów i wszystkiego co Kreml sobie zamarzy. Ale król bez broni nuklearnej okaże się nagi. Przesną się go bać nie tylko znękanę sąsiedztwem jego potęgi państwa skandynawskie, ale nawet małe państewka na peryferiach Afryki. Przez lata niewygodna gospodarka Sowietów była ponadto obciążona ponad miarę wydatkami na tworzenie arsenału nuklearnego, który obecnie okaże się bezużyteczny. Co więc im zostanie? Szantaż bronią konwencjonalną wobec Zachodu? Po krótkich spektakularnych zwycięstwach w Europie Zachód przeżyje pierwsze porażki i zmobilizuje swój potencjał, tak jak kiedyś przeciwko Niemcom i Japonii. Zresztą żadna wojna z Zachodem niczego Sowietom nie da i nigdy jej nie pragnęły. Chciały go tylko eksploatować, nie niszczyć, bo to nie byłoby dla nich żadnym wyjściem. I w istocie wyjścia nie mają żadnego. Po raz pierwszy od wielu lat szansa rozpadu Imperium i wyzwolenia ujarzmionych ludów staje się najzupełniej realna.

Zbigniew BYRSKI

## KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM  
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:  
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,  
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety  
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.  
**Skład elektroniczny** — także „na wynos” —  
zapewniający najwyższą jakość druku.  
**Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!**

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAZKI POLSKIE • KSIAZKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

## Sąsiedzi

### Rozmowa z dezenterem sowieckim\*

ADAM KONAR: — *Skąd pochodzisz i co robisz zanim zostałeś powołany do wojska?*

ALEKSANDER: — Pochodzę z miasta Woroneż w centralnej Rosji, jest to miasto milionowe, około 600 km na południe od Moskwy. Mój ojciec jest spawaczem i hydraulikiem, a matka pracuje jako zwykła robotnica w magazynie. W Woroneżu skończyłem szkołę — dziesięcioletkę, później pracowałem przez rok w fabryce mechanicznej, była to forma stażu.

A.K.: — *Jak żyje młodzież w twoim kraju? Jakie są perspektywy dla młodych ludzi?*

A.: — Perspektyw nie ma żadnych. Każdy uczeń wie, że w przyszłości czeka go jakaś praca, ale żeby później coś z niej mieć trzeba będzie kombinować, spekulować. Dla uczciwej pracy miejsca nie ma. W dziesięcioletce jeżeli dobrze znasz prace Lenina — dobrze znasz wszystko. Po takiej szkole można iść na studia, ale jest bardzo ciężko dostać się na nie, przeważnie przy pomocy znajomości lub za pieniądze. Młodzież sowiecka zachwyca się amerykańskim stylem życia, często powtarza się pytanie: dlaczego nie urodziłem się w Stanach Zjednoczonych?

A.K.: — *Ile zarabiałeś po szkole, w fabryce?*

A.: — Jako uczeń dostawałem do 30 rubli miesięcznie, a np. telewizor czarno-biały kosztował ok. 200 rubli. Mój ojciec, który był

\* Aleksander ma dziś 22 lata. Nie ujawniamy jego nazwiska ze względu na bezpieczeństwo. Przeprowadzający wywiad posługuje się także pseudonimem. Robimy tak dlatego, że „nieznani sprawcy” włamali się do mieszkania Konara i innego jeszcze dziennikarza i skradli taśmy magnetofonowe nagrane z Aleksandrem (na szczęście nie było na nich nic, co mogłoby zdekonspirować osoby, które pomagały mu w Polsce).

fachowcem wysokiej klasy, z 20-letnim stażem pracy, zarabiał dużo — jako spawacz 180-200 rubli, a później jako hydraulik 120-140 rubli miesięcznie.

A.K.: — *Co można kupić za te pieniądze?*

A.: — Zaopatrzenie jest paskudne — mięsa nie ma, kiełbasy nie ma, masło można dostać tylko słone, można dostać konserwy rybne i słoninę, ale kiedy była olimpiada w Moskwie, zniknęły nawet konserwy, pozostały puste lody. Natomiast wódki nigdy nie brakowało, zawsze było pełno. Istnieją również bimbrownie, gdzie alkohol można kupić jeszcze taniej niż w sklepach.

A.K.: — *Czy możesz porównać sklepy w Woroneżu do tych, które widziałeś w Polsce?*

A.: — W Polsce można przynajmniej dostać coś na kartki, a w sklepach w Związku Sowieckim nie ma ani kartek, ani towaru.

A.K.: — *Jak ludzie reagują na te pustki?*

A.: — Niczemu się nie dziwią. Między sobą skarżą się, ale jednocześnie wiedzą, że to nic nie da. Im bardziej w Związku Sowieckim brakuje towarów, tym bardziej kwitnie spekulacja, jeśli nie ma mięsa, to kombinuje się w kołchozach. Im bardziej brakuje artykułów, tym bardziej ludzie kradną w państwowych zakładach. I przeważnie do kogo przyjdiesz, zawsze jest mięso w lodówce, dzięki kombinowaniu właśnie. Istnieje również czarny rynek, gdzie możesz kupić bardzo różne rzeczy, ale bardzo drogo. Dlatego dla większości społeczeństwa rynek ten jest niedostępny. Na przykład stare dżinsy można dostać za 500 rubli, a to już jest majątek. Żywności tam nie ma, głównie odzież, buty, dokumenty — np. prawo jazdy, książeczka wojskowa czy legitymacja partyjna, a także i broń. Rynek taki nazywa się *tołpa*, w Woroneżu nie ma stałego miejsca, wędruje dookoła miasta, w lasach. Dziś może być w jednym miejscu, jutro w innym, a żeby utrudnić milicji jego znalezienie. Czasem zdarzają się oblawy i wówczas milicja wszystko konfiskuje, ponadto są kary pieniężne. O tym gdzie jest *tołpa* ludzie informują się metodą poczty pantoflowej; *tołpa* funkcjonuje w soboty i w niedziele. Samych handlujących jest zwykle około 300 osób, a kupujących co najmniej dwa razy tyle. W każdym mieście Związku Sowieckiego jest taki rynek.

A.K.: — *Jaki jest cel handlowania legitymacją partyjną?*

A.: — Jeżeli na przykład zatrzyma cię milicja, a masz przy sobie legitymację partyjną, to zazwyczaj zatrzymują nie ciebie, lecz twoją legitymację.

A.K.: — *Mówiłeś, że można kupić broń. Skąd się ona bierze?*

A.: — Najczęściej z transportów wojskowych z Afganistanu. War-

tę trzymają żołnierze, którzy chcą wypić, więc kradną i sprzedają. Jest to broń zdobyczna, przeważnie produkcji zachodniej. W Woroneżu bez problemu można było kupić mauser lub parabelum. Parabelum wraz z czterema opakowaniami naboju kosztowało 25 rubli, a więc niedrogo. Amunicja, której używa milicja pasuje do parabelum.

A.K.: — *Kto i po co kupuje broń?*

A.: — Młodzież. Na wszelki wypadek. Posiadanie broni jest zabronione, a więc trzeba ją mieć, mimo że grozi za to od 5 do 8 lat więzienia.

A.K.: — *Czy ludzie wiedzieli, co się dzieje w Polsce? Czy była sympatia dla „Solidarności”?*

A.: — Nie, raczej obojętność. Ludzie nie wiedzieli nic konkretnego, tylko to, co było w gazetach i w telewizji.

A.K.: — *Ale co myśleli?*

A.: — Ludziom było obojętne, co się tam dzieje. Po prostu ich to nie obchodziło. W fabrykach organizowano obowiązkowe wiece, których tematem była „kontrrewolucja w Polsce”. Dawali w rękę transparent, ludzie stali i słuchali z senną miną i tyle. Ani wiec, ani jego przyczyna nikogo nie interesowała.

A.K.: — *Kiedy zostałeś powołany do wojska i czy od razu wiedziałeś, gdzie będziesz służył?*

A.: — Do armii poszedłem w kwietniu 1981 roku. Początkowo przez miesiąc byłem wraz z innymi rekrutami w Tambowie, gdzie dzielono nas na grupy. Nikt nie wiedział, dokąd pojedziemy i gdzie będziemy służyć. Dopiero kiedy wydano nam umundurowanie — dla mojej grupy skórzane pasy i buty — od razu stało się jasne, że jedziemy za granicę. Jeśli służy się w Związku Radzieckim — buty i pasy są tylko w części skórzane, a w części z dermy. Mówiło się, że pojedziemy do Afganistanu i w związku z tym żołnierze przepijali wszystkie pieniądze.

A.K.: — *Co wiedzieliście na temat Afganistanu?*

A.: — Ludzie wiedzą tylko, że giną tam żołnierze, widzą przyjeżdżające stamtąd trumny, sam widziałem, do Woroneża też przyjeżdżały. A w telewizji mówi się o pokojowej misji.

A.K.: — *Czy ludzie wierzą w to?*

A.: — Ludzie po prostu nie zwracają na to uwagi, chyba, że ktos z rodziny jest w Afganistanie.

A.K.: — *Czy baliście się jechać do Afganistanu?*

A.: — Tak. Żołnierze się boją. Dopiero w samolocie dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Polski. Najpierw ulżyło wszystkim, ale zaraz pomyśleliśmy, że tam zrobią przecież drugi Afganistan.

A.K.: — *Opowiedz o swoim pobycie w Polsce.*

A.: — Wylądowaliśmy w Kluczach na dużym sowieckim lotnisku wojskowym na północy Polski. Mnie początkowo wzięto do kompanii wartowniczej w Toruniu, a później zostałem przeniesiony do Oławy pod Wrocławiem. Z Polakami nie mieliśmy kontaktów. Przepustki były zabronione, nie wychodziliśmy do miasta. Można było jeszcze pojechać do jednostki polskiej, ale oficerowie wybierali tylko samych „lepszych” żołnierzy. Kontaktów legalnych nie było, ale były nielegalne. Handlowaliśmy papierosami, cukrem i benzyną.

A.K.: — *Co wiedzieliście wówczas o Polsce, o „Solidarności”?*

A.: — Niewiele, tyle co w gazetach, w *Prawdzie* czy w *Czerwonej Gwieździe*. Z tych artykułów robiono nam odczyty. Dowiadywaaliśmy się z nich, że w lasach grasują „bandy uzbrojonych rolników”, ale nikt z nas nie wiedział, co oznacza słowo „rolnik”; tłumaczono, że to kułak.

A.K.: — *Czy sami rozmawialiście na ten temat?*

A.: — Nie. To nikogo nie interesowało, było dla wszystkich obojętne.

A.K.: — *Nie ciekawiło was to, czy też baliście się o tym mówić?*

A.: — Nie ciekawiło. Wszyscy się wkurzali, kiedy zaczęli nam robić w nocy alarm mówiąc, że to w związku z „Solidarnością”, w związku ze strajkiem w Gdańsku.

A.K.: — *Na co się wkurzali: na strajk w Gdańsku, czy na oficerów, którzy robili alarm?*

A.: — Początkowo na strajk, później na oficerów, a jeszcze później żołnierze przestali reagować, tylko się śmiali. Przyzwyczajaliśmy się.

A.K.: — *Czy takie alarmy były częste i kiedy się zaczęły?*

A.: — Były częste, zaczęły się jeszcze w lecie.

A.K.: — *Jak oficerowie traktowali zwykłych żołnierzy?*

A.: — Jak by było, szeregowy dla oficera się nie liczył.

A.K.: — *Co ty robiłeś w wojsku?*

A.: — Byłem w baterii inżynierskiej na etacie szewca i krawca. Przez cały dzień pracowałem. Gimnastyka, śniadanie i praca.

A.K.: — *Kiedy i dlaczego zdecydowałeś się stamtąd uciec?*

A.: — W pewnym momencie dostałem się do kompanii karnej w Brzegu. To, czy i za co się tam trafi, zależy od humoru oficera. Któregoś dnia oficer był pijany i kazał mi czyścić ubikację szczoteczką do zębów. Odesłałem go wówczas „tam gdzie należy” i w związku z tym dostałem miesiąc kompanii karnej. Wykonuje się tam ciężkie i najbrudniejsze prace. Poza tym dwa razy dziennie brali mnie na „naukę rozmowy z oficerami”, gdzie po prostu dwaj podchorążowie bili mnie i kopal. A buty w armii sowieckiej są ciężkie, kute, ważą pięć kilogramów. Lekcja taka trwała jakieś pół godziny. Po miesiącu znalazłem się w szpitalu. Miałem cały brzuch spuchnięty, w kolorze granatowym.

A.K.: — *Czy tak właśnie wygląda zwykły dzień w kompanii karnej?*

A.: — Tak. To było normalne. Rzadko się zdarza, aby ktoś wychodził stamtąd prosto do jednostki, zazwyczaj do szpitala.

A.K.: — *Powróćmy do decyzji o ucieczce.*

A.: — Właśnie po tej kompanii karnej zdecydowałem się uciec. Pomyślałem, że może „Solidarność” mi pomoże. I tak się stało. Kiedy już byłem w jednostce udałem, że boli mnie serce, zrobiono mi elektrokardiogram, w wyniku którego otrzymałem jeden dzień zwolnienia i dzięki temu jakby zapomnieli o mnie. Wczorazem pobierałem do plecaka kilka niezbędnych rzeczy i związałem przez mur. Przez trzy dni ukrywałem się na strychu w PGR, żywiąc się kukurydzą z pobliskiego pola. Później skradłem rower i przyjechałem do Wrocławia.

A.K.: — *Czy cały czas byłeś w mundurze?*

A.: — Tak, w mundurze, ale zerwałem pagony i gwiazdkę z czapki.

A.K.: — *Co było dalej, we Wrocławiu?*

A.: — Pytałem na ulicach ludzi o „Solidarność”. Dziwili się, ale mówili, gdzie jest. Kiedy wreszcie znalazłem budynek, było już za późno. Ukryłem się na strychu w sąsiednim bloku. Rano wróciłem, ale kiedy wszedłem do budynku, zobaczyłem na korytarzu polskiego majora, który miał przypięty znaczek „Solidarność”. Schowałem się w ubikacji i gdy ktoś tam przyszedł, opowiedziałem mu całą swoją historię. Ten ktoś powiedział mi, żebym się schował w kabinie i że on po mnie wróci, kiedy korytarz będzie pusty. W pokoju był inny człowiek, który świetnie mówił po rosyjsku, powiedział, że muszą najpierw sprawdzić całą historię, bo obawiają się prowokacji. Ukryli mnie w bezpiecznym miejscu, a po trzech tygodniach pojechałem do Warszawy. W Warszawie ludzie z „Solidarność” zaprowadzili mnie do amb-

sady szwedzkiej, ale tam powiedziano nam, że muszą najpierw sprowadzić tłumacza, i że teraz nic nie mogą zrobić. A w międzyczasie wybuchł stan wojenny.

A.K.: — *Jak zareagowałeś?*

A.: — Myślałem, że będzie wojna, że „Solidarność” pójdzie do lasu i ja też pójdę do lasu. Później straciłem kontakt z „Solidarnością”, ukrywałem się u przypadkowych ludzi, potem znowu odnalazłem kontakt z podziemiem. W czasie stanu wojennego ukrywałem się, nie chodziłem po ulicach. Później już się poruszałem, pracowałem, głównie w prywatnych warsztatach i u rolników. Po roku znałem już język polski.

A.K.: — *Czy miałeś jakieś spotkania z milicją?*

A.: — Tak, raz kiedy wracałem z gór do Warszawy wylegitymowałem mnie na dworcu w Nowym Sączu milicjant. Kiedy wyciągałem rzeczy z plecaka, wypadł mi oryginalny, radziecki dowód osobisty i prawo jazdy. Zapytał, dlaczego jestem w Polsce i gdzie mam paszport. Odpowiedziałem, że odpoczywam po wypadku samochodowym, a paszport zostawiłem w ambasadzie z obawy przed kradzieżą. Milicjant odszedł, ale cały czas spoglądał na mnie. Podszedłem wówczas jeszcze raz do niego, zadawałem mu jakieś nieważne pytania. I potem odszedł już całkowicie do innych. Kiedy przyjechałem do Warszawy, okazało się, że dwie godziny przed moim przyjściem do mieszkania była rewizja i aresztowano gospodynię.

A.K.: — *Co ci groziło w razie wpadki?*

A.: — Kara śmierci. Za dezercję, za zdradę i za współpracę z „antysocjalistyczną organizacją” — kara śmierci.

A.K.: — *Czy poza ambasadą szwedzką miałeś kontakty z innymi ambasadami?*

A.: — Tak, z amerykańską. Przyjaciele poradzili mi, że jeśli dam wywiad do *International Herald Tribune*, wówczas Amerykanie na pewno mi pomogą. Wywiad dałem, poszedłem do ambasady, ale oświadczone mi tam, że nie mogą mi pomóc.

A.K.: — *Jak cię ludzie przyjmowali, kiedy się ukrywałeś? Czy wiedzieli, kim jesteś i czy dawano ci odczuć, że jesteś Rosjaninem?*

A.: — Nie, nie dano mi odczuć. Zawsze byłem wśród swoich. Ukrywałem się u różnych ludzi: u chłopów, robotników i inteligentów. Zmieniłem około 30 mieszkań. Do czasu kiedy mówiłem tylko po rosyjsku, wszyscy wiedzieli, kim jestem.

A.K.: — *Czy stykałeś się z działalnością „Solidarność”?*

A.: — Czytałem niezależne biuletyny, *Tygodnik Mazowsze*, *KOS*, czytałem również „Archipelag Gułag” Sołżenicyna po polsku.

A.K.: — *Czy chciałbyś przekazać coś przyjaciółom w Polsce?*

A.: — Tak, chciałbym ich pozdrowić i podziękować tym wszystkim, którzy mi pomogli.

A.K.: — *Miejmy nadzieję, że dojdą do nich twoje słowa. Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Adam KONAR

## W sowieckiej prasie

Pierwszego lipca 1985 Michaił Gorbaczow praktycznie skupił całą władzę w swoich rękach. Na jego polecenie plenum KC posłało na emeryturę — „ze względów zdrowotnych” — byłego członka Biura Politycznego i sekretarza KC Georgija Romanowa, awansowało zastępcę członka Biura Edwarda Szewardnadze na członka i wybrało dwu nowych sekretarzy KC. W przeddzień plenum Andriej Gromyko, od dwudziestu ośmiu lat minister spraw zagranicznych, dostał kopniaka wwyż i został przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSSR. Funkcję ministra spraw zagranicznych objął Szewardnadze.

Nominacje te, które zdumiały zachodnich ekspertów, dowiodły politycznej zrzęczości Gorbaczowa. Stanowisko przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej przysługiwało jemu jako generalnemu sekretarzowi KC. Konstytucja ZSSR z 1977 roku milcząco zakłada, że stanowiska te są ze sobą zrośnięte: piastował je Breżniew, Andropow, Czernienko. Gorbaczow „odstąpił” swoje stanowisko Gromyce i pozbył się w ten sposób człowieka, który wierzył, że wieloletnie doświadczenie czyni go niezastąpionym. Generalny sekretarz może teraz czekać albo, aż zwolni się miejsce po Gromyce, który ma 76 lat, albo aż zwolni się stanowisko prezesa Rady Ministrów, które zajmuje 80-letni Tichonow. Drugi wariant znaczyłyby powrót do tradycji towarzysza Stalina.

Uchwały lipcowego plenum były pod każdym względem niespodziewane: zadziwiająca była łatwość, z jaką przegnano z Biura Politycznego Romanowa i z MSZ-tu Gromykę, i zaskakujące było wyznaczenie na jego następcę Szewardnadze.

Szewardnadze zapisał się dotąd w historii jako minister spraw wewnętrznych Gruzji, któremu „udało się” zebrać materiał ob-

ciążający jego wodza, pierwszego sekretarza gruzińskiego KC partii, obalić go i zająć jego miejsce. Oderwany od swej bazy w Gruzji, nieobeznany z zagadnieniami polityki zagranicznej, Edward Szewardnadze będzie posłusznym narzędziem w rękach generalnego sekretarza KC.

Wliczając plon lipcowego plenum KC, większość członków Biura Politycznego — siedmiu na trzynastu — dostąpiła najwyższej władzy po śmierci Breżniewa. Współ z Gorbaczowem na członków Biura i sekretarzy KC wybrano dwu przedstawicieli „młodego” pokolenia — Jegora Ligaczowa i Nikołaja Ryzkowa. To oni stanowią dziś „wielką trójkę”: Gorbaczow (ur. 1931) sprawuje „ogólne kierownictwo”, Ligaczow (ur. 1920) zajmuje się ideologią, a Ryzkow (ur. 1929) ekonomią.

„Nowa miotła” zmiata kuluary władzy — mianuje nowych ministrów, naczelników wydziałów KC itd. Przetasowanie kadr odbywa się jednak ostrożnie i z rozmysłem. Trudno uznać za oznakę przemian zwolnienie 78-letniego ministra szkolnictwa wyższego Elutina czy 77-letniego generała armii Jepiszewa — szefa Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej i Marynarki od 1962 r. Nowe nominacje w wojsku wzbudziły naturalnie na Zachodzie falę komentarzy, ale wszystkie one dowodzą tylko jednego, że o tym, kto i jak dowodzi armią sowiecką jak zawsze decyduje kierownictwo partyjne.

Trudno zaprzeczyć, że osoba następcy zwolnionego marszałka Tołubki (ur. 1914), który przez trzynaście lat dowodził strategicznymi wojskami raketowymi, ma niejako minimalne znaczenie: to on wyda rozkaz rozpoczęcia wojny nuklearnej (ale dopiero po tym, jak sam dostanie rozkaz z Biura Politycznego).

*New York Times* zatytułował artykuł wstępny, poświęcony pierwszym stu dniom rządów Gorbaczowa „Gorbaczow idzie na przód”. Do czego tak dąży, do czego zmierza, rozsiadłszy się wygodnie w hotelu Stalina? Jego liczne wystąpienia, decyzje z ostatniego okresu i nowe dyrektywy rzucają nieco światła na jego zamiary. Obywatele ZSSR nie muszą nawet czytać jego przemówień w gazetach: nowy program nowego generalnego sekretarza został im przedstawiony w wieloodcinkowym filmie telewizyjnym, zatytułowanym pięknie „Ku przyszłemu wiekowi”. Pięć odcinków już wyświetlono, ale to dopiero początek „eposu”. Recenzja (pełna zachwyty!) w *Prawdzie* cały program i epos streściła w tytule: „Odwrót w marszu!”. Sens tego jest oczywisty: kraj maszeruje ku wyżynom komunizmu, ale przyszła pora na odwrót. Dlaczego?

Odpowiedzi należy szukać w literackim źródle epopei telewizyjnej, powieści Georgija Markowa „Ku przyszłemu wiekowi”. Powieść ukazała się około dwóch lat temu, czyli napisana została w ostatnich latach rządów Breżniewa. Georgij Markow odgrywa ważną rolę w sowieckiej literaturze jako pierwszy przewodniczący Związku Pisarzy i dwukrotny bohater pracy socjalistycznej, co oznacza najwyższy stopień genialności, jaki partia może przyznać najwierniejszemu z wiernych sług pióra. Bohater powieści,



Anton Sobolew, jest sekretarzem rejonowego komitetu partii na Syberii. Rejon, którym mu kazali zarządzać, nazywa się Błękitne Góry. Błękitny kolor ma swoje znaczenie. Co lepsi mistrzowie socrealizmu uważają go za kolor nadziei. Piętnaście lat temu jedna z kolejnych powieści o zbawiennym nowym sekretarzu *obkomu* nazywała się „W błękitnookiej krainie”. Jej autorem był Nikołaj Szundik, ale równie dobrze mógł nim być Georgij Markow, podobnie jak autorem „Ku przyszłemu wiekowi” mógł być Szundik.

Wróćmy jednak do Markowa. O Antonie Sobolewie w powieści czytamy tylko tyle: „Z pozoru spokojny, opanowany, sekretarz *obkomu* bierze sobie głęboko do serca wszystko, co dzieje się wokół niego. Gorąco pragnie zmian. Jednak nie zamierza lekko- myślnie eksperymentować”.

Dlaczegoż to sekretarz *obkomu* nagle gorąco zapragnął zmian? Odpowiedź na to — w powieści i eposie telewizyjnym — brzmi jasno: bo jest nowym sekretarzem. W powieści Szundika „nowy” był symbolem Breżniewa, który zastąpił „lekkomyślnego eksperymentatora” Chruszczowa. W powieści Markowa (i filmie) „nowy”, młody (co autor podkreśla) przyszedł na miejsce „starego”, „gasnącego”, „zobojętniałego”.

Film otwiera podróż nowego sekretarza po swoich włościach: chce się zapoznać — jak mówi — z rzeczywistą sytuacją, obejrzeć ją „na własne oczy”. Nawet najgłupszy sowiecki widz łatwo rozszyfruje aluzję do podróży Michaiła Gorbaczowa po powierzonym mu terytorium. Czego szukają nasi podróżnicy? Georgij Markow — już nie w powieści czy filmie, ale na posiedzeniu zarządu Związku Pisarzy — odpowiada na to tak: „Nowość polega na jednym: by przyspieszyć nasz ruch naprzód” (*Literaturnaja gazeta* z 3 lipca 1985).

„Przyspieszyć ruch naprzód”, „przyspieszyć postęp” to kluczowe słowa pierwszych miesięcy ery Gorbaczowa. Brzmia one imponująco, współcześnie, zapowiadają nową epokę, wprawiają w zachwyt sowietologów, którzy nareszcie doczekali się „technokratów-reformatorów” w Biurze Politycznym. Wystarczy jednak rzucić okiem na niewyczerpane źródło wiedzy o Związku Sowieckim — dzieła zebrane J. W. Stalina — by odnaleźć te same słowa, hasła i apele. „Nie wolno obniżyć tempa!” — groził towarzysz Stalin kadrom gospodarczym w lutym 1931 roku. — „Przeciwnie, w miarę sił i możliwości należy je zwiększać. Tempo decyduje o wszystkim!”.

Nie zadowolając się jednak tempem, Stalin każe koniecznie zwrócić odpowiednią uwagę na człowieka, od którego zależy bieg do przodu: „Kadry decydują o wszystkim!”.

Gorbaczow odświeżył stalinowskie słownictwo i zamiast „kadr” mówi o „czynniku ludzkim”. O tymże „czynniku ludzkim” nie przestaje też mówić bohater epepej telewizyjnej, a Georgij Markow objaśnia swym niezrównanym sowieckim językiem: „Dawać Ojczyźnie więcej i lepiej to jądro tego czynnika ludzkiego, które jest sprężyną sprawczą wszelkiego działania”.

„Jądro, które jest sprężyną” odkrył Stalin. W 1931 roku, poganiając kraj bezlitosnym terrorem, Stalin domagał się wykonania pierwszej pięcioletki w cztery lata, a jeszcze lepiej w trzy. W lutym 1931 roku na zebraniu działaczy gospodarczych Stalin wyliczył „sześć warunków”, których spełnienie zapewni zwycięstwo. W czerwcu 1985 na zebraniu kierownictwa partyjnego i działaczy gospodarczych Gorbaczow wyliczył warunki „przyspieszenia postępu naukowo-technicznego”. Porównując wystąpienia obu generalnych sekretarzy, łatwo się przekonać, że na przestrzeni pół wieku nie zmieniły się ani choroby, ani sposoby leczenia systemu sowieckiego. Minione pół wieku pokazało zarazem zalety systemu sowieckiego, który nie tylko przetrwał wojnę, ale poszerzył swe granice w stopniu, o jakim Stalin mógł tylko marzyć.

Stabilność modelu polega na tym, że uznaje go ludność strefy, w której obowiązuje. Przez pół wieku wiele cech, którym model ten zawdzięczał swoje sukcesy, przekształciło się w wady: na przykład centralizacja, która niekiedy sprzyjała uprzemysłowieniu, przybrała tak niesłychane rozmiary, że praktycznie zahamowała rozwój gospodarczy. Korupcja, tolerowana jako środek łagodzący system planowania, przekształciła się w zasadę życia i zaczęła zagrażać stabilności.

W 1931 roku Stalin mówił, że należy koniecznie zapewnić gospodarce siłę roboczą, wprowadzić system bodźców materialnych, ulepszyć system zarządzania, zająć się inteligencją naukowo-techniczną, wprowadzić zasadę własnego rozrachunku. W 1985 roku Gorbaczow dosłownie powtarza jego słowa, mówiąc o „konieczności szerszego zastosowania własnego rozrachunku, ekonomicznych dźwigni i bodźców”, „środków mających zwiększyć prestiż społeczny pracy naukowców i inżynierów”, itd., itp.

„Zostało nam niewiele — mówił towarzysz Stalin w 1931 roku — nauczyć się techniki, opanować naukę”. Towarzysz Gorbaczow w 1985 roku daje wyraz optymistycznej wierze partii w „przyspieszenie postępu naukowo-technicznego”, który nareszcie doprowadzi do Celu.

Pół wieku temu wielu sowieckim ludziom wydawało się, że rzeczywiście już tylko krok, tylko jeden wysiłek dzieli ich od wrót Raju. Wierzyli, że pośpiech („tempo”) doprowadzi do dobrobytu. Dziś nawołując do pośpiechu i wydajniejszej i lepszej pracy partia obiecuje obywatelom tylko uratowanie ich od wojny. Celem wyścigu jest, jak się okazuje, zachowanie równowagi zbrojeni z USA.

Pierwsze miesiące rządów Gorbaczowa przekonywująco dowodzą, że stalinowski model systemu sowieckiego został uznany za jedyny możliwy. Nie ulega wątpliwości, że mieszkańcy świata sowieckiego przyjmują go tylko dlatego, że nie wiedzą, co i jak zmieniać. Ruch obrony praw człowieka, zrodzony w latach zamętu po śmierci Stalina, wysunął jedno żądanie: żeby władza sowiecka przestrzegła ustanowionych przez siebie praw. Bojowników tego ruchu wsadzano do więzień, część zginęła w obo-

zach, innych — w najlepszym wypadku — wysyłano za granicę. Ale władza wyciągnęła wnioski z tej nauczki: w 1977 uchwalono nową konstytucję i zlikwidowano wszystkie luki, które istniały jeszcze w stalinowskiej. Dziś represje i prześladowania są zgodne z prawem. W ostatnich trzech latach „udoskonalono” kodeks karny; coraz ostrzejsza polityka karna ma już prawne podstawy.

Za przykład tego, jak prawo posłusznie podąża za dyrektywami partii mogą posłużyć dwa dokumenty. Pierwszy to tajna uchwała zakarpackiego *obkomu* partii i rejonowego sovietu „o udoskonaleniu metod walki z przejawami nacjonalizmu i syjonizmu” z 3 lipca 1984. „Syjonizm” wstawiono do uchwały dla nadania jej bardziej „naukowego” charakteru, bo poza tym uchwała domaga się nasilenia walki z ukraińskimi nacjonalistami i Cerkwią unicką. W części dotyczącej walki z „nacjonalistami” znajduje się zdanie, że „terrorystyczna banda 'Czarnego’” wysadziła 24 maja pociąg wojskowy, który wiozł radar na bazę wojskową w Wyłocze, co doprowadziło do „zatrzymania polskiej akcji” na dziewięć miesięcy. (Ma się tu na myśli ogłoszenie stanu wojennego przez Jaruzelskiego).

Z terrorystami jednak sprawy są proste: partia domaga się nasilenia działań KGB. Z wierzącymi jest trudniej, ale i tu znaleziono wyjście. Paragraf 2 uchwały głosi: „Organizacja partyjna zobowiązuje egzekutywę komitetu rejonowego do zorganizowania w rejonowej klinice psychiatrycznej dodatkowego oddziału leczenia przymusowego. Wskazane jest skierowanie na przymusowe leczenie dwóch trzecich aktywnych działaczy ukraińskiej Cerkwi katolickiej. O ile oddawanie ukraińskich katolików pod sąd jest niewskazane, o tyle koniecznie należy stworzyć przy rejonowym areszcie tymczasowym specjalne cele dla 250 osób, które zostaną skierowane na leczenie przymusowe. Należy także wybrać pięciu lekarzy i sześćdziesięciu sanitariuszy spośród sprawdzonych pracowników służby zdrowia”.

Należy sądzić, że podobne uchwały — na różne okoliczności — podjęte zostały i w innych organizacjach partyjnych. W związku z tym, „wychodząc naprzeciw żądaniom ludu pracującego”, jak piszą gazety sowieckie, prezydium Rady Najwyższej ZSSR podjęło 13 czerwca 1985 uchwałę, która precyzuje nowe nieograniczone niemal możliwości stosowania „przymusu lekarskiego”. Sąd ma prawo kierować do szpitali psychiatrycznych osoby, u których stwierdzi „chwilowe zakłócenie czynności umysłowych” podczas śledztwa lub przed sądem. Jeśli zatem aresztowany nie wyda w śledztwie swych towarzyszy lub nie przyzna się przed sądem do winy, zostanie uznany za dotkniętego „chwilowym zakłóceniem czynności umysłowych”. Równocześnie z publikacją uchwały przewodniczący KGB Czebrikow ogłosił artykuł w piśmie *Kommunist* (nr 9 z 1985 r.). Żonglując terminami prawniczymi, przewodniczący KGB nalega na konieczność nasilenia walki z „ideologicznymi dywersantami”, których czekać wyłapują „w polityce, filozofii, moralności, nauce, sztuce...”. Czebrikow kategorycznie odrzuca „pogaduszki burżuazyjnych propagandystów” o „jakichkolwiek naruszeniach praw człowieka”. Na ideologicznych dy-

wersantów spadają „sądowe i administracyjne kary... których zastosowanie jest całkowicie zgodne z naszym prawodawstwem”. Przewodniczący KGB nie kłamie — wszystkie, nawet najbardziej nieludzkie represje wobec opozycjonistów są zgodne z sowieckim ustawodawstwem. Czebrikow pisze: „Sowieccy czekać... pracują w ścisłym związku z organami bezpieczeństwa krajów wspólnoty socjalistycznej”. Uwaga ta nie jest przypadkowa. Jedną z podstaw polityki Gorbaczowa jest „umocnienie jedności krajów socjalistycznych”. 21 czerwca 1985 ukazał się w *Prawdzie* teoretyczny artykuł, którego oficjalny charakter podkreśla podpis „O. Władimirow”, pseudonim najwyższej instancji. Notując, że „imperialistyczne kręgi stawiają na rozbicie jedności krajów socjalistycznych”, najwyższa instancja oświadcza: „Złożona sytuacja współczesna, odpowiedzialność za losy socjalizmu wysuwają na pierwszy plan kwestię surowszych kryteriów solidarności socjalistycznej, koordynacji działań wobec przeciwnika klasowego”. Kluczowym zwrotem w tym zdaniu są „surowsze kryteria”. Kraje socjalistyczne mają w każdych okolicznościach zaznaczać swoją wierność Związkowi Sowieckiemu.

„Umocnienie jedności” jest koniecznym uzupełnieniem nowej linii politycznej Związku Sowieckiego — powrotu do „odprężenia, do rozumnej, realistycznej linii, której wyznawcami byli prezydent Nixon i Kissinger” (*Literaturnaja gazeta* z 26 czerwca 1985). Przywódcy sowieccy z utęsknieniem wspominają lata 60-te i 70-te, kiedy to kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa. Odprężenie skończyło się nie z ich winy — inwazja Afganistanu wydała się Moskwie czymś tak naturalnym dla „pokojowego współistnienia”, że reakcję Zachodu uznali za bardzo niesprawiedliwą.

Dziś o Afganistanie nikt już nie pamięta, wydarzenia w Polsce stały się materiałem dla historyków: wraca „odprężenie”. Tym razem jednak Gorbaczow chce bacznie kontrolować ruchy krajów socjalistycznych, którym się przy poprzednim „odprężeniu” zupełnie przewróciło w głowie od manny dolarowej.

Wiele wskazuje na to, że powrót do odprężenia już się zaczął. Michaił Gorbaczow w październiku wybiera się do Paryża, aby przedstawić swój program zachodnioeuropejskiej pomocy dla Związku Sowieckiego, i w październiku spotka się też z prezydentem Reaganem. Wadim Zagładin, zastępca kierownika wydziału zagranicznego KC, uprzedza: „Wybór jest mały, sprowadza się do dwóch możliwości: katastrofa wojenna albo pokojowe współistnienie”. Jest to prastara dewiza rozbójników: pieniądze albo życie!

Adam KRUCZEK

8 sierpnia 1985

## Zjazd "Ślązaków"

W połowie czerwca odbył się w Hanowerze zlot ziomkostwa Ślązaków. Poprzedzony sporem o udział kanclerza Kohla w imprezie i kontrowersją na temat jej głównego hasła (pod naciskiem kanclerza, który właśnie od zmiany hasła uzależnił ostatecznie swe przybycie — zastąpiono motto „Śląsk pozostaje nasz” mottem „Śląsk pozostaje naszą nadzieją w Europie wolnych narodów”) — zlot ów stanowił jedynie ogniwo w długim łańcuchu polemik. Od dwóch lat bowiem narasta ostra konfrontacja postaw nie tylko między koalicją rządową a opozycją, nie tylko między partiami koalicji, ale także wewnątrz CDU-CSU. Przedmiotem jej jest stosunek do tzw. *zastrzeżenia prawnego* czyli tezy o „prawnym istnieniu Niemiec w granicach z roku 1937”, a przede wszystkim stosunek do nastrojów szowinistycznych, sączonych przez tę szparę sztucznie ale uparcie przez kierownicze organy ziomkostw. Stoją one na stanowisku, że układ między Polską a RFN z roku 1970 nie zobowiązuje przyszłych zjednoczonych Niemiec, że stanowi wyrzeczenie się przemocy, a nie uznanie obecnych granic. Dopiero traktat pokojowy miałby ustalić ostatecznie granice polsko-niemieckie. Ostro zwalczają tę tezę opozycja, a także koalicyjna FDP (w licznych i wyraźnych enuncjacjach ministra Spraw Zagranicznych Genschera). Natomiast wewnątrz partii chadeckich ścierają się ze sobą nurty „za” i „przeciw”.

Czy przemówienie kanclerza Kohla na Zlocie Ślązaków pozbawiło ową interpretację wszelkich podstaw i nurtowi „przeciw” zapewniło przewagę? Niezupełnie. Kanclerz przypomniał deklarację o rezygnacji z przemocy w Karcie Przesiedleńców z roku 1950, potwierdził ważność układu warszawskiego i powtórzył, iż oba kraje nie wysuwają wobec siebie dziś ani na przyszłość żadnych roszczeń terytorialnych, że zatem jednostronna zmiana istniejących granic nie wchodzi w rachubę. Ale równocześnie nie zdezaktualizował tezy o „prawnym istnieniu Niemiec w granicach z roku 1937”, odwrotnie, wymienił kolejne dokumenty niemieckie sankcjonujące to stanowisko. W rezultacie przemówienie Kohla nie zadowoliło żadnej ze stron i pomijając fakt, że na samym Zlocie wywołało mieszane reakcje (od okłasków do gwizdów), nie zakończyło kontrowersji ani w koalicji, ani wewnątrz partii chadeckiej.

Wskreszenie przytoczonej tezy po kilkunastoletniej przerwie wynika z dwóch przesłanek. Po pierwsze zwolennicy jej uważają dotychczas owe *zastrzeżenie prawne* za ewentualny argument przetargowy w ewentualnym przyszłym traktacie pokojowym. Po drugie zaś partie chadeckie liczą się z głosami przesiedleńców,

wchodzących w skład ich rezerwuaru wyborczego. Jeśli pierwsza z tych przesłanek nie wytrzymuje w ogóle krytyki w istniejących dziś na świecie warunkach, to druga wynika z rachuby co najmniej zbyt ryczałtowej.

Przesłanka pierwsza — argument przetargowy — przypomina sprzedawanie Szwedom Niderlandów przez Zagłobę. Ani wyrażona w układzie poczdamskim uwaga o ostatecznym ustaleniu granicy polsko-niemieckiej w przyszłym traktacie pokojowym, ani występujący w pewnych dokumentach mocarstw okupacyjnych zwrot o „Niemcach w granicach z roku 1937” nie może służyć za najślabszy nawet argument na rzecz jakiegokolwiek zmiany obecnej sytuacji. Sformułowania te, od początku zresztą przez niemieckich rzeczników *zastrzeżenia prawnego* tendencyjnie interpretowane, zostały przekreślone przez dalszy rozwój wydarzeń: przez fakt, iż do traktatu pokojowego w wymiernym czasie po Poczdamie nie doszło, przez podział Niemiec, a potem powstanie dwóch odrębnych państw niemieckich, przez ich wzajemne i międzynarodowe uznanie w obecnych granicach oraz przyjęcie ich do ONZ, wreszcie przez szereg zawartych z nimi umów międzynarodowych. Warto tu przytoczyć pogląd zmarłego niedawno podsekretarza Stanu w niemieckim MSZ, Aloisa Mertesa, członka CDU (cytat według *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z 15 stycznia 1985):

„Nie istnieje najdrobniejszy nawet punkt zaczepienia, który pozwalałby przypuścić, iż pojęcia 'pokonane Niemcy w granicach z 1937 roku' lub 'zjednoczone Niemcy jako kontrahent traktatu pokojowego' miałyby świadczyć o politycznym zamiarze mocarstw zachodnich dokonania raz jeszcze w przyszłości zmiany zachodnich granic państwa polskiego. Kto szerzy podobne wrażenie, jest niepoważny i nieprawdomówny. W duchu dokumentów strony zwycięskiej z lat 1944 i 1945 'Niemcy w granicach z roku 1937' oznaczają obowiązującą datę wyjściową, nie zaś pretekst do zamierzonych ustępstw terytorialnych”.

Nie chodzi tylko o stwierdzenie przedstawiciela rządu. W świadczeniu ogromnej, realistycznie myślącej większości społeczeństwa niemieckiego na przesuwanie jakiegokolwiek z obecnych granic nie zgodziłby się nikt w Europie, a zatem bezwzględna ich akceptacja przez Niemcy musiałaby stanowić wstępny warunek zarówno ich zjednoczenia, jak też jakiegokolwiek zawierania z nimi traktatu pokojowego.

Czy jednak w ogóle hasło zmiany granic mogłoby dziś w Niemczech zmobilizować dążenia lub nawet skromniej: pragnienia narodowe? Czy więc przesłanka druga — przynęta wyborcza — jest tak bezsporna, za jaką uchodzi? Istotnie, przesiedleńcy stanowią wciąż jeszcze ponad 10 % ogółu ludności w RFN (w tym jednak kilka milionów urodzonych w roku 1949 lub później — status przesiedleńczy przechodzi bowiem na dzieci i wnuki). Ale kto wymierzy dziś dokładnie autentyczny ich odzew na motywy nostalgiczno-nacjonalistyczne? Kto np. oceniając Zlot Ślązaków

potrafi ściśle określić proporcje między demonstracją polityczną a wielką imprezą towarzysko-wspomnieniową? Ostrożność nakazywałaby nie utożsamiać poglądów, głoszonych przez pewnych funkcjonariuszy ziomkostw z poglądami ogółu ich członków, a z kolei nie utożsamiać członków organizacji z ogółem przesiedleńców. (Według ostatnich szacunków do ziomkostw należy 20 % ich liczby ogólnej). Wchłonięcie przesiedleńców przez tujejsze społeczeństwo jest bowiem sprawą dawno i w pełni dokonaną, stanowi zresztą przykład jednego ze skuteczniejszych bodaj w historii procesów integracyjnych. Co więcej, szczegółowe badania wykazują, że w sprawach podstawowych, w poglądach na demokrację i dyktaturę, na wojnę i pokój ogół przesiedleńców nie różni się od ogółu ludności. Ani więc realia bytowe, ani poczucie własnej pozycji społecznej, ani wreszcie zróżnicowanie poglądów politycznych nie czynią ich podatnymi z samej natury na argumenty nacjonalistyczne. Nie ulega wątpliwości, że ich opcje wyborcze dokonywały się i nadal dokonywać się będą według innych, a przynajmniej także według innych kryteriów.

Rzecz jednak w tym (co wiedzą świetnie eksperci od demagogii), że nie trzeba chcieć naprawdę powrotu do Wrocławia, by z lubością ekscytować się hasłem „Wrocław jest niemiecki”. A zatem nie na żadnych realiach ani konkretach opiera się dziś w Niemczech nacjonalistyczna spekulacja, lecz na ludzkich skłonnościach do pławienia się w dawnych, przewyższonych faktycznie frustracjach. Wczebiać się więc w tę zwiotczałą tkankę anachronicznych emocji, poddawać się im i schlebiać, czy też stawiać im opór — oto widoczna obecnie linia podziału wewnątrz partii chadeckich. Abstrahując od enuncjacji samych funkcjonariuszy ziomkostw czy publikacji organu *Der Schlesier*, poszczególne oświadczenia Zimmermanna, Straussa czy Dreggera ilustrują pierwszą postawę. Za przykłady drugiej służą najlepiej kolejne uściślenia Mertesa, stwierdzenie wiceprzewodniczącego frakcji CDU w Bundestagu, Rühego, iż układ z Polską posiada *wiązącą moc polityczną, której nie będą mogły ignorować także przyszłe zjednoczone Niemcy*, dalej np. wypowiedź premiera Badenii-Württembergii, Spätha, na uroczystości 35-tej rocznicy Karty Przesiedleńców — i przede wszystkim przemówienie prezydenta Weizsäckera, wygłoszone w Bundestagu w czterdziestą rocznicę zakończenia wojny. Przypominając, że przesiedleńcy wcześniej (przed 35 laty) zadeklarowali rezygnację z przemocy, Weizsäcker dowodził:

„Nie była to przejściowa deklaracja w początkowym stadium bezsilności, lecz opowiedzenie się za stanowiskiem, które zachowuje ważność. Rezygnacja z przemocy wymaga, by przyczynić się do wszechstronnego wzrostu zaufania, iż również przywrócone do siły Niemcy pozostają rezygnacją tą związane”... „Rezygnacja z przemocy wymaga dziś, aby tam, gdzie los po owym 8 maja ludzi rzucił i gdzie od dziesięcioleci żyją, zapewnić im trwałe, politycznie niekwestionowane poczucie pewności na przyszłość. Ponad sprzecznymi roszczeniami

prawnymi należy ustanowić nakaz porozumienia. W tym leży prawdziwy, ludzki wkład z naszej strony w europejski porządek pokojowy...”.

Demagogia przesiedleńcza w Republice Federalnej jest marginesem bez perspektywy — lecz marginesem szkodliwym gdyż ekipę Jaruzelskiego — o czym często była już mowa — hojnie zaopatruje w argumenty o istnieniu „rewanżyzmu niemieckiego”, a więc pośrednio we wnioski o roli Sowietów jako jedyne go gwaranta granic polsko-niemieckich. Co jednak równie ważne, rzuca kłody pod nogi niezależnej opinii polskiej i w kraju i na emigracji. W przeciwieństwie bowiem do propagandy oficjalnej i wbrew lękom, tkwiącym głęboko w świadomości Polaków, rzecznicy niezależnej opinii polskiej podejmują trud rozprawiania się z zasadnością „straszaka niemieckiego”. Przy tym praw Polski do Ziemi Zachodnich nie opierają oni na „prześlankach historycznych”, lecz na faktach, czyli na narzuconym, lecz dziś już według wszelkich wyobrażeń oraz według prawideł sumienia ludzkiego *nieodwracalnym* osiedleniu się tam milionów Polaków z anektowanych terenów sowieckich. A zarazem nie za żaden akt „sprawiedliwości dziejowej”, lecz za jeszcze jeden tragiczny skutek wojennych przemieszczeń. W znanym liście biskupów polskich do niemieckich, w głośnym eseju Lipskiego, u Michnika, w podziemnej prasie polskiej, a także w szeregu publikacji emigracyjnych znajdują się te wątki — rzadkie przykłady sięgania w dialogach między narodami do niewygodnych nawet dla samych siebie prawd, zamiast do wygodnych taktycznie i utartych przeinaczeń. Tym niebanalnym wysiłkom szkodzi oczywiście owa sztucznie w Republice Federalnej wywołana czkawka nacjonalistyczna.

Lecz najbardziej szkodzi ona samym Niemcom. Wewnątrz rozkopuje niepotrzebne rowy, a na zewnątrz budzi niepotrzebne skojarzenia. Gdyż najbłedsze aluzje do zmiany granic, choćby prezentowane w najbardziej pokojowym opakowaniu, choćby ograniczane setką zastrzeżeń do zastrzeżeń, wywołują odruch warunkowy: „Aha, znowuż ci Niemcy”... Nie żeby istnieć dziś miała jakakolwiek szansa na powtórzenie się historii. Ale odruch warunkowy dotyczy samych relikwów myślenia: rewindykacyjnego i ekspansywnego — relikwów, które skazane na wymarcie i potępienie, pojawiają się znowu.

Z tymi właśnie modelami myślenia politycznego podjął rozprawę we wspomnianym powyżej i sławnym już przemówieniu prezydent Weizsäcker. Stosunek do przeszłości i teraźniejszości splótł on nierozzerwanie z niemiecką winą za hitleryzm i za wojnę. „Nie wolno nam — mówił — odrywać 8 maja 1945 od 30 stycznia 1933”. Do kancelarii prezydenta napływała i napływa nadal lawina listów — autorzy ich reprezentują wszystkie pokolenia — z prośbą o przesłanie tekstu (który *nota bene* ma się ukazać w nakładzie 900 tysięcy egzemplarzy), z wyrazami uznania i wdzięczności za „wyzwalającą siłę jego słów”. To już nie przypadek, nie selektywne reakcje, lecz fakt bez precedensu, prawie zjawisko społeczne.

A równocześnie satysfakcja dla tych wszystkich obserwatorów zagranicznych, których pojawienie się w Republice Federalnej owych niesławnych reliktyw myślenia nie przeraża wprawdzie, lecz zasmuca.

## SPRAWOZDAWCA

30 lipca 1985

## Kronika niemiecka

Polonistykę w Berlinie Wschodnim, w Lipsku, Greifswaldzie i Halle ukończyło od czasu zakończenia wojny ok. 800 polonistów. *Quo vadis* Sienkiewicza i *Faraon* Prusa to najbardziej popularne w NRD książki zagranicznych autorów. ■ Koloński Federalny Instytut Badań Spraw Wschodnich i *Stosunków Międzynarodowych* wydał interesującą pracę Dietera Bingena pt. *Staat und Gesellschaft im Realsozialismus. Der polnische Fall (Państwo i społeczeństwo w realnym socjalizmie na przykładzie Polski)*. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* poinformowała, że katolicy biskupi kanadyjscy nie udzielił chwilowo pomocy materialnej (1 mln dolarów) polskiej Fundacji Rolniczej. Biskupi uznali, że kraje afrykańskie w strefie głodu mają pierwszeństwo, jeśli chodzi o dotacje finansowe. ■ W 1985 roku PRL przeznaczyła 950 mln dolarów na zakup produktów żywnościowych w krajach zachodnich (głównie w RFN). ■ Wychodzący w Düsseldorfie *Ost-Wirtschafts-Report* informuje: polskie zakupy w 1985 roku obejmują 3 mln ton zboża, 1,2 mln ton paszy, 150 tys. ton soi, 60 tys. ton oleju jadalnego i 50 tys. ton mączki rybnej. 36 mln dolarów przeznaczono ponadto na sprowadzenie środków chemicznych do wzbogacania pasz. Zmniejszy się natomiast import mięsa i tytoniu. ■ Zygmunt Januszewski (rocznik 1956), absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, wystawiał swoje rysunki i grafiki w hamburskiej *Galerie Preuss*. Kilka z nich reprodukowało tygodnik *Die Zeit*. ■ W RFN ogłoszono wyniki najnowszych badań opinii publicznej na temat szans na zjednoczenie obu części Niemiec. Z badań wynika, że w takie zjednoczenie wierzy tylko 7 % ankietowanych obywateli Niemiec Zachodnich. Na 1.000 ankietowanych 51 % było zdania, że istnieją tylko minimalne szanse na zjednoczenie; 40 % wyraziło pewność, że do zjednoczenia nigdy nie dojdzie; 2 % ankietowanych przez *Instytut Badań Społecznych* (Bad Godesberg) oświadczyło, że nie ma na ten temat wyrobionej opinii. ■ „Rząd federalny w Bonn jest w posiadaniu 136 tys. nazwisk osób narodowości niemieckiej, żyjących w Polsce, które starają się o wyjazd do RFN” — oświadczył Jürgen Möllemann, minister stanu w *Auswärtiges Amt*. ■ Władysław Kozakiewicz, b. rekordzista świata i zdobywca złotego medalu w skoku o tyczce na Olimpiadzie 1980, postanowił pozostać w RFN. Znany sportowiec ubiega się o obywatelstwo niemieckie. ■ Rozgłośnia *Sender Freies Berlin* nadała 20-minutową rozmowę z Adamem Zagajewskim na temat jego twórczości i aktualnej sytuacji w środowisku polskich pisarzy. ■ Ruchliwa zachodniobrzeńska *Księgarnia i Galeria STODIECKA* (posiada spory dział polskich książek) urządziła wystawę prac dwójga malarzy z Polski, którzy od czterech lat przebywają w Berlinie Zachodnim: Joanna S. Zielińska i Zbigniew Żyśk prezentowali rysunki,

grafikę i malarstwo sztalugowe. ■ Przebywający od 10 lat w RFN „badacz spraw pokojowych”, posługujący się nazwiskiem Jerzy Knychala-Addison-Kuroń, występuje ostatnio jako „prezydent” *Chrześcijańskiej Partii Polski w PRL*, z siedzibą w Kaiserlautern; jest jednocześnie przedstawicielem afiliowanego do *ChPP KOR-u*, któremu według pieczęci mają przewodniczyć doc. mgr Jacek Kuroń z z-cą Adamem Michnikiem. Knychala-Addison-Kuroń propaguje program *satjagrahy* Mohandasa K. Gandhiego, który w walce bez stosowania gwałtu i bez żywienia nienawiści wobec przeciwnika ma przywrócić Polsce niepodległość... Ręcznie pisane po niemiecku „memoriały” (rzekomo przesyłane do wiadomości ks. Jankowskiemu, Kurońowi i Michnikowi!) są opatrzone okazałymi podłużnymi i okrągłymi pieczęciami. Tylko na temat koziego mleka ani słowa. ■ *Parlament Europejski* w Strassburgu postanowił ostatecznie przyznać polskiej Fundacji Rolniczej dotację w wysokości 12 mln marek. ■ 189 polskich naukowców korzystało w 1984 roku ze stypendiów (ok. 3.200 DM miesięcznie) bońskiej Fundacji im. *Alexandra von Humboldta*; na drugim miejscu Amerykanie — 157 stypendystów, na trzecim Japończycy — 155 stypendystów. W 1984 roku z pomocy finansowej Fundacji korzystało zaledwie 9 naukowców sowieckich. ■ Polskie filmy na *Międzynarodowym Festiwalu Filmowym* w Monachium: *Rok spokojnego słońca* Krzysztofa Zanussiego, *W starym dworcu* Andrzeja Kotkowskiego oraz *OBI OBA* Piotra Szulkina. Agnieszka Holland prezentowała nowy film zrealizowany dla zachodniemieckiego producenta pt. *Gorzkie żniwa*. ■ Karl Dedecius, dyrektor *Niemieckiego Instytutu Literatury Polskiej* w Darmsztacie, został wyróżniony tegoroczną Nagrodą *Tłumaczy im. Wielanda* (10 tys. marek) za przekłady i propagowanie polskiej poezji, a szczególnie za tłumaczenia wierszy Tadeusza Różewicza. ■ W Greifswald, w Niemczech Wschodnich, odbył się krajowy zjazd ewangelików. Głównym mówcą był z-ca przewodniczącego *Unii Kościoła Ewangelickiego* w NRD, bp Manfred Stolpe. „Przy różnych osiągnięciach NRD — powiedział bp Stolpe — zarejestrować należy ze smutkiem ujemne saldo w zakresie praw człowieka. Do takich praw należy między innymi swoboda podróżowania. Ograniczenia dotyczą nie tylko możliwości podróżowania do krajów zachodnich, ale nawet wyjazdów do krajów socjalistycznych”. Zdaniem prasy zachodniemieckiej, celem przemówienia było nakłonienie władz rządowych, by cofnęły zarządzenia utrudniające obywatelom NRD indywidualne wyjazdy do Polski. Na tym samym zjeździe bp Horst Gienke: „Chrześcijanom w NRD leży na sercu ożywienie idei spotkań i dialogu ze wszystkimi sąsiadami, głównie z Polską”. ■ „Kościół polski nie organizuje żadnych akcji podziemnych” — oświadczył w bawarskiej Ratyźbonie ks. bp Herbert Bednorz z Katowic. To prawda, dodał katowicki duszpasterz, że naród i Kościół pozostają sobie wierne „w tych trudnych dla nas czasach, ale Kościół nie jest i nie chce być siłą polityczną”. Kościół nie może być także — zdaniem bp Bednorza — „instrumentem” w rozgrywkach grup pozakościelnych, pragnących wykorzystywać go dla własnych celów. ■ Po ośmiu miesiącach odprawiania mszy św. za ojczyznę w kościele św. Franciszka w Witten (Nadrenia-Westfalia) przez ks. Jerzego Sobkowiaka — brali w nich udział Polacy z Witten i okolicznych miast oraz Niemcy i przesiedleńcy z Polski, *de iure* również Niemcy — polskiego księdza „przeniesiono służbowo” gdzieś do Sauerlandu. Nie pomogły protesty — na piśmie — Polaków i Niemców, skierowane do *Generalnego Wikariatu Arcybiskupstwa* w Padeborn. Ks. Sobkowiak jest bardzo rozczarowany z powodu tej decyzji. ■ Datująca się jeszcze z 1951 roku umowa pozwala NRD przekraczać co roku w handlu z RFN kredyt o określonej sumie (tzw. *swing*) — bez zaciągania pożyczek dewizowych i płacenia odsetek. Podpisana obecnie umowa na lata 1986-1990 podwyższa pułap nieoprocentowanego kredytu do 850 mln marek rocznie. NRD zobowiązała się jednocześnie do korzystnej dla RFN-owskiego przemysłu zmiany struktury importu oraz dodat-

kowych zakupów surowców energetycznych: węgla kamiennego, koksu i przetworów ropy naftowej. Podobno władze NRD-owskie zobowiązały się wstrzymać przepływ „politycznych” i gospodarczych uciekinierów z Trzeciego Świata do Berlina Zachodniego (70% „uciekierów” ze Sri Lanki przybywa do Berlina Wschodniego samolotami *Aeroflotu*, a później kolejkami, bez przeszkód, do zachodniej części miasta). ■ Nowym przewodniczącym *Stowarzyszenia PAX CHRISTI* w RFN został ks. bp Karl Braun, ordynariusz diecezji Eichstätt (Bawaria). ■ Założony przez Aleksandra Berlina w Hamburgu emigracyjny *Teatr — Scena Polska* wystawił niedawno w tamtejszym *Theater in der Kunsthalle — Die Trauung (Ślub)* Witolda Gombrowicza. W roli Henryka wystąpił krakowski aktor H. Nalewajka. Inscenizowana przez A. Berlina w języku niemieckim sztuka doczekała się wielu pochlebnych recenzji (np. *Die Welt* i *Hamburger Abendblatt*). ■ W kolońskiej księgarni *Lengfeld'sche Buchhandlung* Hans Henning Hahn przedstawił publiczności Jerzego Holzera, autora *Historii wolnego związku zawodowego w Polsce* — bo taki tytuł nosi starannie przygotowane niemieckie wydanie (*C. H. Beck Verlag*, Monachium) — *Solidarność 1980-1981 (Instytut Literacki, Paryż 1984)*. Holzer przeczytał kilka fragmentów książki, w których zawarta była odpowiedź na pytanie, dlaczego sięgnął po pióro, by zająć się tematem tak trudnym i złożonym, jakim są dzieje tej największej, pokojowej rewolucji w Europie Wschodniej. Odpowiadając na liczne pytania czytelników, Holzer podkreślił, iż za wcześniej byłoby dzisiaj na podejmowanie próby bilansu tych dni i formułowanie historycznych wniosków z wydarzeń lat 1980-1981. ■ Zarządzeniem prezesa *Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk* z 4 czerwca 1985 roku pozbawiono m.in. debitu komunikacyjnego „Kwartalnik *Kontynent*, wydawany w różnych wersjach językowych w Monachium — RFN”. Jest to nowy przykład ignorancji: wychodzący w języku niemieckim kwartalnik *Kontinent* wydawany jest w Bonn; kwartalnik w języku rosyjskim ukazuje się w Paryżu. Innych wersji językowych nie ma. Cenzor nazywa się Stanisław Kosicki. ■ W Berlinie Zachodnim czynna była wystawa książek polskich, przetłumaczonych na język niemiecki. Na wystawie zgromadzono ok. 200 tytułów. Ekspozycja zorganizowana została przez *Misję Wojskową PRL* i kontrolowane przez nią zachodniobерлінskie *Towarzystwo Niemiecko-Polskie*. Na wystawie nie pokazano niemieckich wydań książek polskich autorów opozycyjnych i emigracyjnych. ■ W *Wydawnictwie MON* ukazała się zbiorowa praca pod redakcją Jerzego Skibińskiego pt. *Problemy normalizacji stosunków PRL-RFN*. ■ Jeszcze w 1982 roku zachodniobерлінski senator Ulf Fink zwracał się do Polaków słowami: „drodzy polscy goście”. Pomoc socjalna miała zabezpieczyć egzystencję kilkunastu tysięcy polskich uciekinierów, turystów i poszukujących pracy. Dzisiaj berlińskie władze traktują większość emigrantów jako turystów, którzy polują na pracę „na czarno” i jednocześnie chcą wyłudzić pomoc socjalną. F. Diederichs napisał w *Die Welt*, że „los nielegalnie zatrudnionych Polaków jest nie do pozazdroszczenia. W razie choroby nie mogą korzystać ze świadczeń kasy chorych. Zresztą los wszystkich tzw. tolerowanych Polaków w Berlinie Zachodnim jest podobny”. Azylandzi znajdują się w sytuacji uprzywilejowanej. ■ Jeśli do listopada bież. roku nie wpłyną dalsze pieniądze datki, trzeba będzie wstrzymać dotychczasową *Akcję pomocy dla szpitali w Polsce* — oświadczył dr Gill, politolog i historyk, przewodniczący tej *Akcji* z siedzibą we Friesenheim nad Lahrą. Darów rzeczowych nie brak: od końca 1981 roku wysłano do Polski leki i wyposażenia szpitali o wartości 20 mln marek. Trudno już jednak obecnie zebrać ok. 700 marek miesięcznie na koszt administracyjny dla biura i magazynu *Akcji*. ■ Kolejną imprezą zorganizowaną przez *Księgarnię WAWEL* w Kolonii było spotkanie z prawnikiem Tadeuszem Folkiem, autorem dwu książek i wielu artykułów na temat przepisów dla cudzoziemców, obowiązujących w RFN. Autor znany jest szczególnie w Nad-

renii-Westfalii z prowadzenia tam od wielu lat akcji pomocy prawnej nowym uchodźcom z Polski. Tadeusz Folek ukończył pracę nad trzecią swą książką — *Pobyt, azyl polityczny, obywatelstwo, adopcja w RFN. Przepisy prawne i komentarz według stanu na 1 czerwca 1985*. Praca ukazuje się za kilka tygodni nakładem *Księgarni WAWEL* (D-5000 Köln 1, Stephanstrasse 11). W NRD żyje na stałe ok. 6 tys. Polaków. Większość z nich mieszka w Berlinie, Saksonii i Turynii. ■ Krytykując artykuł Piotra Pawła Ursyna (*Kultura* nr 5/1985), Paweł Krzyżan dotyka na łamach *Życia Literackiego* właściwie sedna sprawy: „W publicystyce na tematy niemieckie uprawianej na łamach pism emigracyjnych oraz podziemnych zjawiskiem charakterystycznym jest dokonująca się właśnie zmiana pokoleniowej warty”. Krzyżan przyznaje, iż pojawiła się generacja młodych ludzi, którzy z „gorliwością i oddaniem pragną pracować nad zbrojnym dziełem polsko-niemieckiego zbliżenia i jedności Niemiec”. ■ Nie tylko sympatycy polityczni, ale i przeciwnicy działacza *CDU* i dyplomaty, Aloisa Mertesa, sekretarza stanu w bońskim *MSZ* ze szczerym żalem przyjęli wiadomość o jego nagłej śmierci. Zmarły 16 czerwca br. wybitny dyplomata był — jak mówiono w Bonn — „ekspertem od wszystkiego”. W dyskusjach publicznych i osobistych kontaktach urząkał rzetelnością argumentacji i suwerennością przekonania. Alois Mertes był od lat przyjacielem Polaków. Przy każdej sposobności wyrażał poparcie dla niezależnych inicjatyw politycznych w naszym kraju; doceniał rolę i znaczenie polskiej emigracji niepodległościowej. Utrzymywał bliskie kontakty z kilkoma polskimi publicystami emigracyjnymi, których opinie i oceny w dziedzinie stosunków polsko-niemieckich bardzo sobie cenili. ■ Przedstawiciele partii *Zielonych* w bońskim *Bundestagu* wysłali list do ambasady PRL w Kolonii, w którym podali przyczyny rezygnacji z podróży do Polski. Rzecznik władz *Zielonych* — Lukas Beckmann i rzeczniczka frakcji parlamentarnej Hennegrët Hönes stwierdzili w tym piśmie, że władze w Warszawie zażądały od delegacji *Zielonych*, by powstrzymała się od wszelkich kontaktów z kołami opozycyjnymi: „Nie zgodzimy się na przyjęcie zasady prowadzenia dialogu z wyłączeniem z niego poważnej części polskiego społeczeństwa. Jego przedstawiciele na wielu płaszczyznach walczą o te same cele co my”. ■ W ub. roku zaledwie 18 tys. turystów z PRL odwiedziło NRD (poza wymianą młodzieżową). ■ Wydział wizowy ambasady RFN w Warszawie wydał w samym lipcu bież. roku 55 tys. wiz wjazdowych i tranzytowych; w sumie od stycznia do końca lipca bież. roku wydano w sumie 200 tys. wiz. ■ Wizytę w Polsce złożył premier rządu krajowego Badenii-Wirtembergii, wiceprzewodniczący *CDU*, Lothar Spaeth. Władze PRL przyjęły chadeckiego polityka z wyszukaną kurtuzją, wybaczyły mu nawet modlitwę nad grobem ks. Jerzego Popiełuszki. Spaeth zapewnił reżym, że rząd boński kieruje się zasadą *pacta sunt servanda*, zwrócił uwagę na przemówienie kanclerza Kohla w *Bundestagu* i przypomniał głośno — krytykowane przez funkcjonariuszy wysiedleńców — przemówienie prezydenta RFN, Richarda von Weizsäckera (ciągłość *Ostpolitik* i nienaruszalność układów granicznych). Premierowi Spaethowi w podróży do Polski towarzyszył rektor Uniwersytetu w Heidelbergu. ■ W Berlinie Zachodnim 53 członków *Izby Senatu* zaprotestowało przeciwko łamaniu praw człowieka w PRL. Protest skierowany do gen. Jaruzelskiego i przekazany *Misji Wojskowej PRL* zrodził się z inicjatywy *Zielonych*, ale został podpisany przez chadeków i socjaldemokratów. ■ W pomieszczeniach biblioteki uniwersyteckiej w Eichstätt (Bawaria) czynna była wystawa fotogramów, wykonanych w getcie warszawskim przez Joe Heydeckera. Autor jest Niemcem, do getta trafił jako żołnierz *Wehrmachtu*, ale tam nie stacjonował, chciał po prostu odwiedzić znajome żydowskie rodziny. Zobaczywszy, co się dzieje, przyjechał do getta ponownie i jako zamiłowany fotograf zrobił zdjęcia dokumentalne. Kierował się świadomością, że zbrodnia ta nie może pójść w zapomnienie. W ramach wystawy Nina Kozłowska z monachijskie-

go Instytutu d/s Europy Wschodniej wygłosiła odczyt pt. *Tragedia warszawskiego getta*. Zbiór fotografii Heydeckera z przedmową Heinricha Bölla ukazał się w monachijskim wydawnictwie *dtv (Foto-Dokumente eines deutschen Soldaten aus dem Jahr 1941*. 2 wyd. 1984). ■ Zmarł Heinrich Böll, lat 67, wybitny pisarz zachodniemiecki, laureat literackiej nagrody Nobla w 1972 roku. Pomagał dyskretnie, ale i skutecznie prześladowanym pisarzom i działaczom opozycji demokratycznej w Czechosłowacji, Polsce i Związku Sowieckim. Odszedł człowiek sprawiedliwy i nam przyjazny.

Andrzej J. CHILECKI

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG  
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22  
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:  
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00  
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00  
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND  
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

**PIĘĆ LAT POLSKIEJ KSIAŻKI  
W NIEMCZECH ZACHODNICH**

Stodiek's Buchhandlung  
KSIĘGARNIA POLSKA  
RICHARD-WAGNER-STRASSE 39  
D - 1000 BERLIN 10  
Tel.: 030-341-10 40.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie!

**Kraj**

**OŚWIADCZENIE  
KOMITETU KULTURY NIEZALEŻNEJ  
I RKW REG. MAZOWSZE NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”**

Walka władz komunistycznych z kulturą polską wchodzi w nową fazę: niezależni twórcy kultury stanęli wobec groźby oskarżenia o zdradę stanu i szpiegostwo.

Zapowiedź takiej polityki represji znajdujemy m.in. w „Informacji o aktualnym stanie bezpieczeństwa i porządku publicznego w kraju” wygłoszonej 10 maja br. w Sejmie PRL przez Ministra Spraw Wewnętrznych, w kilku wypowiedziach na poświęconym inteligencji XIX plenum partii oraz w serii artykułów („Zmierzch bogów”, autor Krzysztof Majchrowski) opublikowanych w *Życiu Literackim* w kwietniu bież. roku.

Podlegli obcej władzy funkcjonariusze wzywają do atakowania opozycji „za kupczenie interesami narodowymi”, utrzymują, że poprzez środowiska literackie i kulturalne „wróg zewnętrzny prowadzi działalność w swoim rodzaju dywersyjną” oraz „czerpie korzyści dokładnie wywiadowcze”. Powracają wciąż kłamstwa o zależności Instytutu Literackiego w Paryżu i paryskiego miesięcznika *Kultura* od CIA. Minister Spraw Wewnętrznych nazywa aresztowanego niedawno niezależnego publicystę i wydawcę Czesława Bieleckiego (znanego jako Maciej Poleski) „wieloletnim agentem ośrodków dywersji politycznej”.

Propagandowe tezy o dywersji i szpiegostwie powtarza się w związku z niezależną kulturą tak często, by wywołać w świadomości obywateli PRL trwałe skojarzenia: niezależny wydawca — dywersant, współpraca z Instytutem Literackim w Paryżu — współpraca z obcym wywiadem. Kampania ta ma też na celu

zastraszenie twórców kultury w kraju oraz — w dalszej perspektywie — przecięcie więzów łączących Polskę z kulturą Zachodu.

Trzeba się tej kampanii stanowczo przeciwstawić. Pamiętajmy wciąż, że niezależny wydawca i drukarz walczą o przysługujące im prawo do wolnego słowa. Pamiętajmy, że Instytut Literacki w Paryżu od czterdziestu lat setkami zakazanych w realnym socjalizmie książek pomaga żyć niezależnej polskiej myśli, zapewnia jej ciągłość. Współpraca z nim i z miesięcznikiem *Kultura* jest zaszczytem.

Niezależność i jedność polskiej kultury w kraju i na emigracji mają dziś wyjątkowe znaczenie dla nas wszystkich.

KOMITET KULTURY NIEZALEŻNEJ  
RKW REG. MAZOWSZE NSSZ „SOLIDARNOŚĆ”

Konrad BIELIŃSKI, Zbigniew BUJAK,  
Wiktor KULERSKI, Jan LITYŃSKI

Warszawa, 3 czerwca 1985 r.

(KOS, 16. 06. 85 Nr 77).

## Otwartość

Kiedy mówimy o walce społeczeństwa polskiego o zachowanie tożsamości i godności, nie sposób nie wspomnieć o *Tygodniku Powszechnym*. Rola tego pisma w prostowaniu naszych karków była i jest pierwszorzędna. Trudno temu zaprzeczyć. Nie mam zamiaru wyliczyć zasług redakcji. Inni uczynili to daleko lepiej, niż ja bym potrafił. Szczególnie, iż niedawno była ku temu dobra okazja — czterdziestolecie istnienia pisma.

Chciałbym jedynie zwrócić uwagę na jedną wielką zasługę *Tygodnika Powszechnego*. Być może nie najważniejszą i być może nie najbardziej widoczną, niemniej, jak sądzę, niezwykle ważną.

*Tygodnik Powszechny* był i jest do dzisiaj pismem krakowskiej Kurii Metropolitalnej. Jest więc nie tylko z założenia, ale i ze względu na sponsora, pismem *stricte* katolickim. A jednak od swych początków był *Tygodnik* niezwykle otwarty także na ludzi związanych z katolicyzmem luźno lub nawet wcale. Stał się platformą szeroko rozumianego humanizmu chrześcijańskiego.

Nie będzie rewelacją, gdy powiem, że Polska jest krajem dość szczególnym. Ludzie systemowi niechętni, lub doń rozczarowani

nie mają swojej trybuny. Skazani są na niebyt. Dzieje się to w myśl starej zasady — nie ma wolności dla wrogów wolności, w tym wypadku słowo wolność jest tożsame ze słowem socjalizm. I tych właśnie ludzi *Tygodnik Powszechny* zawsze przygarniał, używał im gościny na swoich łamach. Nie było to z początku łatwe i nie obeszło się bez zgrzytów. Wielu przedstawicieli hierarchii kościelnej nie było tym specjalnie zachwyconych. Ale redakcji udało się postawić na swoim. Dziś nie można wyobrazić sobie poważnej rozmowy o piśmie z pominieniem takich nazwisk, jak Kisielewski, Tyrmand czy Słonimski. A z autorów, którzy pojawili się na tych łamach później — Woroszylskiego, Wierzbickiego, Bratkowskiego, Barańczaka, Berberysz i wielu, wielu innych.

Może warto w tym miejscu postawić pytanie: czy jest rzeczą normalną, że w piśmie katolickim publikują autorzy, którzy katolikami nie są? Otóż wydaje mi się, że w normalnym, a więc demokratycznym kraju nie jest to sytuacja najnormalniejsza. W takim bowiem kraju istnieje tyle pism, że pozwala to każdemu piszącemu wybrać takie, które światopoglądowo, czy politycznie odpowiada mu najbardziej. Ale Polska normalnym krajem nie jest w żadnym wypadku. W tym nienormalnym kraju jest to sytuacja normalna. Normalna w swej nienormalności.

Otwartość *Tygodnika Powszechnego*... Może to tylko taktyka mająca przyciągnąć do Kościoła intelektualistów? Być może. Ale może to być także wierność zasadom etycznym wyniesionym z Ewangelii.

Postawę otwartości na ludzi spoza Kościoła przejęły od *Tygodnika* inne, powstałe później pisma katolickie. Przede wszystkim *Więź* i *Znak*. Przypomnijmy chociażby to, że poeci i krytycy pokolenia „nowej fali”, kiedy zaczęli się dusić w prasie państwowej, zaczęli publikować właśnie w prasie katolickiej. Barańczak, Krynicki, Zagajewski i inni. I nikt ich tu nie pytał skąd przyszli. A przyszli z dwutygodnika *Student*, organu organizacji socjalistycznych studentów. Pytaniem ważniejszym od „skąd” było „z czym”.

Pisma katolickie przygarniały także ludzi pozbawionych w ogóle prawa druku. Publikowali tu pod pseudonimami. Owe pseudonimy już dawno zostały oficjalnie rozszyfrowane, nic więc nie stoi na przeszkodzie by przypomnieć przynajmniej trzy z nich — Stanisław Barańczak jako Barbara Stawiczak, Jacek Kuroń jako Maciej Gajka oraz Adam Michnik jako Andrzej Zagozda. I znów — wielu, wielu innych.

Była to otwartość pełna, nie obwarowana nakazami, czy zakazami. Ludzi, którzy przyszli do pism katolickich nikt nie rozliczał z chrztu, uczestnictwa w coniedzielnym mszach czy osobistego stosunku do kardynała Wyszyńskiego. Liczyło się to, co mieli do powiedzenia. Było to, jak sądzę, normalne i mądre.

W stanie wojennym powtało bardzo wiele przeróżnych pism i pisemek wydawanych pod auspicjami Kościoła. Znalazło w nich przystań wielu ludzi, którzy przedtem z katolicyzmem i prasą ka-



tolicką mieli mało wspólnego. Niezweryfikowani dziennikarze, publicyści, twórcy, którzy nie widzieli siebie na łamach prasy rządowej. Tutaj mogą robić to, co naprawdę potrafią, służyć swoim czytelnikom. I nie przywiodła ich do prasy konfesyjnej taktyka polityczna. Pracują w niej, bo dano im taką szansę. A ponadto ich poglądy nie są sprzeczne z etyką chrześcijańską, oraz z tym co stanowi o społecznej nauce Kościoła. Pracują dobrze, efekty tej pracy są widoczne.

Ta otwartość prasy katolickiej denerwuje władzę. To zrozumiałe. Szczególnie gdy chodzi o ludzi, którzy onegdaj byli z systemem związani. Odstępców władza nie lubi najbardziej. Fakt, że mimo wszystko starają się oni uprawiać swój zawód, że mają ku temu warunki drażni władzę. Ale niechęci władzy trudno się już dziś poważnie obawiać. Władza w tym systemie stała się czymś na kształt bezosobowego fatum, zjawiska przyrodniczego, jak burza czy gradobicie. Burzy można się bać, lecz mało można na nią poradzić, strach jest więc stosunkowo mało racjonalny. Można się było do niego przez te lata przyzwyczaić. Oczywiście władza może pisma katolickie zamknąć, na co się *nota bene* coraz poważniej zanoszą. Będzie to niewątpliwie wielka strata, ale co możemy na to poradzić? Zresztą, doświadczenie uczy, że władza w Polsce nie potrafi być konsekwentna. Już raz zamknięto *Tygodnik Powszechny*, w 1953 roku. I co? Ano pismo wychodzi nadal.

O wiele groźniejsze, jak mi się wydaje, są chmury nadciągające z najmniej spodziewanej strony. Oto w niektórych środowiskach mieniących się katolickimi słyszy się okrzyki — lewica precz z pism katolickich, precz z naszych pism. Pisma katolickie tylko dla katolików. Tylko dla katolików... — coś mi to hasło przypomina.

Ta postawa jest naprawdę groźna, jako że zrodziła się wewnątrz środowisk katolickich. Ludzie ją propagujący są w stanie zepsuć jedną z piękniejszych wartości wypracowanych przez polski katolicyzm ostatnich lat. W dodatku mogą to zepsuć stosunkowo łatwo. Wystarczy, że znajdą posłuch wśród części hierarchii kościelnej.

Z postawą tych ludzi trudno polemizować. Trudno bowiem przeciwstawić rozumowe argumenty politycznym hasłom. Hasła zawsze przeważają, choćby były najgłupsze. I jeśli mimo wszystko jest coś, co pozwala mi zachować nadzieję i optymizm, to wiara, że hasła te wysuwane są nie z powodów światopoglądowych. Tu raczej chodzi o wpływy, o stołki redakcyjne kilku neofitów wspieranych przez politycznych frustratów. Jest we mnie paradoksalna nadzieja, że tym katolikom nie uda się w praktyce przeprowadzić czegoś, co byłoby sprzeczne z duchem Ewangelii.

Adam WRZESZCZ

## Sprawy i troski

### List z Londynu (8)

Czterdzieści lat temu, w jesieni 1945 roku, powstał w Londynie Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W czasie wojny działał tutaj polski PEN Club i wtedy taka forma była najodpowiedniejsza, bo prawie wszystkie państwa walczące z Hitlerem uznawały polski rząd w Londynie, więc międzynarodowy PEN Club tak samo traktował swą londyńską polską gałąź. Niestety nasza klęska zaciążyła także nad pisarzami. W lipcu 1945 roku rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych uznały „Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej” w kraju i cofnęły uznanie rządowi w Londynie. Prawie natychmiast międzynarodowy PEN Club oświadczył, że uznaje nowy polski twór o tej nazwie, właśnie sformowany w Warszawie.

Można było dołączyć do lokalnych PEN Clubów w różnych krajach i tutaj Anglicy nawet zapraszali, ale oznaczałoby to wyznanie się własnej organizacji. Wtedy nie było nawet mowy o PEN Clubie dla uchodźców, bo Zachód tego nie chciał i zachęcał do powrotu do swych krajów. Twór ten powstał tutaj dopiero w roku 1951 i prawie żadnej roli nie odegrał. Polscy pisarze grupowali się wtedy w Londynie, w Rzymie i w Nowym Jorku, na centralę wybrano Londyn, bo był jednak najliczniejszy. Powstał Związek o nazwie, która obowiązuje do dziś dnia (choć przez pewien czas używano określenia „na Uchodźstwie”), o zasięgu światowym, z członkami w wielu krajach, ze Stanisławem Strońskim jako prezesem.

Okres był wyjątkowo trudny, niektórzy pisarze zdecydowali się na powrót, formowały się kontury emigracji politycznej, na intelektualistów były zwrócone oczy tysięcy ludzi, którzy od nich spodziewali się wskazania właściwej drogi. Dlatego statut Związku w pierwszym swym paragrafie zawarł zdanie: „Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie jest stowarzyszeniem pisarzy należących do emigracji niepodległościowej, którzy nie uznali i nie uznają administracji warszawskiej, ustanowionej na ziemiach polskich przez obce mocarstwo, jako Rządu Rzeczypospolitej

Polskiej, i którzy przebywając na emigracji nie korzystają z opieki dyplomatycznej i konsularnej administracji warszawskiej”.

Po tak zdecydowanej deklaracji przed pisarzami stało podstawowe pytanie: „drukować w kraju czy nie?” By uniknąć wszelkich wątpliwości, dnia 14 czerwca 1947 roku Związek uchwaślił: „nie ogłaszać w pismach i wydawnictwach kierowanych przez władzę narzucone utworów swoich, dawnych i nowych”. Uchwałę podpisało 40 pisarzy, ale były protesty, głównie z kręgu miesięcznika *Kultura*, odezwały się głosy, że oznacza to zerwanie więzi kulturalnej i duchowej z krajem.

Gdy nadeszła „odwilż” i w kraju zarysowały się zmiany, Związek znowu zabrał głos, ale trwał na swym stanowisku. Na Walnym Zebraniu, dnia 21 października 1956 roku uchwalono: „Dopóki Kraj nasz pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą, pisarze polscy na obczyźnie, zgodnie ze swą uchwałą z 1947 roku, winni powstrzymać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władzę totalistyczne”. Za uchwałą głosowało 23 pisarzy, przeciwko tylko czterech, ale ponieważ podjął ją Londyn bez konsultacji członków zamieszkałych w innych krajach, *Kultura* ogłosiła ankietę: „Literatura emigracyjna a kraj”. Jej rezultaty zostały ogłoszone w nr. 12 z 1956 r. i okazało się, że 33 pisarzy sprzeciwiła się londyńskiej decyzji.

Uchwała Związku okazała się nieaktualna, więc dnia 21 grudnia 1957 roku powzięto nową: „Walne Zebranie stoi na stanowisku, że o publikowaniu w Kraju decydować winno sumienie pisarza jako wolnego człowieka dążącego poza Krajem do wyzwolenia ojczyzny, gdy jest to w jego przekonaniu służba kulturze polskiej, nie poddająca go w zależność od aparatu totalistycznego nadal działającego w kraju”. Uchwała ta obowiązuje do dziś dnia. Kilku członków Związku skorzystało z niej i prace swe powierzyło krajowym wydawcom.

Problemy polityczne nie przesłoniły jednak zadań, które normalnie stoją przed każdym zrzeszeniem pisarzy, organizowano więc liczne wieczory i spotkania oraz prowadzono działalność wydawniczą, która wyraziła się w kilkunastu ciekawych tomach, z serią „żywych” (Mickiewicz, Wyspiański, Conrad, Krasiński, Norwid i Sienkiewicz) i dwutomową *Literaturą polską na obczyźnie* (do roku 1960) na czele. Od roku 1951 poczęto przyznawać nagrody pisarskie, które po różnych zmianach, od lat dotyczą dwóch pozycji: całokształt twórczości i najlepsza polska książka roku wydana poza krajem. Nagrodzonym może być tylko pisarz mieszkający na obczyźnie.

W roku 1947, korzystając z pomocy funduszy wojskowych, Związek zakupił w Londynie dom, w którym przez lata mieszkali pisarze i organizowali tam spotkania i dyskusje. W roku 1971, gdy dom opustoszał, sprzedano go, a zarządzająca nim Fundacja Domu Pisarza zainwestowała kapitał, którego procenty pozwalają Związkowi na jego działalność.

Jak dziś, po 40 latach, wygląda oblicze Związku, jakie są jego zadania, jak je spełnia, co jest jego największą troską?

Fakt najbardziej znamieny: nic się w postawie Związku nie zmieniło. Drapieżność obecnego okresu, tak samo jak powojennego, zmusza nas do wypełniania zadań politycznych, które normalnie należą do innych. Wyraża się to od czasu do czasu w skutecznych interwencjach (Kongresy PEN Clubu, walka o prawa człowieka w sowieckim bloku, zmiana konstytucji w Polsce, wpływ na społeczeństwa krajów osiedlenia).

Ostrość obecnej sytuacji wymaga bardziej zdecydowanego działania, dlatego po długiej przerwie Związek wznowił akcję wydawniczą w formie własnego rocznika, *Pamiętnika Literackiego*. Pierwszy jego tom ukazał się w roku 1976, obecnie mamy w dorobku 9 tomów, ukazujących się co osiem miesięcy. Zadaniem *Pamiętnika* jest prezentowanie polskich pisarskich i kulturalnych osiągnięć poza krajem, jego główne działy to Słownik pisarzy polskich na obczyźnie (opublikowano już ponad 150 biogramów), przekłady na języki obce, nagrody pisarskie i instytucje kulturalne poza krajem oraz coroczne wykazy wydanych książek. Każdy tom jest poświęcony jednemu głównemu zagadnieniu (Nagroda Nobla Miłosza, poezja, przekłady na języki obce, obcokrajowi tłumacze polskiej literatury, przyszłość polskiego piśmiennictwa, nauka o Polsce na obcych uniwersytetach). *Pamiętnik* dociera do kraju i tam badacze literatury emigracyjnej oceniają jego walory.

Jednym z ważnych naszych zadań jest utrzymanie więzi z krajem, wymiana myśli, wymiana poglądów i to osiągamy przez zapraszanie wybitnych pisarzy o niezależnej postawie. W ciągu ostatnich lat na wieczorach Związku wystąpili: Waław Bartoszewski (kilkakrotnie), Jacek Bocheński, Jerzy Frankiewicz, Stefan Kisielewski (kilkakrotnie), Barbara Koc, Maria Kornikowicz, Anka Kowalska, Adam Michnik, Andrzej Szczypiorski, ks. Jan Twardowski, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zagórski. Z pisarzy, którzy stale przebywają na zachodzie nie zabrakło Miłosza i Mrożka oraz wielu innych.

Zadania są różnorakie, spełniamy je jak możemy, ale najważniejszym z nich jest utrzymanie ciągłości Związku, uzupełnianie jego szeregów. Niestety nowi polscy pisarze, dla których nasz język jest materiałem twórczym, nie urodzą się poza krajem. Najmłodszy z rzutu wojennego to grupa „Kontynentów”, ale i oni już docierają do 60-tki. Starsze pokolenie wymiera, w ciągu ostatnich pięciu lat odeszło 19-tu członków Związku. W tym samym okresie przyjęto 22, ale młodszy wśród nich to wyłącznie pisarze z kraju, którzy osiedlili się na Zachodzie. W niedalekiej przyszłości tylko tą drogą będzie można uzupełniać szeregi Związku i wszyscy zainteresowani muszą sobie z tego zdać sprawę. Najwymowniejsze są cyfry. W roku 1963 Związek liczył 120 członków, obecnie ma ich 107 w 15 krajach zachodniego świata. A przecież cyfry te mogłyby wyglądać odwrotnie, bo w ostatnich latach wydarzenia polityczne sprawiły, że z kraju wyjechało wielu pisarzy reprezentujących kilka pokoleń.

Z tą sprawą łączy się najważniejszy chyba aspekt działalności

Związku, który w sposób bardzo wyraźny przedstawił Sławomir Mrozek, gdy przed niewielu miesiącami odbierał nagrodę Związku za całokształt twórczości. Po rozwiązaniu Związku Literatów w Kraju i zastąpieniu go tworem całkowicie zależnym od władz politycznych, nasz Związek jest jedyną na świecie niezależną organizacją skupiającą polskich pisarzy.

W ciągu 40 lat prezesami Związku byli: Stanisław Stroński (1945-1948 i 1950-1954), Antoni Bogusławski (1949), Tymon Terlecki (1955-1959 i 1965), Wiesław Wohnout (1960-1964), Zygmunt Bohusz-Szysko (1965-1966), Teodozya Lisiewicz (1967-1973), Kazimierz Sowiński (1974-1975) a od jego choroby ta funkcja spadła na mnie.

Zamykając tygodnie związane z 40-leciem zakończenia wojny w Europie, *The Daily Telegraph* przypominał instrukcję jaką w lecie 1940 roku, w czasie powietrznej Bitwy o Wielką Brytanię, wywiesił w swoim domu golfowy klub w Richmond, na przedmieściach Londynu.

„Gracze są proszeni o zbieranie bomb i odłamków, by uniknąć uszkodzenia maszyn do koszenia trawy.

W czasie gry, gdy zaświszczą pociski i zaczną padać bomby, gracze mają prawo do chwilowego poszukania schronienia bez kary za przerwanie gry.

Miejsca gdzie padły bomby, które opóźniły grę, będą oznaczone czerwonymi chorągiewkami, ale nie gwarantuje to bezpiecznego dystansu.

Piłka golfowa, poruszona przez akcję nieprzyjaciela, może być zmieniona, a gdy zostanie zniszczona, można skorzystać z przepisu „rzucona piłka”, ale bez przybliżenia się do dołka i bez kary.

Gracz, którego uderzenie nie udało się z powodu jednoczesnego wybuchu bomby, może je powtórzyć”.

Wspaniała, dawna, wojenna Anglia.

W ostatnim numerze *Kultury* Leopold Unger podał informację, że w Związku Sowieckim ukazało się tłumaczenie angielskiego słownika opartego na wydaniu *Oxford University Press* i że tłumaczenie to zawiera szereg sfałszowanych haseł, odbiegających od oryginału. Informacja ta nie jest zupełnie ścisła. Istotnie w Sowietach wydano w wielu tysiącach egzemplarzy oksfordzkiego słownika, ale teksty są zgodne z oryginałem. To w Oksfordzie zmieniono hasła, to tam przystosowano je do haseł sowieckiej nauki.

Wybuchł tutaj skandal, ale prędko ucichł i jakże temu się dziwić, skoro w wielu angielskich szkołach, będących pod kontrolą lokalnych władz marksistowskiego skrzydła *Labour Party*, uczy się właśnie takich sowieckich haseł.

Dzisiejsza Anglia.

Minęło szereg miesięcy od zakończenia strajku górników, Scargill trąbi o moralnym zwycięstwie, ale tutaj nie uznaje się takiego pojęcia i liczy się wyłącznie skutki rocznego szaleństwa. Kraj stracił ponad 4 miliardy funtów i tu przywódca górników może mówić o sukcesie, bo chciał rzucić własny naród na kolana, ale wszystkie inne skutki są jego klęską. Rada Węglowa proponowała zmniejszenie siły roboczej o 20 tysięcy starszych górników, którzy dobrowolnie poszliby na emeryturę z wielotysięcznymi premiami w kieszeniach. Scargill podjął jakoby walkę o uratowanie tych miejsc pracy i cóż się stało? W czasie strajku 10 tysięcy górników dobrowolnie opuściło kopalnie, obecnie ponad 10 tysięcy zabiega o wcześniejsze emerytury a ilość miejsc pracy jeszcze bardziej zmalała, bo strajk spowodował utratę kilkudziesięciu ścian węglowych.

Ponadto 28 tysięcy górników z hrabstwa Nottingham, którzy nie strajkowali, opuściło Związek i założyło własną organizację. To samo zamierzają zrobić górnicy z hrabstwa Derby i urzędnicy kopalniami. Spowodowały to dwie uchwały kongresu górników zmieniające statut. Pierwsza upoważnia zarząd do ogłoszenia strajku bez balotażu, druga zapewnia Scargillowi dożywotnią prezydenturę. Oznacza to, że będzie rządził bez wyborów do 65 roku życia a ma dopiero 44 lata. Ten rozłam jest dla Związku Górników katastrofalny i pociągnie za sobą trudności, które mogą trwać długie lata. Stało się już tak 59 lat temu, gdy w roku 1926 miał w Wielkiej Brytanii miejsce jedyny jak dotychczas strajk generalny, spowodowany właśnie przez konflikt kopalniani. Prywatni właściciele chcieli przeprowadzić redukcje i obniżyć zarobki górników, poparły ich Związki Zawodowe (*TUC*) i wybuchł strajk, który sparaliżował prawie cały kraj, ale tylko na 10 dni, od 4 do 13 maja. Kongres związków zawodowych przyjął propozycje mediatora i strajk odwołał, ale górnicy zawzięli się i strajkowali jeszcze przez pół roku. Gdy głód zmusił ich do kapitulacji, przywódca górników właśnie z Nottingham, George Spencer, oderwał ich od Związku. Szykanowano ich, toczyły się walki przed kopalniami, Kongres Związków zatruwał im życie, ale dopiero po 11 latach rozłam załatwiono.

Może tak być i tym razem. Dla Związku Górników i dla *TUC* będzie to bardzo złe, ale dla całego kraju może będzie ulgą i końcem robotniczego szantażu.

Józef GARLIŃSKI

## AFERA WOKÓŁ DOMU POLSKIEGO JANA PAWŁA II W RZYMIE

25 czerwca bież. roku abp Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu, odsonił i poświęcił pamiątkową tablicę w Domu Polskim Jana Pawła II w Rzymie. Na tej tablicy wyryte są nazwy organizacji polonijnych i nazwiska osób szczególnie zasłużonych dla powstania Domu, czyli głównych

ofiarodawców. Na tę okazję przybyło do Rzymu ok. 200 osób — fundatorów indywidualnych i reprezentujących organizacje społeczne. Zwróciła uwagę nieobecność zarówno prezesa Kongresu Polonii USA — Mazewskiego, jak i prezesa „Polonii Jutra” z Kanady — Kaszuby. Było to z ich strony votum nieufności do zarządu Fundacji Domu Polskiego Jana Pawła II. Zgromadzeni zostali przyjęci przez Papieża. Dwa popołudnia spędzono na dyskusji nad dalszymi losami tej Fundacji, powołanej wprawdzie przez Jana Pawła II, ale które wyglądają niedobrze. Brak dotąd gwarancji prawno-organizacyjnych dla działalności Fundacji jako gospodarza Domu Polskiego. Złe wyglądają także finanse.

Jak nas poinformowało szereg uczestników ostatniej uroczystości i dyskusji rzymskiej, Rada Fundacji oczekuje dalszego wsparcia finansowego na utrzymanie Domu. Przyjęli oni do wiadomości niepokojące fakty, do jakich doszło w dotychczasowej działalności Domu. Najpierw zmiany personalne: po karnym usunięciu w ubiegłym roku Ojca Kazimierza Przydatka S.J., sekretarza Rady Fundacji i jej głównego inicjatora, ze stanowiska kierownika centrum dla pielgrzymów polskich, z analogicznych względów w maju bież. roku zdjęto ze stanowiska jego zastępcę i dyrektora Domu, ks. Ksawerego Sokołowskiego. Motywy (sprawdzone komisyjnie): bałagan organizacyjny, niemożność rozliczenia się z powodu nieprowadzenia księgowości, nadużycia (czeki dolarowe na poważne nieraz sumy wystawiane *ad personam*, realizowane i nieujawniane itp.). W tym stanie rzeczy trudno się dziwić, że przedstawiciele emigracji, przyciskani o dokonanie nowej zbiórki, nie są skłonni dołożenia na placówkę, której sytuacja jest chwiejna, a kierownictwo niekompetentne. Szkoda tylko, że tak długo czekano na zdemaskowanie nadużyć. Brak przy tym gwarancji, że ponownie nie nastąpią.

**JANUSZ RAKOWSKI**

**„Z PIÓREM W MUNDURZE”**

**Francja-Szwajcaria 1940-1946**

Dzieje 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

Autentyczny pamiętnik pisany w miejscach postoju w czasie wojny i na internowaniu.  
Stron 240. Liczne fotografie.

Cena 70 F.F.

**KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU**  
**123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris**  
Tel.: 326 04-42

## Ci, co odeszli

### WAZ

Wacław Zbyszewski nie zostawił po sobie żadnej książki, choć łatwo mógł być całą półkę wypełnić tomami artykułów, które pisał w wielkiej ilości przez 60 lat. Mimo to zapewnił sobie trwalsze miejsce w polskiej publicystyce emigracyjnej niż wielu innych, których nazwiska czyta się na okładkach zapomnianych książek.

Był niepodobny do nikogo, rozpoznawalny od pierwszego napisanego zdania. Interesowały go wyłącznie — jak twierdził — ekonomia i polityka międzynarodowa i najchętniej pisał na te tematy, lecz bez pasji i ambicji wielkiego publicysty, który chce mieć wpływ na politykę. Podjęty temat traktował raczej jako punkt wyjścia, by pisać o wszystkim co mu przychodziło do głowy, co go w tej chwili interesowało. W trakcie pisania przechodził z oderwanych spraw na ludzi, pisał błyskotliwie, zabawnie, z przekorną skłonnością do zaskakiwania, swobodnie, stylem towarzyskiej rozmowy, do której wplata się anegdota, obce słowa, nieoczekiwane skojarzenia. W oparciu o wiedzę, inteligencję i talent, miał nieograniczone zaufanie do swej pamięci, która była kopalnią nie zawsze dokładnych wiadomości i nieraz prowadziła go na manowce, sprzeczności czy fantazji. W tym co pisał bywał irytujący, drażnił, nie zawsze można było brać go poważnie, nigdy jednak nie nudził i trudno było odłożyć jego artykuł, nie przeczytawszy go do końca. „Zaczynam lekturę *Wiadomości* od naszego Saint-Simona” — pisał kiedyś żartobliwie Jan Kott w liście do redakcji, upominając się, stylem czytelników pisma, o „więcej Zbyszewskiego”.

Nudziarstwo było w oczach Zbyszewskiego śmiertelnym grzechem dziennikarstwa i decydowało o jego ocenie piszących. Była to ocena dosyć jednolita, niemal wszystkich zaliczał do nudziarzy lub supernudziarzy, widząc w tej regule polskiego nudziarstwa tylko dwa święte wyjątki — Stanisława Mackiewicza i Ignacego Matuszewskiego, których ceniał, podziwiał i stawiał za

niedościgły wzór innym. Czasami wstrzeźmiwie pochwalił jakiś artykuł czy książkę, ale autorzy zawdzięczali swoje wyróżnienie przeważnie przyjacielskim powiązaniom lub po prostu „dobremu urodzeniu”. Snobizm Wacia nie był śmieszną przywarą jaką bywa u innych, lecz naturalną częścią jego osoby, niemal cechą fizyczną. Uwierzył raz na zawsze — a wiara jego była tak silna, że nigdy nawet nie rozprawiał na ten temat, choć lubił dyskusje, w jego interpretacji sprowadzone do monologu — że w układzie świata istnieje, dzięki swemu urodzeniu, klasa lepszego gatunku. Przekonanie to nie budziło w nim niezyczliwości wobec tych, którzy nie urodzili się z hrabiów i nie mówili po francusku. Miewał bliskich znajomych, którzy spełniali tylko jeden z tych warunków, a czasem nie spełniali żadnego i choć okazywał im przyjaźń, a nawet pewne przywiązanie — jak wobec redaktora Grydzewskiego — wyczuwalna była drobna różnica, zabarwiona pobłażliwością w odniesieniu do „*ce pauvre Jules*” czy tej „pocziwej Ireny” a wzmiankami o Betce lub Olesiu, nawet gdy okazywało się, że chodzi o „tego bałwana Olesia”.

Używanie zdrobniałego imienia oznaczało w ustach Wacia oczywistą przynależność wymienionych do ekskluzywnego klubu. Nawet nie wypadało się pytać o kogo chodzi, gdy padały imiona — Cesia, Józio, Miś, Edzio...

Snobizm Wacia był wyłącznie towarzyski, nie dał się, na przykład, nigdy uwieść modom literackim, odważnie wypowiadając niepopularne wśród intelektualnych guru sądy o apodyktycznie kreowanych wielkościach.

Do jego imienia też nie trzeba było dodawać nazwiska, był tylko jeden „Wacio”. Czasem takie zdrobnienia spełniają rolę przydomka, określającego charakter czy odmienność i „Waciem” nie był żaden z licznych Waclawów, podobnie jak „Stasiem” został do późnej śmierci Baliński. Swojskiemu „Waclawowi” Zbyszewskiego towarzyszył — nie wiem czy od chrztu czy później dodany — „Alfred”, łatwiejszy w stosunkach z cudzoziemcami i przydatny do stworzenia pseudonimowego skrótu „WAZ”, którym często podpisywał swe artykuły.

Waclaw Alfred urodził się w 1903 roku w rodzinnym majątku na Ukrainie i czekał go los dziedzica wielkiej fortuny. Trudno go sobie wyobrazić w tej roli, od której uchroniła go rewolucja. Od dzieciństwa zatopiony w książkach, mieszcuch do szpiku kości, niechętny wysiłkom fizycznym, nieufny wobec zwierząt, od których wolał trzymać się z daleka, ceniący tylko to co było dziełem człowieka, przyrodę znał z parków, buraki jako jarzynę i — choć miał wielkie ambicje jako ekonomista — nie umiał załatwiać nawet własnych małych interesów. Zamiast objężdżać konno swe włości, pilnować jak rośnie pszenica i owe buraki, przeznaczone nie na barszcz, lecz do cukrowni, pertraktować, spekulować i pomnażać majątek, zapewne zostałby *Schöngeist*'em otoczonym książkami, jeżdżącym do badów i do Paryża, chodzącym po muzeach i telegrafującym po pieniądze do zostawionego na gospodarstwie młodszego brata Karola, który bar-

dział się do tej roli nadawał. Nie wiadomo jednak czy na tyle, by majątek długo się ostał, jeśli sędzić po rodzinnej zdolności do interesów. W 1915 roku ojciec Zbyszewskich zostawił majątki na łasce boskiej i z liczną rodziną i służbą przeniósł się do 12-pokojowego mieszkania w Kijowie, by synowie mogli chodzić do szkół. W beztropce rozbawionego wówczas Kijowa, Zbyszewski-senior dokupił jeszcze jeden majątek i parę kamienic. Małą pociechę miała z tej zapobiegliwej inwestycji rodzina Zbyszewskich, gdy w 1919 roku znalazła się w Polsce.

Wacio skończył gimnazjum w Warszawie i przeniósł się na uniwersytet do Krakowa. Uzyskał doktorat z prawa i ekonomii, którą studiował pod okiem swego mistrza Adama Krzyżanowskiego. Podziwiał go przez całe życie z niezwykłym u siebie entuzjazmem i oddaniem i gdy po wojnie przyszła z kraju wiadomość o śmierci profesora, poświęcił mu jedno z najpiękniejszych wspomnień pośmiertnych, a umiał je pisać niezrównanie. Wiadomość była przedwczesna i prof. Krzyżanowski podziękował mu serdecznie, pisząc jak wielką przyjemność sprawiło mu dowiedzieć się za życia o swoich zasługach.

W krakowskich czasach narodziła się legenda Zbyszewskiego, która dotarła do mnie po latach przez jego przyjaciół i znajomych, gdy go poznałam w czasie wojny w Londynie. Mówiono o jego niepospolitych zdolnościach, o wspaniałej publicystyczno-politycznej karierze, jaka stała przed nim, o tym jak mając niewiele ponad dwadzieścia lat został najmłodszym współpracownikiem *Czasu*, szacownego krakowskiego pisma Stańczyków. Pisał i gdzie indziej, w *Buncie Młodych*, w *Przeglądzie Współczesnym* i w końcu związał się z wileńskim *Słowem* Stanisława Mackiewicza.

W pierwszych latach niepodległości Polska zaroila się od młodych talentów, pochodzących z Kresów. Wacio, bliski im wiekiem i pochodzeniem różnił się od wszystkich. Nie zachował tak częstego u nich sentymentu do rodzinnych stron, tęsknoty do dobrych carskich czasów, do szerokich stepów, rozłożystych dworów, śpiewnej mowy. Swą najbliższą, naturalną ojczyznę znalazł w zachodnioeuropejskim, kulturalnym, konserwatywnym Krakowie, podczas gdy jego serdeczny przyjaciel, Stanisław Mackiewicz miał żal do Krakowa, miasta swojej matki, gdzie spędził parę lat dzieciństwa, że zasłonił mu wcześniejsze lata petersburskie i późniejsze Wilno jego przodków po mieczu, że — jak pisał — „wieżyce Marjackiego kościoła zabrały wileńskiej kaplicy św. Kazimierza ten pierwszy czar, który na dziecko działa, którego się nigdy nie zapomina i który otula jakby muzyką”. Zbyszewski, choć mieszkał w Rosji do 16 roku życia, nie poddał się temu „czarowi” dziecinnych wrażeń i namiętnie nienawidził wszystkiego co miało związek z Rosją, „tą ojczyzną ciemnoty, ucisku, knuta, barbarii, tyranii, tego najzacieklejszego wroga naszego narodu”. Nawet u „Stasia” Mackiewicza raziło go „wschodnie bałaganiarstwo, rusycyzmy, pasja do literatury rosyjskiej”. On sam

nie robił wyjątku ani dla języka rosyjskiego, który na pewno znał doskonale, choć nikt nigdy nie usłyszał od niego jednego rosyjskiego słowa, ani dla literatury i miał za złe „prorosyjskość” nawet wielbicielom Puszkina i Dostojewskiego.

Po paru latach służył dyplomatycznej na placówkach w Tokio, Nowym Jorku i Paryżu, Wacio na wiosnę 1939 roku przyjechał do Londynu jako korespondent *Słowa*. Gdy wojna wybuchła najpierw pracował w polskiej sekcji BBC, potem w polskim ministerstwie informacji i dokumentacji, prowadzonym przez profesora Strońskiego, z którym — spotkawszy się na korytarzu Strattonu — natychmiast z entuzjazmem przechodzili na język francuski.

W wojennym Londynie Wacio był nadzwyczaj pożyteczny, znał doskonale języki, w tym angielski, najbardziej wtedy potrzebny i najmniej Polakom znany i mógł na poczekaniu napisać co trzeba na każdy temat. Ale trudno było wyobrazić go sobie z lat krakowskich, takiego jak go opisywano, bywalca arystokratycznych salonów, olśniewającego swoją młodzieńczą erudycją, pewnego swej świetnej przyszłości. Wojna przecięła kariery wielu ludzi, którzy już czymś zdążyli być, lecz Wacio do nich nie należał. Chociaż zbliżał się do czterdziestki, wciąż był dopiero na progu, wciąż przed ostateczną decyzją co zrobić ze swoim życiem. I coraz bardziej stawało się jasne, że już za późno, by posunąć się naprzód, by spełnić dawne nadzieje. Katastrofa wojny, która przewróciła świat, była wygodnym kamuflażem dla własnej przegranej, której był świadomy. Jej przyczyna tkwiła głębiej, nie w wojnie, lecz w charakterze, w braku koncepcji odpowiedzialnego życia. Może zawiniło tu też zbyt wczesne, zbyt wielkie powodzenie, które zatrzymało go przed dojściem do świadomej dojrzałości. Uciekał przed wszystkim, co wymagało decyzji i pociągało obowiązki — bał się zdecydować o tym czym miał być, bał się ożenić, osiąść, mieć dom, wydać książkę, bał się żyć i umrzeć. Tak jak uciekał przed londyńskimi bombami, z nieodłączną maską gazową, do najgłębszych schronów lub poza Londyn, tak samo później, po wojnie, uciekał przed jakimkolwiek ustaleniem się, jakimkolwiek zobowiązaniem. Mieszkał w Paryżu w studenckim hoteliku, jadł byle co, byle jak, potrafił chodzić oberwany, w przedpotopowym kapeluszu, po jakich poznawało się przez lata polskich emigrantów, był potencjalnym *clochard*’em i jeśli nim nie został to chyba z poczucia godności i z lojalności wobec bliskich. Pisał tylko po to, by zarobić, z czym się nie krył, powtarzając to często i nie tylko wtedy, gdy był „wyrobnikiem” — według swego określenia — pracującym przez lata dla radia WE, ale i dawniej. Pisząc kiedyś o swej przedwojennej współpracy z *Przeglądem Współczesnym*, wspomina, że na prośbę redaktora, prof. Wędkiewicza, pisywał dla niego artykuły dlatego, że dobrze za nie płacił — „ani jednego nie pamiętam, nawet tematu, nawet tytułu, wiem, że żaden nie zrobił mi najmniejszej przyjemności, musiały to być potężne nudziarstwa”. Obsesja zbierania pieniędzy towarzyszyła mu stale, jakby wi-

dział w tym jedyną trwałą wartość, swoją kotwicę, trzymającą go w niepewnym życiu.

Z londyńskich czasów zachowałam wspomnienie piszącego Wacia, które do dzisiaj mnie zadziwia. Nie pisał jeszcze wtedy na maszynie, tylko ręcznie, miał przed sobą stos luźnych kartek, zapełniał je bez chwili namysłu, pisał szybko jak pod dyktando, odrzucał zapisane kartki na lewo i pisał dalej. Gdy skończył, zbierał kartki i nie rzuciwszy na nie okiem, oddawał maszynistce lub wkładał do koperty i wysyłał gdzie trzeba. Był to popis niezwykłej łatwości pisania, zaufania do siebie i jednocześnie lekceważenia zarówno czytelnika jak i siebie jako autora. Potwierdziło mi to późniejsze doświadczenie. Gdy po latach, w jego artykule, przystanym do *Wiadomości* znajdowałam jakiś błąd czy fałszywą informację i pytałam go co z tym zrobić, odpowiadał niezmiennie: „Jakie to ma znaczenie?! Moje biedne dziecko, czy myślisz, że jakiś czytelnik to zauważy?”. I godził się bez sprzeciwu, by poprawić „Meksyk” na „Peru”, by cytowanym tyśiącom dodać lub odjąć ileś tam zer. Był jednak nieugięty, gdy chodziło o pisownię i potrafił wyklócać się z Grydzewskim, podobnym dziwakiem w tej dziedzinie — Wacio nie ustępował od używania litery „x” zamiast „ks” i „Dr.” zamiast „dr” a Grydzewski uparcie zmieniał mu „export” na „wywóz” i „konstytucję” na „ustawę zasadniczą”.

Obojętny stosunek do własnego pisania dziwnie nie godził się z jego przekonaniem o własnej wartości. Któż zresztą może wiedzieć czy nie była to obojętność pozorna, przybrana po to, by ukryć życiowe zawody, brak należnego uznania, brak własnych książek, brak nagród, nieszczyśliwe miłości? Wacio bał się współczucia, wolał swym zachowaniem, niepowstrzymanym rozgadaniem, pełnym drastycznych epitetów (niezazłagodzonych z francuska) — budzić u jednych irytację i zgorzniecie, bawić innych. Jego słynne plotkarstwo nie miało — jak to dziś jasno widzę — żadną złośliwości, nikomu nie zrobiło krzywdy, było pewnego rodzaju zabawą towarzyską i wszyscy tak je przyjmowali. Gdy trzeba było — umiał być dyskretny i delikatny.

Miłosne perypetie Wacia w Londynie znał najdokładniej każdy kto go chciał słuchać z jego ubolewań nad potocnością kobiet, a ostateczny wyrok jaki wydał, że *ça ne se fait plus* w ówczesnym Londynie trzęsącym się od plotek kto z kim, stał się perłą emigracyjnego folkloru.

Zżymając się na Wacia, oburzając na jego niewyparzony język, bawiąc jego towarzystwem, mało kto pod maską widział bardzo smutnego człowieka. Niczym się nie cieszył, śmiał się rzadko niewesołym śmiechem. Rozjaśniał się tylko, gdy mówił o swej ukochanej R., którą w późnym wieku wziął pod swoją opiekę jako małą dziewczynkę, kształcił w najlepszych szkołach, uczył kultury, którą tak cenił, w końcu wydał za mąż i do końca życia otaczał wzruszającym uczuciem. Gdy pokazywał jej fotografie łagodniał, w jego oczach, w tonie głosu była czułość, gro-

madzona w ukryciu i nie wydawana przez całe życie i wdzięczność za szczęście pierwszy raz odpłacanej miłości.

Wacio miał głęboką wiarę i mimo swych intelektualnych skłonności nie „wachał teologii”, przed czym przestrzega ks. Jan Twardowski w jednym ze swych mądrych wierszy, tylko był pokornie pobożny, co — wierzę — pozwoliło mu łagodnie przejść do życia wiecznego. Mam nadzieję, że w niebie nie trafi do polskiego oddziału, zaludnionego — jeśli sądzić po emigracyjnych nekrologach — samymi paragonami wszelkich cnót (raz ktoś był „zaczny nad miarę”). Zanudziłyby się na wieczność. Zamiast, żeby stał, jak oni, „na wiecznej warcie”, życzę Mu wiecznego odpoczynku po długim zmęczeniu życia.

Stefania KOSSOWSKA

## Kronika kulturalna

### Jeszcze o śmierci Witkacego

#### WYJAŚNIENIE

Gdy dowiedziałem się, że po klęsce wrześniowej wróciła do Warszawy pani Czesława Korzeniowska, towarzysząca Witkacego w jego wędrówce na wschód w dwu ostatnich tygodniach jego życia, zdając sobie sprawę z dokumentalnej wartości jej relacji udałem się do niej natychmiast i słuchając jej opowiadania robiłem notatki.

Sądzę, że było to zaledwie kilka dni po jej powrocie, może nieco więcej, ale chyba najwyżej kilka tygodni po śmierci Witkiewicza, chociaż w tej ocenie czasu mogę się mylić — być może pani K. powróciła do Warszawy później. Nie znałem jej osobiście, lecz ona znała mnie z opowiadań Witkacego, z którym przyjaźniłem się od kilku lat, i dlatego zgodziła się bez oporu opowiedzieć mi ze szczegółami przebieg tragicznych wydarzeń. Po zakończeniu rozmowy umówiliśmy się, że sporządzą tekst maszynowy i za dzień lub dwa przyjdę, aby sprawdziła i podpisała ten dokument. Gdy jednak przyszedłem, pani K. nie wpuściła mnie do mieszkania lecz niechętnie rozmawiała ze mną przez szparę w nie domkniętych drzwiach i mimo mych nalegań i perswazji odmówiła nie tylko podpisania, ale nawet przeczytania dokumentu. Przypuszczam, że moja pierwsza wizyta zaskoczyła ją i dlatego zapewne wszystko szczerze mi opowiedziała. Później przyszła refleksja, może fala depresji, być może chęć ucieczki od wspomnień a nawet chęć wyparcia ich z pamięci, może też czyjaś namowa. W każdym razie stwierdzam, że chociaż na pewno w wielu sformułowaniach użyłem swoich słów, ręczę za prawdziwość zapisu wszystkich faktów i cytowanych wypowiedzi zgodnie z opowiadaniem pani K. Żałuję tylko, że przez niedopatrzenie nie zaopatrzyłem go w datę.

Nieutuleni w żalu zawiadamiamy o przedwczesnej śmierci, w dniu 15 lipca 1985 roku naszego najukochańszego 28-letniego syna i brata

#### **JAMES MATTHEW HAGADUS**

absolwenta Mass. Institute of Technology oraz doktora medycyny z New York Medical College

**Dr Ronald i Maria Hagadus,  
Francesca Hagadus,  
Claudia Hagadus-Long**

Przeszło 13 lat temu wyjechałem z kraju i po około rocznym pobycie w Szwecji i Norwegii jako *visiting profesor*, przyjechałem do Meksyku, gdzie jestem teraz profesorem tytularnym Narodowego Uniwersytetu Pedagogicznego i prowadzę badania nad osobowością młodzieży meksykańskiej. Od swego wyjazdu polską prasę kulturalno-literacką czytywałem raczej nieregularnie. Podobno w tym okresie ukazało się kilka relacji o śmierci Witkacego, niezupełnie ze sobą zgodnych, między innymi jedna napisana przez panią K., zresztą jedyna znana mi, ogłoszona pośmiertnie w nrze 13/1032 *Kierunków* z dnia 28 marca 1976, którą mi niedawno przysłano. Relacja jej z dwoma istotnymi wyjątkami różni się od mojej tylko w nieważnych chociaż ciekawych szczegółach. Wyjątkami istotnymi są epizod ślubu i wspólnej modlitwy oraz brak słów Witkacego dotyczących bolszewików i Polski. W prawdziwość ślubu i modlitwy pozwala wątpliwe zarówno sprzeczność z osobowością Witkacego, chociaż mógłby je tłumaczyć jego stan psychiczny wywołany zmęczeniem, wyczerpaniem i ogólną depresją, może obawa przed zrobieniem jej w ostatnich chwilach życia przykrości, jak i pominięcie ich przez panią K. w jej zapisanym przeze mnie opowiadaniu. Było to wydarzenie dla niej tak ważne, iż nie mogła o nim zapomnieć, a nie widzę powodu, dla którego miałyby je wówczas przemilczeć. Na prawdziwość ślubu mogłyby może wskazywać słowa Witkiewicza w dziewiątym akapicie relacji, wedle których p. K. powiedziała kiedyś, że zgodziłyby się na małżeństwo z nim „chyba pod chloroformem”, a „jest pod luminałem”, lub może włożenie w usta Witkacego fragmentu modlitwy ułożonej jako by dla niego przez matkę gdy jako dziecko był bardzo chory — jest to szczegół, którego zmyślenie wydaje się raczej mało prawdopodobne, chociaż nie można go wykluczyć. Z drugiej jednak strony o tej ułożonej przez matkę modlitwie mógł kiedyś po prostu opowiedzieć pani K. wspominając swe dzieciństwo, ona zaś wyzyskała to w tym raczej zmyślonym epizodzie. Zmyślenie staje się bardziej prawdopodobne jeśli się weźmie pod uwagę późniejszą działalność pani K. (starania o rentę po Witkiewiczu oraz podpisywanie listów jego nazwiskiem lub pseudonimem, co potwierdzają istniejące dokumenty). W działalności tej mógł jej niewątpliwie dopomagać, jak zapewne naiwnie sądziła, ów rzekomy ślub, który zresztą nie miałby żadnej mocy prawnej ani wartości religijnej. Ostatecznie jednak, nawet jeśli istotnie Witkacy udzielił sobie ślubu z panią K., jak pisze ona w *Kierunkach*, czego już nigdy nie będzie można sprawdzić, wyciąganie z tego wątpliwego wydarzenia w niezwykle wyjątkowej psychologicznie sytuacji jakichkolwiek wniosków co do jego osobowości czy religijności byłoby moim zdaniem bardzo ryzykowne. Słowa jego mogły być po prostu gorzką żartobliwą ironią, mogły być ze względu na panią K. metaforyczną aluzją do wspólnej śmierci jako ślubu, do którego być może go teraz namawiała, on zaś chyba na pewno odrzucił. Jeśli zaś chodzi o Polskę i bolszewików, pominięcie ich w maszynopisie ogłoszonym w *Kierunkach* tłumaczyć się może względami natury cenzuralnej.

Innych relacji o śmierci Witkacego nie znam i jestem prawie pewny, że moja jest pierwszą zapisaną „na gorąco” i bogatą w szczegóły, o których nikt inny prócz pani K. nie mógł wiedzieć, a które różnią się nieraz od tego, co sama napisała 36 lat później. Naturalnie co do tego pierwszeństwa mogę się mylić.

Sporządzonego przeze mnie dokumentu pani K. przeczytać nie chciała. Wobec, jak się zdaje, istnienia kilku niezgodnych relacji, uważam za swój obowiązek względem pamięci Witkiewicza i kultury narodowej ogłoszenie mojej, którą dla wyżej wskazanych powodów uważam za najbardziej wiarygodną — oczywiście jeśli przyjmiemy, że było zgodne z rzeczywistością opowiadanie pani K.

W styczniu 1984 roku posłałem swą relację panu Janowi Stanisławowi Witkiewiczowi, którego mi ktoś gorąco polecił i który o nią usilnie prosił, a o którym wiedziałem tylko tyle, że podobno wydał doskonałą książkę o Witkacym. Ani jego artykułów, ani książki jeszcze wówczas nie znałem. Relację moją chciałem zamieścić w numerze *Pamiętnika Literackiego* poświęconym Witkacemu, który podobno redagował, oraz wyzyskać w swej biografii Witkacego, do której zbierał materiały. Gdy jednak mimo mej trzykrotnej prośby (19 czerwca 1983, 18 stycznia i 18 kwietnia 1984) o wyjaśnienie swego pokrewieństwa z Witkacym p. J.S.W. wciąż tylko obiecywał mi uczynić to „w najbliższych dniach”, oraz gdy przeczytałem pierwsze wydanie jego książki „Witkacy i Witkiewiczowie”, wydanej w Szwajcarii przez dość zagadkowe wydawnictwo „Pocublice”, 18 czerwca 1984 roku odwołałem swą zgodę powołując się na jego zapewnienie w liście z 4 sierpnia 1983, że bez mojej zgody „nigdy nie opublikuje mej relacji lub też jej w jakiegokolwiek publikacji nie zacytuje”. 14 sierpnia tegoż roku napisałem w tej sprawie do profesora Józefa Garlińskiego, redaktora *Pamiętnika* i prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Ponieważ żaden z nich na moje oba listy polecone mimo upływu prawie dziewięciu i przeszło siedmiu miesięcy dotychczas nie odpowiedział, posyłam ją do *Kultury* i stwierdzam, że jeśli moja relacja ukaże się w *Pamiętniku* lub też jeśli p. J.S.W. wyzyska ją w jakiejś swej innej publikacji, stanie się to bez mojej zgody, o której odwołaniu poinformowałem zarówno pana J.S.W. jak prof. Garlińskiego.

Po przeczytaniu książki o Witkacym i Witkiewiczach stało się dla mnie rzeczą oczywistą, iż nie tylko nie jest doskonała, jak mi ktoś napisał, ale że jest wprost żałosna, i że jeśli nawet p. J.S.W. jest krewnym Witkacego, nie jest człowiekiem powołanym do pisania o nim, gdyż oprócz pokrewieństwa — zresztą nie wyjaśnionego — należy do tego mieć jeszcze inne kwalifikacje, których on najwyraźniej nie ma. Książka ta świadczy o braku kultury literackiej i ogólnej, nieznajomości warsztatu krytycznego, nieudolności stylistycznej a nawet niedostatecznej znajomości języka polskiego.

Nie twierdzę, że moja relacja jest najbardziej wiarygodnym dokumentem. Mam jednak nadzieję, że dopomoże ona przyszłym



mu biografowi z prawdziwego zdarzenia w dojsciu, przez analogię porównawczą istniejących tekstów, do najbardziej prawdopodobnego przebiegu owego tragicznego dnia. Ogłaszając ją uważam, że spełniłem swój obowiązek, i nic więcej na temat śmierci Witkacego nie mam do dodania.

Ostatni raz widziałem Witkacego na dwa czy trzy dni przed jego wyjazdem z Warszawy. Zastałem go przy nalepianiu na szybach pasków papierowych, które rzekomo, jak nas ówczesne władze informowały, miały je chronić od wypadania. Stał na stole postawionym koło okna. Jako znacznie młodszy zaproponowałem mu, że go zastąpię przy tej robocie. „Jakże mógłbym Ci pozwolić na wykonywanie tak idiotycznej „czynności”, odpowiedział. A chociaż mówiliśmy jeszcze o wielu innych rzeczach, są to ostatnie słowa Stasia, które mi pozostały w pamięci.

Mieczysław CHOYNOWSKI

14 marca 1985

## RELACJA

Dnia 5 września Witkacy zaszedł do p. K. do biura z decyzją natychmiastowego wyjazdu z Warszawy — zrazu tylko na prawy brzeg Wisły, aby tam czekać na dalszy rozwój wypadków. Poszli razem na Bracką, skąd Witkiewicz wziął nieco najpotrzebniejszych rzeczy, potem do p. K. na Filtrową. Po drodze spotkali dr. Kochanowskiego, z którym Witkacy pogodził się, tak samo jak później — na dworcu — z Bolesławem Micińskim. Na stacji był Langier, Garbińscy, jakieś młode małżeństwo. Po południu dostali się do jednego z pociągów ewakuacyjnych i odjechali w niewiadomym kierunku — jak się później okazało do Brześcia — przechodząc w drodze niewielką katastrofę kolejową.

Witkiewicz od początku reagował na wszystko bardzo źle, zawodziło również zdrowie. W Brześciu spędzili dwie doby nocując w hotelu, przeżywali nalot połączony ze strasznym zniszczeniem. Już tam, na drugi dzień wędrowki, Witkacy powiedział do p. K.: „Musimy odebrać sobie życie”. Problem ten mimo jej perswazji powracał stale, narzucał się na każdym przystanku.

Z Brześcia wyszli pieszo w stronę Kobrynia. Witkiewicz czuł się z sercem bardzo niedobrze, z dnia na dzień było gorzej. W drodze zaczął źle słyszeć, trzeba było do niego krzyczeć.

W Antopolu odłączył się Langier, dalej szli już tylko we czworo z Garbińskimi. Wszelki kontakt z otoczeniem był dla Witkacego męczarnią. Z Garbińską przestał w ogóle rozmawiać, z Garbińskim mówił tylko o tym, co konieczne. Tymczasem depresja rosła, potęgowana jeszcze tym, że nie mógł się myć, nie mógł czytać. Powtarzał stale, że nie jest społeczeństwu potrzebny. Był szalenie zmęczony wędrowką i życiem — męczyły go od wielu lat podróże, alkohol, narkotyki.

Narzekał teraz, że ma grube nogi, że nie może chodzić — czasem tylko można było podjeżdżać furką. Zmęczenie wzmagało się z dnia na dzień, choć starał się go nie okazywać. Powtarzał od czasu do czasu swe żartobliwe „miau, miau”: że wszystko dobrze, że to wszystko nic. Upierał się, żeby samemu nosić bawełnę. Był bardzo senny — już w pociągu do Brześcia zasypiał na dyżurach. W ciągu całej podróży nieustannie zażywał na pobudzenie Ortedynę, której miał duże zapasy.

Myśl o samobójstwie przewijała się przez życie Witkiewicza od dawna, teraz nie opuszczała go już wcale. Gdy na zarzut: „powiedziałaś, że nie masz przywiązania do życia, a jednak teraz nie chcesz”, pani K. usiłowała przekonać go, że jeszcze nie czas na to, że jeszcze będzie potrzebny, oburzył się — tak nie jest, „nie jestem nikomu potrzebny” — i żeby już nigdy o tym nie mówić.

Dobrnęli na koniec do Jezior, wsi o 20 km od Dąbrowicy — 16 września, nocowali tam w stodole. Nazajutrz przyszła pierwsza wieść o inwazji sowieckiej — palenie dokumentów, licytacja z Grabińską w opowiadaniach okropności o rewolucji bolszewickiej. A gdy p. K. próbowała podsunąć, że przecież teraz jest co innego, że to nie rewolucja, powiedziała: „Ty nic nie przeżyłaś, Ty nie wiesz jak to było”. Wyobrażał sobie bolszewików strasznie — że będą bić i katować, że rzucą się na nią, a on nie będzie mógł jej bronić. Tej nocy decyzja dojrzała nieodwołalnie.

Osiemnastego rano Witkiewicz powiedział „To dziś” — nic więcej, tylko te dwa słowa. „Czy się nie ogolisz” zapytała p. K. „Jak chcesz” — i ogolił się, ale już nie sprzątnął przyborów. Po śniadaniu odezwał się „chodź, pójdziemy na spacer”. Poszli, podobał mu się krajobraz — „jak Litwa”. Szukali jakiegoś lasu, trudno było znaleźć odpowiednie miejsce. Wyszli o ósmej, chodzili mniej więcej godzinę. Znaleźli wreszcie piękny, olbrzymi dąb. Była już jesień, lekka poranna mgła bez słońca — „Ja nie mogę, nie mogę czekać ostatniej chwili — muszę jeszcze teraz, póki jest Polska. I trzeba spokojnie, z honorem”.

Gdy szli, zachowywał się jak gdyby nic się nie miało stać. Jeszcze teraz, pod drzewem, pani K. próbowała perswazji. Witkiewicz przypuszczał, że może jej chodzi o siebie. „Choć powinniśmy razem umierać, jednak może by mogło być inaczej. Ale nie mam Cię komu zostawić, musisz iść ze mną”. Lecz ona wiedziała, że musi z nim iść, miała o tym głębokie przekonanie, tłumaczyła mu, że to szczerze, że chce tego sama. Usiedli pod dębem, Witkacy zażywał pastylki. „Po co to bierzesz?” — zapytała pani K. „Bo krew będzie żywiej krążyć, szybciej ze mnie wyjdzie”. Chciał podciąć sobie żyły, dla p. K. miał luminal — ten sam, który od dawna przeznaczał dla siebie. „Powiedziałaś kiedyś, że nie chcesz, abym się z Tobą ożenił, że zrobiłabyś to chyba pod chloroformem”, przypominał. „I widzisz — miało być pod chloroformem, a jest pod luminalem”. Rozpuścili w garnuszku osiemnaście pastylek i dwie pastylki cybalginy — była zdaje się jedenasta godzina, pani K. wypijała. Potem pożegnali

się, pani K. chciała uniknąć wzruszeń, chciała okazać, że ona też tego pragnie. Teraz Witkiewicz wziął się do siebie. Zaczął ciąć rękę, ale krew czegoś nie szła, przeciął jeszcze żyłak na prawej nodze, lecz i tu nie było krwi. Pani K. była coraz bardziej osłabiona, czuła że zasypia, nie mogła opanować senności. „Nie zasypiaj, nie zostawiaj mnie samego”, powiedział Witkiewicz, a po chwili: „Jak ty zaśniesz, to poderżnę sobie gardło”. Zamierzał podciąć sobie tylko jedną żyłę, nazwał ją, wyjaśnił, że jeśli się wie jak to zrobić, to wszystko idzie gładko — nie trzeba ciąć całego gardła. Wspomnił potem krawca Błońskiego: nie przypuszczał pewnie, iż „mistrzunio” będzie ginąć w ubranku jego roboty. Wspomnił de Beauraina, Langiera, Zofię Żeleńską, Piernikarskiego, swą ciotkę z Antałówki. Gdzieś jechały jakieś konie — Witkacy bał się, że to już bolszewicy. Pani K. położyła się wówczas, nie mogła już siedzieć, nie miała sił. „Nie zasypiaj”, mówił Witkiewicz. Mówił także, że szkoda, iż nie ma słońca — „Żeby chociaż zaświeciło słońce”. Pani K. zasypiała już wtedy, widziała jeszcze jak zażywał znów Ortedrynę, a potem już nic nie pamięta.

Obudziła się w nocy, miała torsje. Przez sen zbadała miejsce koło siebie, czy Witkacy jest obok niej — bo tak było przez cały czas wędrówki, gdyż nie rozstawali się nigdy. Nie było go — przypomniała sobie wszystko, zdawało się jej, że musiał być lekko ranny i zabrali go, więc ona musi znów zasnąć. Potem jeszcze raz się obudziła i jeszcze raz zasnęła. Wreszcie obudziła się trzeci raz, był już ranek, pod głową miała marynarkę, którą jej musiał włożyć Witkacy — „Stasia nie było”. Wstała wówczas i upadła na niego, zawołała, myślała, że żyje. Leżał na wznak z podkuloną lewą nogą, ręce miał zgięte w łokciach i odchylone do góry, oczy otwarte i uchylone usta — w twarzy była ulga, odprężenie po wielkim zmęczeniu.

Pani K. nie wiedziała co robić, nie mogła się zorientować — to krzyczała, to mówiła coś do Witkiewicza. Byli oboje mokrzy od porannej mgły, z dębu padały na nich żołądziej; ona osuwała się na niego, chciała go grzebać, rękami zgarniała nań ziemię, nie wiedziała co robić. Potem wodą z kubeczka po luminalu umyła mu twarz i okryła ją paprociami. Była strasznie osłabiona, widziała podwójnie — „było wtedy dwóch Stasiów”. Pamiętała, że trzeba go pochować i wracała, mówiła coś do niego, pytała o coś, czołgała się na czworakach i bezradnie siadała na ziemi. Nagle zaszczekał pies i wtedy uprzytomniła sobie, że przecież gdzieś są ludzie. Przypomniała sobie rękopisy Witkiewicza i wiedziała już, że musi go pochować, a potem ratować rękopisy.

Rano, we wtorek 19 września, Grabińscy wysłali milicję na poszukiwania. Znalaziono ich — pani K. leżała potem 3 dni nieprzytomna, Witkiewicza pochowali tego samego dnia przy jeziorze, na starym prawosławnym cmentarzu. Jest tam dziś duży sosnowy krzyż, wieniec z jodły i kwiaty przyniesione przez wiejskie dzieci. Witkiewicz leży w trumnie z desek okryty płótnem, z laską. Kowal miejscowy przyrzekł przybić miedzianą tablicę

i okryć grób darnią. Na krzyżu są wyskrobane i obrysowane chemicznym ołówkiem imiona, nazwisko oraz daty.

Pani K. zażyła luminal o jedenastej, około 11.30 zasnęła. Była bardzo grubo ubrana, lecz gdy ją nazajutrz rano po odnalezieniu odprowadzono do leśniczówki, miała zakrwawione ramięczko od koszuli. Witkiewicz musiał przy niej siedzieć, okrwawił ją pewnie wtedy, gdy jej podkładał pod głowę marynarkę — musiało być wówczas koło dwunastej, osiemnastego września 1939 roku.

Spisywał Mieczysław CHOYNOWSKI

### LISTA TYCH, KTÓRZY ODPOWIEDZIELI NA APEL W KULTURZE

do dnia 31 maja 1985 roku

i nadesłali do Instytutu Piłsudskiego w New Yorku  
dary jak niżej:

	\$\$
1. Degler Grzegorz, WORB, Szwajcaria .....	10,00
2. Domaniewski Wiesław, New York, USA .....	500,00
3. Sulkowski Edmund, Schenectady, N.Y., USA .....	100,00
4. Braynack George, Miami Beach, FLA, USA .....	100,00
5. Greenpoint Society, Inc. Brooklyn, NY, USA .....	100,00
6. Krzysztof Boreyko, Easton, CT, USA .....	1.000,00
7. S.P.K., Post 31, Chicago, ILL., USA .....	100,00
8. Jan Weiss, New York, USA .....	75,00
9. Jerzy Lepecki, Rio de Janeiro, Brasil .....	55,00
10. Zandel Roma, New York, USA .....	25,00
11. Przybyłowski Mieczysław, Rego Park, N.Y., USA .....	100,00
12. Sova-Sowińska Irena, New York, USA .....	100,00
13. Wigckowski J. J., St. Davids, PA, USA .....	100,00
14. <i>Kultura</i> , Paryż, Francja .....	520,66
15. SWAP, Post 36, Passaic, N.J., USA .....	100,00
16. Żeleński Władysław, Paryż, Francja .....	100,00
17. Piotrowska-Otręba S., Irvington, N.J., USA .....	30,00
18. Rodowicz Bolesław, New York, USA .....	100,00
19. Jurewicz Lesław, New York, USA .....	100,00
20. Zebrane wśród emerytów w dn. 3 Maja. Detroit, Mich., USA	145,00
21. Gortat Wincenty, Manville, N.J., USA .....	50,00
22. W. Szwed, Melbourne, Australia .....	32,20
23. Waclaw Szukiewicz, Ft. Lauderdale, FLA, USA .....	1.000,00
24. A. St. Nitecka, Dearburn, Mich., USA .....	40,00
25. Sobkowicz Genowefa, Chicago, ILL., USA .....	100,00
26. Mulyk Jarosław, Brooklyn, N.Y., USA .....	40,00
27. T. Wyrwa, Paryż, Francja .....	10,00
28. W. L. Werchun, Chicago, ILL., USA .....	50,00

## Książki

### Najmniej słów

Zaledwie wczoraj, zdawałoby się, studiowaliśmy z Ryszardem polonistykę w Poznaniu — a już w tej chwili jest na pewno w przygotowaniu niejedna praca magisterska pod tytułem „Przebieg ewolucji poezji Krynickiego”\*. Dwadzieścia lat tej twórczości, która od dawna zajmuje swoje własne, wysokie miejsce pośród najoryginalniejszych zjawisk dzisiejszej poezji polskiej, to istotnie dzieje przejścia od jednej skrajnej pozycji do drugiej: od skrajnego nadmiaru do skrajnej ascezy. We wczesnych wierszach Krynickiego — tych z lat sześćdziesiątych czy jeszcze z „Organizmu zbiorowego” (1975) — uderzał efekt niemal barokowego natłoku: niekończących się zestawień obrazów, łańcuchów sytuacji, zdaniowych rozgałęzień. Symboliczny motyw powodzi, który nieraz w tych wierszach się pojawiał, znajdował swoje odbicie również w ich konstrukcji: wiersz sam w sobie był powodzią, falą niosącą na swoim grzbiecie fakty, przedmioty i słowa, odpadki rzeczywistości, która uległa katastrofie. W tomie „Nasze życie rośnie” (1978) widoczne są już oznaki przesuwania się w stronę przeciwległego bieguna stylu. Odtąd w twórczości Krynickiego dominować zaczęły formy miniaturowe, wyżęte z wszelkiego nadmiaru, ograniczone do minimum. Stało się tak, jakby w pewnym momencie poeta, zamiast dążyć — z natury rzeczy bezskutecznie — do ogarnięcia w wierszu całej powodzi rzeczywistości, postanowił raczej w każdym poszczególnym utworze wyławić jakiś pojedynczy przedmiot tą powodzią niesiony. Ujęcie syntetyczne zmieniło się w analityczne, rozmach przeszedł w skupienie, nadmiar — w ascezę.

Zwłaszcza kiedy czyta się najnowsze wiersze Krynickiego — skrajnie krótkie, niejednokrotnie dwu-trzywersowe miniatury pisane po roku 1978 — przypominają się wezwania, które tak

\* Ryszard Krynicki, *Niewiele więcej i Nowe wiersze*. Wydawnictwo Przedświt, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy, 1984, str. 44. Rysunki: Jacek K. Zieliński.

olbrzymi wpływ wywarły na rozwój nowoczesnej liryki polskiej: hasło „najmniej słów”, hasło „poetyki ściśniętego gardła”. Analogia jest jednak złudna, zwężłość Krynickiego nie ma wiele wspólnego z propagowaną przez Awangardę Krakowską zasadą słownej oszczędności czy z anty-poetyckim stylem wczesnego Różewicza. Inne są jej podstawy filozoficzne: zamiast charakterystycznej dla Przybosia demiurgicznej koncepcji słowa panującego nad rzeczywistością i zdolnego do jej przekształcania spotykamy tu raczej przekonanie o nadrzędnym znaczeniu rzeczywistości — twardej, konkretnej, nieporuszonej — którą słowo poetyckie może opisywać i oceniać, ale której nie przeobrazi; z drugiej strony, zamiast Różewiczowskiego zwątpienia w sens i funkcję słowa, poezji, kultury, mamy u Krynickiego niedwuznacznie wyrażane przeświadczenie, że słowu, poezji, kulturze można i należy — wbrew ich faktycznej bezradności — stawiać wymagania najwyższe. Poetycka pokora (wobec rzeczywistości, zawsze ważniejszej niż prawa wyobraźni) i poetycka duma (z faktu, że właśnie słowo poety pozostaje nieraz jedynym środkiem obrony przed rzeczywistością, która zagraża) — te dwie, tylko z pozoru sprzeczne, postawy znajdują dla siebie dość miejsca w każdej miniaturze Krynickiego. Nie bez znaczenia jest fakt, że w przeciwieństwie do ateistycznej (choć odmiennie w obu wypadkach motywowanej) postawy Przybosia czy Różewicza, autor „Niewiele więcej” jest poetą z gruntu religijnym. Mam na myśli nie tylko to, że tom zawiera wiele poetyckich modlitw — choćby to była paradoksalna modlitwa o łaskę kary:

*Panie, nie jestem godzien  
Twojej kary,  
lecz jeśli ma być wymierzona  
niechaj dosięgnie tylko mnie.  
Przebacz, i teraz ciężko zgrzeszyłem  
wierząc, że i na mnie mógłbyś zwrócić  
swoje wszystko-i-nic widzące*

*spojrzenie.*

(„Nie jestem godzien”)

Mam na myśli również fakt, że tylko na podłożu religijnym postawa pokory i postawa dumy okazują się wzajemnie niesprzeczne. Motywacją pokory jest wiara: skoro obecność Boga odbija się w rzeczach tego świata, a każdy wiersz jest tego świata cząstkowym przywołaniem, zatem poezja stanowi formę wzywania imienia Boga — i należy ją ograniczać do najmniezbędniejszego minimum, aby nie wzywać imienia Bożego nadaremno. Ale motywacją dumy jest także wiara: skoro obecność Boga w świecie nadaje sankcję naszej solidarności z bliźnimi, a solidarność poety wyraża się poprzez słowo — zatem rola poezji, broniącej bezbronnych, jest szczególnie zobowiązująca; i zobowiązuje, między innymi, do czynienia ze słów takiego użytku, aby każdy wiersz stanowił coś w rodzaju poręcznego narzędzia duchowej

samoobrony, skondensowaną porcję wiedzy czy wizji, ekwiwalent hasła na murze, ulotkowego apelu, przysłowia, przekazywanego z ust do ust żartu, ostatniego okrzyku przed egzekucją. Jak widać, poetycka pokora i poetycka duma wyrastają z jednego podłoża, ale i zbiegają się w jednym punkcie: ich ostatecznym efektem w poezji jest skrajna asceza słowa, motywowana całym szeregiem względów, od metafizycznych po praktyczne.

Z tego punktu widzenia jednak dalsze pytania nasuwa porównanie miniatur Krynickiego pisanych przed i po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, przedzielonych zatem dramatycznym doświadczeniem historyczno-społecznej rzeczywistości stawiającej problem miejsca poety i roli poezji w nowym świetle. Zbiór wydany przez Przedświt składa się z dwóch cykli, „Niewiele więcej” (wiersze z lat 1978-1979 i z września 1980) oraz „Jeżeli w jakimś kraju” (wiersze pisane pomiędzy grudniem 1981 a majem 1983). I przed, i po Grudniu Krynicki uprawiał poezję gnomiczną, nawiązującą do modelu epigramatu czy aforyzmu. Porównajmy jednak dwie wersje tego gnomicznego pisania:

*Podczas przedłużającego się postoju  
w Berlinie Wschodnim  
młody celnik gorliwie odśrubowuje  
blaszane sklepienie  
znad korytarza wagonu; wspinając się na palcach  
sprawdza, czy nikt nie ucieka; góra munduru  
unoszą się, odłupania pulchny,  
bezbronny brzuch i wtuloną weń  
kaburę pistoletu.*

(„Postój”)

*Żołnierze, nie strzelajcie do nas!  
Nie strzelajcie do swoich braci.  
Jesteśmy bezbronni, a wy  
będziecie musieli do nas wrócić.  
Ci, którzy was wcielili  
do przymusowej służby wojskowej  
i dziś rozkazują wam strzelać,  
jutro wyprą się swoich rozkazów.*

(„Nie strzelajcie”)

Pierwszy wiersz pochodzi sprzed Grudnia, drugi został napisany w Grudniu. W obydwu zwraca uwagę dążenie do maksymalnej oszczędności i kondensacji (choć posunięte nie aż do takiej skrajności, jak w niektórych innych miniaturach). Co najciekawsze, obydwa mówią w zasadzie o tej samej sprawie: o tym, że człowiek będący na usługach przemocy i niesprawiedliwości jest też tylko człowiekiem. W jak różny jednak sposób zostało to powiedziane! W pierwszym przypadku dochodzi do głosu skłonność do oparcia całego wiersza na pojedynczym paradoksalnym zestawieniu, ironicznym dysonansie (kontrast między machiną

ucisku, której służy celnik, a bezbronnością jego własnego ciała), co zresztą dokonuje się w sposób niebezpośredni, pozostawiający wyciągnięcie wniosków czytelnikowi. W przypadku drugim obecność paradoksu staje się słabiej wyczuwalna, a ironii w ogóle brak: wiersz przekształca się w jednoznaczny argument, obnażony i bezpośredni apel; opisanie przeciwnika zastąpione zostaje skierowanym do niego wezwaniem; chodzi nie o to, aby coś uświadomić czytelnikowi wiersza, ale o to, aby przy pomocy wiersza przekonać przeciwnika. Można by powiedzieć, że oba wiersze reprezentują dążenie do gnomicznej zwięzłości, ale pierwszy bliższy jest takim gatunkom miniaturowym jak aforyzm czy anegdota, drugi stanowi przykład apelu kojarzącego się z ulotką czy napisem na murze (znamiennie, że autentyczny napis na murze zamieścił Krynicki jako motto cyklu „Jeżeli w jakimś kraju” — ważna jest przy tym nie tyle treść tego napisu, ile fakt, że jako gatunek jest on dla poety wzorem do naśladowania, co wyznaje zresztą bardziej bezpośrednio wiersz „Dwa proste zdania”). Można powiedzieć także, że graniczna data Grudnia 1981 nie ma zapewne decydującego znaczenia: miniatury Krynickiego wahały się właściwie zawsze między biegunem aforyzmu (opartego na paradoksie czy grze znaczeń i oferującego takie czy inne rozpoznanie zewnętrznej rzeczywistości) a biegunem ulotki (opartej na bezpośrednim apelu i zmierzającej przede wszystkim do przekonania adresata). Porównajmy raz jeszcze wiersz-aforyzm i wiersz-ulotkę, obydwa wzięte tym razem z „przedwojennego” cyklu „Niewiele więcej”:

*— Jesteście wolni .. mówi strażnik  
i żelazna brama zamyka się*

*teraz z tej strony.*

(„Jesteście wolni”)

*Ty, który jak zwykle w pochodzie  
musisz święcić dzień pychy twoich ciemiężców,  
lepiej zostań raz w domu: niech  
przed zatłoczoną trybuną  
przeciagną tylko tłumy powietrza.*

*Ty, który tak łatwo oddajesz swój głos,  
pamiętaj, że możesz go już nie odzyskać.  
Zostań więc lepiej w domu, niechaj ci,  
którzy sami się wybierali,  
teraz sami na siebie głosują.*

(„Lepiej zostań w domu”)

Powiedziałbym co najwyżej, że w ramach cyklu przedgrudniowego wypadki odwołania się do formuły apelu były statystycznie rzadsze, i nawet takie ulotkowe wiersze nie były całkowicie ogołoczone z poetyckiej wieloznaczności (przykładem choćby meta-

fora „tłumy powietrza” czy końcowy ironiczny paradoks w powyższym cytacie) — podczas gdy w cyklu pogrudniowym apele są nieraz całkowicie „nagie”, przejrzyste, jednoznaczne w swoim elementarnym patosie, tak jakby wszelka obecność poetyckiej gry znaczeń przedstawiała przeszkodę dzielącą wiersz od jego adresata.

Kto jest tym adresatem? Jest to problem podstawowy dla zrozumienia przemian, jakie w poezji Krynickiego zapoczątkowało doświadczenie Grudnia. To szczególne, że wszelkie przeżywane wraz ze społeczeństwem triumfy pobudzają tę poezję, paradoksalnie, do uświadomienia sobie samotności lirycznego „ja”; momenty zbiorowej klęski, cierpienia, upadku ducha otwierają ją na doświadczenie ludzkiej wspólnoty, wspólnoty tak konsekwentnie uniwersalnej, że obejmującej również wroga. Gdyby nie data pod tekstem, nie domyślilibyśmy się, że wiersz „Nowy dzień” powstał we wrześniu 1980 — ten znakomity utwór zamiast o zwycięstwie Solidarności mówi o triumfach śmierci, przemijania, codziennej beznadziei. Odwrotnie w wierszach „wojennych”, w których katastrofa nadziei wytwarza sytuację skrajnego — chciałoby się powiedzieć, ewangelicznego — otwarcia. Spójny system moralny tej poezji bynajmniej nie zaciera się w takich wierszach; liryka pozostaje nadal „silniejszym od lęku przed nędzą i śmiercią głosem sumienia” (z wiersza mającego jako tytuł słynne pytanie Miłosza: „Czym jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi?”). Ten „głos sumienia” jest jednak głosem ludzkim, musi się więc kierować do ludzkiej wspólnoty, włącznie z tymi, którzy sami się z tej wspólnoty wyłączają. Jeszcze w przedgrudniowym wierszu „Choćbyś była tak prosta” Krynicki ze swoistym minimalizmem — choć zarazem w imię moralnej i poznawczej uczciwości — zamykał pojęcie prawdy w granicach jednostkowego „ja”:

*Spróbuję zacząć od siebie:  
nie wiem, czy już znam prawdę,*

*wiem, że nie chcę kłamać.*

W wierszu „Chociaż jesteś”, datowanym na maj 1983, ta sama prawda — prawda o wspólnym ludzkim losie — jest już czymś, co trzeba przekazać innym, również, a nawet przede wszystkim, tym, którzy stoją po drugiej stronie barykady:

*Chociaż jesteś nieludzki,  
tchórzliwie słuchasz każdego rozkazu,  
znęcasz się nad bezbronny i świadczysz fałszywie,  
choć się czujesz bezkarny,  
bo rządzą nami głupcy i siepacze:  
i ty jesteś tylko człowiekiem,  
i tobie tylko ludzki los pisany.*

Nie ukrywam, że skrajna konsekwencja rozwoju poezji Kry-

nickiego budzi we mnie tyleż szacunku, ile niepokoju. Przesłanki wiodące ku formule wiersza-apelu są nieubłagane logiczne; a jednak jest to ostateczność, przedstawiająca wielkie artystyczne ryzyko. Wiersz-apel łatwo może się stać n a z b y t jednoznaczny, retoryczny, „ulotkowy”. Napis na murze łatwo zapada w pamięć i łatwo przekonuje, ale stawia umysłowi zbyt mało oporu. Wolę wiersze-aforyzmy (których na szczęście Krynicki nie przestał uprawiać i po Grudniu: przykładem „Twarzą do ściany”, „Są w tobie”, „Z okna”, „Wyklęty, powstań”, „Mur”, „Godzina próby”, „Marzenia”, „Jak mogłem”, „Ciężar”, „Dobroć jest bezbronna”...), wiersze, w których odzywa się echo samotności człowieka i skomplikowania świata. Jednocześnie wszakże mam przekonanie, że za wszystkimi wierszami Krynickiego stoi ta sama osobowość i ten sam system wiernie przestrzeganych zasad — że ten właśnie poeta wywalczył sobie nawet prawo do błędu przez to, że stawia swojej twórczości najwyższe, nie zawsze możliwe do spełnienia, wymagania. Jeśli w tytule jednego z jego wierszy czytam słowa „Poezjo, prawdo” — wiem, że Krynicki to jeden z bardzo niewielu poetów współczesnych, w których ustach to zuchwałe utożsamienie nie brzmi fałszywie.

Stanisław BARAŃCZAK

## Tragiczny polski western

Powieść Edwarda Kozika pt. *Grań\** zasługuje na uwagę z kilku względów: autora, temat, kompozycję, miejsce we współczesnej literaturze polskiej a w szczególności w tzw. nurcie ludowym.

Autor nie jest debiutantem: *Kultura* opublikowała w nrze 11/121 z 1957 roku dłuższe jego opowiadanie *Ali Djouadar* o losach Algierczyka stawiającego pierwsze kroki w czesarni wełny w Roubaix. Fragmenty *Grania* drukowane były w paryskim tygodniku *Solidarność* i w *Hebdomadaire de Paris*, a następnie prof. Wacław Godlewski i prof. Daniel Beauvois zachęcili Kozika do ogłoszenia całości w wydaniu książkowym. Potwierdza to przypuszczenie, że autor pisał i szlifował *Grania* przez długie lata pozornego milczenia. Urodzony w roku 1922 we wsi Stryszów

\* Edward Kozik, *Grań*. Paryż 1984, POW — Polski Ośrodek Wydawniczy, str. 396. Okładka: Barbara Kowal, rysunki: Barbara Kowal, Janusz Cymera. Biblioteka POW, tom I.

pod Wadowicami, po kampanii wrześniowej i obozach niemieckich wylądował we Francji, zdał egzamin maturalny w Liceum polsko-francuskim w La Courtine, próbował różnych zawodów, osiadł wreszcie w Roubaix i zyskał taką popularność, że w roku 1983 wybrany został do Rady Miasta Roubaix a następnie do Rady Wspólnoty Miejskiej Metropolii Północnej Francji, obejmującej przemysłowe „trójmieście”: Lille, Tourcoing i Roubaix.

Kozik zastrzega się we wstępie, że powieść nie jest autobiografią. Jest to częściowo tylko słuszne, gdyż Wojciech Grań, bohater książki, jest rówieśnikiem i krajanem autora, swobodnie operuje odmianą gwary góralskiej z papieskich okolic, a krajobraz odtwarza z dokładnością sztabowej setki. Z rozdz. V, którego akcja toczy się częściowo w Sonderkonzentrationslager 22 Briix in Maltheuern wynika iż autor, który w tym właśnie straszliwym obozie otrzymał nr 5308 był tak jak bohater powieści przeniesiony tam karnie po nieudanej próbie ucieczki z komendówki Groskopf. Co więcej: powieściowy Wojtek osiadł po wojnie i pracował w Roubaix.

Akcja powieści zamyka się w ramach lat 1937-1968 z wypadami wstecz, gdy zjawia się potrzeba uzupełnienia dziejów góralskiego rodu Graniów z Budzówki, gospodarujących na gruntach nadanych przez Franciszka Józefa dziadowi bohatera, Janosikowi (ta forma zdrobnienia imienia Jan przechodzi z pokolenia na pokolenie na najstarszego syna). Autor pilnie przestrzega chronologii; trzy pierwsze rozdziały dotyczą okresu międzywojennego i udziału Wojtka w kampanii wrześniowej; dwa dalsze obejmują akcję toczącą się równolegle w okupowanej przez Niemców Budzówce i w obozach jenieckich — i już do końca powieści relacje o losach bohatera przeplatają się z kroniką wydarzeń w jego rodzinnej wsi, a ważną cezurę stanowi decyzja pozostania na Zachodzie w celu poszukiwania we Francji narzeczonej wywiezionej na roboty do Niemiec w czasie okupacji. Końcowe, najlepsze rozdziały powieści są tragiczną opowieścią o losach bohatera, zapracowującego się w Roubaix na paczki i przesyłki pieniężne przesyłane do Kraju bratu. W ciągu powojennego dwudziestolecia chciwi krewni eksploatują bez skrupułów rzekomego francuskiego bogacza, okłamując go na różne sposoby i wyzyskując jego poczucie przynależności do sławetnego rodu Graniów — aż po tragiczny finał powieści.

Bohater powieści, Wojtek Grań, był jako dziecko „nieśmiały, naiwny, niemrawy”, „lecz gdy raz już coś pojął, nie było już lepszego i sumienniejszego wykonawcy”. „Takie już było jego przeznaczenie, że zawsze musiał gdzieś zostać albo fujarą albo bohaterem” — i wiecznie zadawać sobie pytanie: „Czy ja to dobrze zrobiłem czy źle?”. Najczęściej dotyczyło ono jego czynów bojowych. Oficjalne świadectwo określało je j.n.:

W pierwszych dniach września, w Beskidach, w bitwie pod Kozlanami „jednej z najbardziej w tej wojnie chaotycznych bitew”,

„pełnej obustronnych zaskoczeń i wzajemnych barbarzyńskich mordów” w ramach akcji 21 Dywizji Piechoty z armii „Kraków” „po całodziennym upartej walce, w której zginęło 70 % obrońców Szczerbatej Góry, strzelec Wojciech Grań dzięki znajomości górskiego terenu, mimo swych ran, zdołał pod osłoną nocy wyprowadzić po sznurach batalion wojska z okrążenia, bez żadnych strat. — Sam jeden z własnej inicjatywy zaatakował na postoju kompanię niemieckiego wojska pilnującego polskich jeńców, uwalniając swym brawurowym czynem 645 żołnierzy i oficerów”.

Gdy wreszcie przyznano mu Krzyż Walecznych „za dzielną postawę wobec wroga w walce o Kozaczy Pagórek” i *Virtuti Militari* za uwolnienie jeńców — dodać wypadło jeszcze zasługę zlikwidowania krwawego kapo w obozie koncentracyjnym i zde-maskowanie szajki bandyckiej w obozie Châlons-sur-Marne. Nie wydaje się, by pochwały i odznaczenia przyniosły Wojtkowi satysfakcję. Byłoby nią tylko odnalezienie Marysi. I ten właśnie wątek — poszukiwanie narzeczonej i wierność jej pamięci jest spoiwem powieści, sprawiającym, że czyta się ją, jak scenariusz filmowy (czy powieść odcinkową).

Czy o to jednak chodziło autorowi? Sądzić można, że ambicją jego było odmalowanie, na przykładzie bohatera książki, losów wyrwanego ze wsi rekruta i przesuwanie go, na taśmie przeznaczenia, poprzez etapy udręczeń, będących udziałem tysięcy, a równocześnie i równolegle — zestawianie ich biografii z losami bliskich im a pozostałych w Kraju ludzi.

Niemal 400-stronicowa powieść, mimo wędrówek bohatera po Europie, nie opuszcza właściwie Beskidów. Krajobraz podwadowski towarzyszy Wojtkowi w obozach i w Roubaix, jego filozofia życiowa wywodzi się w prostej linii z niepisanego kodeksu postępowania rodowego, a jest w nim miejsce i na kompromisy i na zemstę, o czym na różne sposoby świadczy finał powieści, zakwalifikowany przez krewniaka eks-internowanego w Szwajcarii, jako *quel gâchis!*

Porównanie z westernami ciśnie się pod pióro. Jeśli jednak dopatrzyć się można analogii do typowych scen filmowych to „rzeczywistość przewyższa fikcję”, jak słusznie konstatuje Kozik.

Jak uplasować sagę rodu Graniów we współczesnej literaturze polskiej? Autor nie ma ambicji nowatorskich i jak w dobrych tradycyjnych powieściach troszczy się o konsekwentne powiązania faktów i unikanie dygresji, co zresztą nie zawsze mu się udaje. Píše dobrą polszczyzną i używa gwary oszczędnie i umiejętnie, mniej od Łyska dbając o efekty artystyczne. *Twarde żywobyte Jury Odcesty* domaga się tu przypomnienia, jako także góralska, tyle że z Istebnej, opowieść o schyłku tradycyjnych obyczajów i języka. Obaj, Paweł Łysek i Edward Kozik, świadczą o żywotności tematyki wiejskiej na emigracji i bez obawy kompromitacji zestawiać ich można z pisarzami tzw. nurtu wiejskiego.

Powieść ma szanse zdobycia czytelnika masowego.

Podkreślić wreszcie warto, że *Grań* wzbogaca literaturę obozową, dotyczącą Niemiec, zastanawiająco skromnie reprezentowaną na Emigracji w zestawieniu z literaturą zsyłkową. Dotyczy to także obozów „dipisów” i okresu powojennego chaosu. Przypomina potrzebę wznowień, od *Obozu Wszystkich Świętych* zaczynając.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejfo, 2 czerwca 1985

## Poematy Bogumiła przyjaźnie ocenione

Choć swego czasu przebrnąłem przez połowę Ingardena, choć próbowałem doksztalcać się Irzykowskim i innymi, nigdy nie omawiałem, nie recenzowałem poezji. Nie czułem się i nie czuję kompetentny. Ale oto Bednarczykowie przysłali mi książkę mego druha z Tobruka Bogumiła Andrzejewskiego, z którym łączą mnie wspomnienia wielu rozmów w wojskowym obozie szeregowych ozdrowieńców nad Kanałem Sueskim, którego podziwiam jako czarodzieja-słowotwórcę i z którym solidaryzuję się w miłości małych form i w niechęci do nudzenia czytelników nadmiarem pustostłowa. Książka nosi tytuł „Podróż do krajów legendarnych”\* i zawiera tylko 21 stron prozy (co usprawiedliwiałyby moje trzy grosze jako recenzenta) i 123 strony poematów. Książkę przeczytałem chciwie jednym tchem i chciałem, aby każdy ją czytał, bo to kąpiel w roztlenionej, rozszerzonej, chwilami rozpasanej polszczyźnie. Więc potrzebna recenzja, trzeba o Bogumile pisać. Więc piszę uprzedzając że to nie mądrzenie się, nie krytyka, tylko impresja odbiorcy-czytelnika.

Bogumił Witalis Andrzejewski urodził się w 1922 roku w Poznaniu. W latach 1937-1939 był uczniem gimnazjum im. Oswalda Balzera w Zakopanem, a w roku 1940 uciekł spod okupacji niemieckiej. W roku 1941 dotarł do Palestyny i wstąpił do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Służył jako szeregowiec w karabinach maszynowych, był ranny w czasie oblężenia Tobruku. W 1947 ukończył anglistykę w Oksfordzie, w latach 1948-1949 studiował językoznawstwo w School of Oriental and African Studies uniwersytetu londyńskiego i rozpoczął badania nad językiem

\* Bogumił Andrzejewski, „Podróż do krajów legendarnych”, poematy i opowieści; przedmowa Jerzego Pietrkiewicza; Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1985, str. 150, cena £ 4.50.

somalijskim; kontynuował je w latach 1950-1951 na terenie b. Somalii brytyjskiej i włoskiej. W latach 1952-1982 wykładał języki i literatury kuszyckie w SOAS w Londynie przechodząc od stopnia lektora przez docenta do stopnia profesora zwyczajnego. W roku 1982 przeszedł na przedwczesną emeryturę, aby poświęcić się wyłączną pracą naukowej; obecnie współpracuje z Somalijską Akademią Nauk i Sztuk w Mogadiszu i ze Szwedzką Agencją dla Współpracy Naukowej z Krajami Rozwijającymi się. Opublikował liczne prace z dziedziny językoznawstwa kuszyckiego i wiele studiów krytycznych z innych dziedzin, przełożył z języka somalijskiego na angielski sztukę teatralną Hassana Sheikha Mamina i powieść Faaraxa M. J. Cawla. Wspólnie z L. M. Lewisem wydał antologię poezji somalijskiej i arabskiej z przekładami na angielski. Od roku 1942 publikował najpierw w *Wiadomościach*, później w paryskiej *Kulturze*, poematy w języku polskim. Obecny zbiór jest jego polskim debiutem książkowym. Gdy pisałem mój dreszczowiec „Gwiaździsty szalik” to nie kto inny jak Bogumił zaofiarował mi amharyjski tekst poematu „Oblicze Cesarza” i jego przekład.

Jak wynika ze „Spisu treści” książka Andrzejewskiego jest obfita w materii rozmaitości. Układ mamy porządną, chronologiczny, z wymienieniem lat powstania poszczególnych utworów. Jako pierwsze, za uczoną i serdeczną przedmową Jerzego Pietrkiewicza, idą przynajmniej częściowo napisane na afrykańskim froncie wojennym „Dziwy niebieskie w Tobruku” — krótkie prozaiczne, astronomiczne perełki, w których rzetelność pustynna i bojowa miesza się z fantazją, klasyczną erudycją i wspomnieniami Autora. Drugim większym rozdziałem jest utwór „Balada o kurku na wieży” — jedyny w pełni rymowany poemat całego zbioru, bo następne są pisane wierszem białym o wersach przeważnie wielosylabowych, w rytmie niespiesznych, niemal klasycznych opowieści. Są to zakotwiczone we własnych przeżyciach, rozszerzone i przetworzone poetycką fantazją relacje o podróżach, chorobach, przygodach i spostrzeżeniach Autora, dla którego wyobraźnia jest środkiem docierania do głębszej rzeczywistości i nierzadko metodą krytyki, ironii, autoironii, albo intelektualnej lingwistycznej zabawy.

Jak przystało na uczonego władającego półtuzinem czy może tuzinem języków Bogumił nie boi się neologizmów, tryska nimi — głównie w rzeczownikowej formie. Mamy w książce: *nadwzrok*, *cech dobrzuszników*, *myślidło*, *opieszalka*, *bielnicę* (biały papier), *zausze* (za uchem), *marzeniomierz*, *wieloznak*, *bezwątek*, *pochmurnictwo*, *zaszczytnictwo*, *ładomorze* i wiele innych; są przymiotniki: *ślinne*, *nadstówne*, *łektwórce*; jest parę czasowników rodzaju *zakwknąć*. Wszystko to siedzi w tekście i tłumaczy się samo jako coś potrzebnego, bardzo rzadko — raz czy dwa razy — budzi pewne wątpliwości.

Podziwiam w poemacie „Dziwy na pływalni” odkrywczość w rozszerzaniu, odmładzaniu słów nową treścią. Autor udowadnia tam że nasze codzienne słowa mają — to jest mogą mieć —

więcej niż jedno utarte zardzewiałe znaczenie: że *zaciąg* mówi o wciągnięciu na maszt promienistego sztandaru; że *rozbiór* to nie tylko skrzywdzenie Polski, ale także zrzucenie szat, aby się wykąpać po miejskim skrępowanym „przebycie”; że *nakład* to też wciągnięcie kąpielowych majtek, a *opał* to na pływalni nie węgiel ani drzewo, lecz „podpiekanie”, brązowanie na słońcu ciała; że *przekąs* to wcale nie ironia, lecz piknikowa zagryzka, a *rozpuk* to wybuch śmiechu, „wytrysk” radości młodej kąpiącej się gromady; że *wpływ* nie musi być pedagogiczny ani polityczny, bo może znaczyć niespodziewaną wizytę wpływającej na kąpielowy odcinek łodzi; że *zryw* to wcale nie początek realizacji wielkich zamiarów, tylko gwałtowny podmuch wiatru.

W długim, składającym się z 11 części rozdziale „Rozstrój i nastrój” Andrzejewski opisał w roku 1957 wierszem pierwszą swoją chorobę. Nawet w czasie swych gorączkowych, zanotowanych na „marzeniomierzu” majaczeniach ani na chwilę nie przestaje być językoznawcą i słowotwórcą. Niby czarnoksiężnik obraca w palcach słowa, bawi się nimi jak kamykami, perłami, szafirami i brylantami: Czytamy: *pod wieczór / gdy przemęczona przesiliła się głowa / i przetężyły się zwoje myślowe / podniosła się semantyczna bariera graniczna / pomiędzy królestwem rozsądku / i wielkim księstwem bezwątku / jak na maskowym balu / słowa zaczęły szaleć / poubierały się w cudze przyrostki / tematy i końcówki / i żeby zmącić znaczenie / przyczłapały skądś cudaczne rdzenie / „tańcuj prancuj piałkośniku / skokuj w śniatr z wielońcią / bo tu grają kameralnie / orkietranci, fintylani / i bałabaśnicy / żannie i chciwie / cygannie i skrzypczywie / taki bal / mgał / dużo par / mustnogowanych / w drakach kruszko zadekolowanych / w klasy dąsy pąsy / wstrząsy tej całej chąsy — itd., itd.*

Moja zachwytna impresja nie byłaby kompletna, gdybym nie przytoczył choćby paru przykładów celnego obrazowania poety Bogumiła. Oto nastrój w Krajach Legendarnych: *upadła pogoda dopisywała stopnie celsjusa do hotelowych rachunków* (str. 24); *w kolejce podziemnej / ludzie zwisają z sufitu / jak nietoperze / mrużąc oczy / przestraszone sztucznym światłem* (str. 35); Rewolucja gdzieś w Afryce: *„Czy to naprawdę Szakalonidzi?” „Tak. Podejdz do okna, / Popatrz w dół pięter na kosmate tłumy, postuchaj / Jak tupią w bęben bruku, jak od ich stóp szalonych / Sztynnieje kark ulicy.* (str. 49). A oto uroczyść doktoryzowania Autora książki na str. 68: *Dwóch profesorów w zwyczajnych ciemnych ubraniach bez tóg / ... / Ci dwaj zwracają się do mnie i podają mi ręce. / Wyświęcają mnie, długoletniego postulanta nauk ezoterycznych / Na doktora Świętej Filologii sub specie africanitatis. W rozdziale „Powrót z Lemurii” (str. 72, rok 1970): *To wiadomo że zegary z kalendarzem są w znowie, / Ich ręce przesuwają nas po liniach czasu / Wcale nie pytając o zgodę, niekiedy za wolno, / Przeważnie jednak za szybko. Pchają nas / ... / Bez względu, brutalnie przepychają czas / Na drugą niewidzialną stronę swoich tarcz / ... / Lecz człowiek boi się prawdy, szczegól-**

*nie gdy wraca z podróży: / Więc się bawi w ciuciubabki, cacanki, powstrzymanki czasu. I jeszcze o telewizji: Mówię do telewizora. „Gadaj stary, coś pokazuj / Bo za co ci płacą?” A więc na-przód pogadanka: / Czworobok tematów-dylematów. Czy liberalizm czy fatalizm? / Czy pucułowatość ekonomiczna czy deterministyczny mazgalizm? / Jeden z fajką cedzi przez zęby, drugi filtruje przez nos. / Kalorii myślowych niewiele, lecz za to duży przekąs.*

W przedostatnim, napisanym w roku 1974 rozdziale „Zaproszenie na wystawę obrazów” wypowiada się Bogumił na temat malarstwa i krytyki artystycznej, której przedstawicielem uczynił fikcyjnego Sira Titusa Pizzleby. Oto opinia tego leczącego się na rozstrój psychiczny mędrka o malarzu Mar La Araga rozpoczynającym swą karierę — także w czasie choroby psychiczno-umysłowej: *„Błogosławieństwo / Zawarte w chrzestnym imieniu tego nieznanego malarza / Urzeczywistniło się w leczniczej pieśni barw, / W monumentalnych układach linii i kształtu. / Te obrazy, malowane na szerokich arkuszach papieru, / Widniały nam chorym jako wrota powrotu / Do krainy ludzi w pełni żywych. Jażń artyści / Otwarta na przestrzał napowietrznym zmaganiom / Działała przez jego sztukę jako katalizator / Dla tego co pozostawało w nas z pozytywnych elementów / Dążącym ku upamiętnieniu i mówiącym TAK rzeczywistości”.*

Głównym bohaterem poematów i opowieści w tej książce jest Bogumił Andrzejewski wspomagany przez fantastyczne figury w rodzaju doktorów Dziecioła i Kwiczola, przez zwierzęta i mityczne stwory — jak Feniks, Gryf i Bazyliszek. Autor nie politykuje, nikogo nie poucza, do niczego nie wzywa. Pisze i fantazjuje o sobie, ale nawet w opisach swego polowania na Bazyliszka gdzieś w Lemurii czy Kamelopardii właściwie nie odrywa się od rzeczywistości, bo przecież zwyczajem dobrego naukowca na stronie 87 podaje źródło: pochodzący z roku 1587 opis nadwornego królewskiego lekarza D. Mosanusa, który zdemaskowanego w Warszawie Bazyliszka udokumentował. Jednym słowem choć książka jest pełna fantazji trzeba pamiętać że to poetycki życiorys Bogumiła, którego *pradziad był młynarzem i miał przydomek Pilarz. Dlatego pragnę zakończyć tę impresję paru słowami z ostatniego jego poematu „Rzecz o kosmetyce życiorysów” (str. 142). Pisze: Gdy ktoś nas prosi / O sporządzenie zwięzłego życiorysu, / ... / Tutaj i tam w maszynopisie coś ścienujemy / Wyretuszujemy milczeniem / Jakieś drobne plamki. / Usuwamy białym atramentem / Zbyt rzucające się w oczy życiowe kleksy, / Tak żeby nasze curriculum vitae / Nie wyglądało kruczo, kaczorowato / Lub nawet wprost gesio. W dalszym ciągu Autor dowcipnie opisuje różne sposoby fałszowania i koloryzowania życiorysów i wspomnień. Znając go od lat 44 mogę zapewnić, że żadna z tych metod nie stosuje się do Bogumiła i kończę te rozważania zdejmując kape-lusz i kłaniając się nisko wielkiemu talentowi uczzonego Poety: niech żyje sto lat, i dłużej, i niech fantazjuje o sobie, o ludziach, o słowach, o polszczyźnie.*

Janusz PORAY-BIERNACKI



## Polska XX wieku

Dobre opracowania najnowszych dziejów Polski jakie ukazały się na Zachodzie policzyć można na palcach jednej ręki. W języku angielskim dysponujemy książką M. K. Dziewanowskiego, *Poland in the 20th Century* (New York 1977), zbiorowym dziełem pod redakcją R. F. Leslie'ego, *The History of Poland since 1863* (Cambridge 1980) oraz niemiecką *Geschichte der polnischen Nation* która ukazała się pierwotnie w 1961 roku, a w angielskim tłumaczeniu pięć lat później pt. *A History of Modern Poland*. Autorem jej był niedawno zmarły historyk niemiecki Hans Roos i obejmowała okres od 1914 roku do chwili bieżącej. W tych warunkach ukazanie się we Francji blisko 600-stronicowego tomu (obszerniejszego od trzech wyżej wymienionych prac) pt. *La Pologne au XX<sup>e</sup> siècle* (Paris, ed. Pedone, 1984) pióra Henry Rollet'a, powitać należy z zadowoleniem, tym bardziej, iż jest to książka napisana ze znanstwem przedmiotu i wycuciem tematyki polskiej.

Autor, jak wynika z przedmowy Jean Laloy, pracował przed wojną w ministerstwie finansów i banku francusko-polskim, a po roku 1945 wstąpił do ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie zajmował się m.in. sprawami polskimi. Na pytanie jak długo zajęto mu napisanie *La Pologne au XX<sup>e</sup> siècle* odpowiedział: „dwa i pół roku samo pisanie, pięćdziesiąt lat zrozumienie [przedmiotu]”. Rollet zna język polski i pracę swą dedykuje tym, którzy pomogli mu zapoznać się z Polską, jej językiem i historią, a mianowicie J. A. Teslarowi, profesorowi Zygmuntowi L. Zaleskiemu i Konstantemu Pomian-Sokołowskiemu z rodziną. Jak widać z lektury, Rollet odnosi się do Polski nie tylko z wyraźną sympatią, ale też ze zrozumieniem jej problematyki. Nie jest bezkrytyczny i praca jego nie jest panegirykiem; jest raczej próbą zrozumienia zawitych losów Polski w XX wieku i przedstawienia ich czytelnikowi *sine ira et studio*. Jak słusznie podkreśla Laloy, w książce zauważa się trzy wątki, czy też myśli przewodnie jakie towarzyszą autorowi w jego prezentacji. *Primo*, stara się podważyć stereotyp Polaka-szlachcica, gnębiącego chłopów, posługującego się *liberum veto*, romantyka i powstańca *par excellence* nie troszczącego się o następstwa swych emocjonalnych działań. Nie zaprzeczając istnieniu tych cech, autor widzi też drugą stronę medalu: umiłowanie wolności i tolerancję. *Secundo*, Rollet, omawiając sprawy Drugiej Rzeczypospolitej, rozkłada równomiernie blaski i cienie, a gdy chodzi o stosunki polsko-francuskie, nie szczędzi również słów krytyki własnemu krajowi. Wreszcie w prezentacji tematyki polskiej podczas Dru-

giej Wojny i w ostatnich czterdziestu latach, autor dostrzega wśród wszystkich klęsk i niepowodzeń zapowiedź nadziei lepszego jutra. Do punktu tego jeszcze powrócimy.

Praca Rolleta składa się z czterech części: Odzyskanie niepodległości (ok. 150 stron), Druga Rzeczpospolita (ok. 180 stron), Polska podczas Drugiej Wojny (ok. 100 stron) i „Demokracja Ludowa” (ok. 140 stron). Jakkolwiek końcowe ustępy odnoszą się do roku 1983, ostatnim akordem książki jest śmierć ks. Popiełuszki, a więc wydarzenie sprzed kilku miesięcy. Autor opanował obszerną literaturę przedmiotu w językach francuskim, polskim, angielskim i niemieckim. Uwzględnił główne zbiory publikowanych dokumentów a nawet pewne zespoły archiwalne z Quai d'Orsay. Oczywiście rzadko jakaś bibliografia jest pełna a więc i tu można zauważyć pewne luki. Rollet czerpał obficie z *Zeszytów Historycznych* (pokazując jak bardzo są one istotne dla najnowszej historii) pominął natomiast *Niepodległość* — ceną zwłaszcza gdy chodzi o dokumenty i relacje — a z krajowych periodyków *Dzieje Najnowsze*. Książka Terry o Sikorskim i Drugiej Wojnie Światowej, druga praca Łukasza o stosunkach polsko-amerykańskich po wojnie, liczne artykuły Henryka Bułhaka o stosunkach wojskowych polsko-francuskich, artykuł Komarnickiego lub moja praca o próbach federacji polsko-czechosłowackiej zasługiwały chyba na zacytowanie. Książka Lipskiego o KOR-ze, Micewskiego o Kardynale Wyszyńskim czy Holzera o „Solidarności” nie figurują też w bibliografii, choć może ukazały się one zbyt późno, aby autor mógł je uwzględnić. Szkoda natomiast, że autor nie zetknął się z książkami ks. Józefa Tischnera, zwłaszcza z *Polskim kształtem dialogu*, który stanowi jak gdyby *pendant* do cytowanej pracy Adama Michnika o Kościele i lewicy. Nie są to jednak przeoczenia, które wpływałyby ujemnie w jakiś istotny sposób na poziom książki.

Gorsza jest sprawa z korektą nazw i nazwisk i należy wyrazić żal, że Henry Rollet nie mógł zwrócić się do kogoś z Polaków w Paryżu z prośbą o pomoc w korekcie. Książki francuskie nie odznaczają się poprawnym cytowaniem obcojęzycznych słów, a w tym wypadku kontrast pomiędzy sumiennie przygotowanym tekstem a rażącymi błędami w niektórych przypisach i bibliografii stanowi przykry zgrzyt. Tak więc Gieysztor występuje jako Gieystor, Leśnodorski jako Lesnodouski, Tazbir jako Tabir. Rhode ma przekreślone imię na Gottfried (poprawnie Gotthold). Książka Normana Daviesa nosi tytuł *God's Playground* a nie *God's own country*. Przemek figuruje jako Grzemek w tekście i indeksie. Gontraz to Gontarz; gen. Kuropieska występuje jako Kuropiejka; Drzymała jako Drzemała. Czasem znajdujemy błędy drukarskie w tekście: Banasch zamiast Banach, Jaruszelski, Mazaryk, itp.

Do innej kategorii należą drobne pomyłki i nieścisłości, od których zresztą trudno się ustrzec zwłaszcza w tak obszernym opracowaniu. Wymieńmy kilka z nich przykładowo: Skirmunt, o którym mowa w książce, to Konstanty a nie Roman; żaden

z nich nie był chyba hrabią. Bartel miał na imię Kazimierz a nie Józef; ojciec Józefa Becka był wprawdzie podsekretarzem stanu, ale nie w MSZ. Antony Polonsky z London School of Economics jest raz omyłkowo nazwany „*historien polonais*”. Autor miesza Gen. Dąb-Biernackiego z „Kostkiem” Biernackim — nie jest to oczywiście jedna i ta sama osoba. Kajetan Morawski nie był ministrem Spraw Zagranicznych podczas Drugiej Wojny; Światło nie miał rangi wiceministra; Klubów Inteligencji Katolickiej w 1957 roku było kilka a nie 26; Bronisław Geremek jest niesłusznie zaliczony, wraz z Mazowieckim i Wielowieyskim, do działaczy katolickich. Wreszcie często powtarzana opinia, iż Jaruzelski zwrócił polskiej armii rogatywkę, podczas gdy w rzeczywistości rogatywki otrzymała jedynie kompania honorowa LWP. Sygnalizuję wszystkie te drobne usterki, w nadziei, iż będą one usunięte w następnym wydaniu lub w wypadku przetłumaczenia tej książki na inny języki, na przykład angielski. A wydaje mi się, że jest stanowczo tego warta.

Henry Rollet, jak to już podkreśliłem, podchodzi do najnowszej historii polskiej ze zrozumieniem, znajomością tematu i wyuczuciem czy intuicją. Każda z czterech części jego książki — poprzedzona krótkim wprowadzeniem — zawiera wiele cennego materiału faktograficznego i przekonywujących naświetleń i interpretacji. W pierwszej części może należało uwypuklić znaczenie Szkoły Krakowskiej i Młodej Polski dla współczesnych, a nawet potomnych. Wydaje mi się, że wpływ wizyty w Japonii na mentalność Dmowskiego nie był bez znaczenia. Osobiście traktowałbym nieco bardziej krytycznie wspomnienia Bogusława Miedzińskiego jako źródło historyczne, a uwzględniłbym szerzej Michała Sokolnickiego *Rok 1914*, ale to rzecz indywidualna. Warto natomiast podkreślić uwagi Rolleta na temat analogii między Piłsudskim a de Gaulle'm w 1914 i 1944 (str. 72), zwłaszcza ich obopólne zamiłowanie do szerokich perspektyw (*le goût des vastes perspectives*) sięgających tak daleko poza horyzont polityczny, iż obserwatorzy nie byli nigdy pewni, do jakiego stopnia obaj mężowie stanu brali je na serio (str. 105). Autor przedstawia bardzo dobrze zarówno wewnętrzną jak i międzynarodową tematykę odradzającego się państwa polskiego. Jeśli tu i ówdzie miałbym nieco inny punkt widzenia, ogólny obraz nie budzi poważniejszych zastrzeżeń. Podsumowanie tej części zawiera charakterystyczne dla stałej tendencji autora podkreślenie polskich blasków obok cieni. Przypominając na przykład ostrą krytykę nacjonalizmu polskiego, której echa przetrwały po dziś dzień, Rollet podkreśla, iż nacjonalizm polski należy rozpatrywać w kontekście rozpetanych pasji narodowych. Nacjonalizm polski nie był ani gorszy ani bardziej nietolerancyjny niż nacjonalizmy sąsiadów, a nie doprowadził nigdy do krańcowości narodowych socjalistów w Niemczech czy do czegoś w rodzaju szowinizmu wielkorosyjskiego.

Przedstawienie dziejów Drugiej Rzeczypospolitej wskazuje na dobrą znajomość rzeczy. Może można było powiedzieć więcej

o kulturze, nauce i sztuce w Polsce odrodzonej. Tu i ówdzie krytyka polityki zagranicznej Becka wywołać może zastrzeżenia, chociaż oceny Rolleta są najbardziej wyważone i *fair* z wszystkich znanych mi opracowań francuskich. Polityka zagraniczna, a zwłaszcza stosunki polsko-francuskie, zajmują sporo miejsca, a drugiej części i na ogół wykład autora przemawiająco, niekiedy niania. Uwagi na temat Piłsudskiego są interesujące, niekiedy wnikliwie. Wyraźnie celem autora jest zrozumieć i jak najuczciwiej zreferować skomplikowaną tematykę polską lat między wojnami. Sympatia Rolleta do Polski jest ewidentna, nawet gdy pisze o takich sprawach jak Zaolzie w 1938 roku lub problematyka mniejszościowa. Nie starając się bronić tego czego obronić się nie da, autor wyjaśnia i tłumaczy.

Część poświęcona Drugiej Wojnie jest wyważona w osądach i pisana, jak i pozostałe rozdziały, ze zrozumieniem i sympatią. Sucho, ale jakże wymownie autor przypomina, iż „Oddziały polskie nie brały udziału w defiladach zwycięstwa. Żaden polski dyplomata nie uczestniczył w konferencji w San Francisco, mającej stworzyć organizację Narodów Zjednoczonych w wyniku wojny, która rozpoczęła się aby zachować niepodległość Polski” (str. 331). Analiza Rolleta przyczyn i skutków Powstania Warszawskiego odznacza się dobrymi sformułowaniami; jego uwagi na temat polityki zagranicznej rządu w Londynie brzmią przekonująco; ustępy dotyczące stosunków francusko-polskich w latach 1940-1945 są zdecydowanie interesujące. Miałbym pewne zastrzeżenia co do opinii, iż Sumner Welles był życzliwie nastawiony wobec Polski. Wydaje mi się też, że autor za słabo zaznaczył fakt, iż Mikołajczyk w Moskwie występował w roli petenta a nie partnera do rozmów.

Ostatnia część, obejmująca blisko czterdzieści lat (1945-1984), odznacza się wielostronnością prezentacji. Rollet widzi dobre związki między polityką, ideologią, kulturą, ekonomią i ma wiele do powiedzenia na temat każdej z tych dziedzin. Do wczesnego okresu wykorzystał on dobrze zazwyczaj mało cytowane dokumenty, opracowane przez Polonsky'ego i Drukiera. Poświęcił też sporo miejsca naświetleniom francuskim, zwłaszcza Christiana Foucheta, delegata Francji w Warszawie od grudnia 1944 do kwietnia 1945 i autora *Au service du général de Gaulle*. Ten aspekt stosunków francusko-polskich był długi czas zupełnie pomijany przez historyków i dopiero w niedawnych numerach *Zeszytów Historycznych* zajął się nim Tadeusz Wyrwa. Szczególnie interesujące są ustępy o planach sowieckich ustanowienia sojuszu z Francją i awansach Warszawy i Pragi wobec Paryża, awansach, które zanikły w 1946 roku by odżyć na nowo w latach 1947 i 1948. W swej analizie sytuacji wewnętrznej Rollet jest na ogół wnikliwy i obiektywny. Szkoda, iż nie zna chyba książek Zanusskiego (w każdym razie ich nie cytuje), a jeśli chodzi o ostatnie lata to nie jest chyba w pełni *au courant* tematyki życia kulturalnego. Pominięcie Zanussiego, gdy mowa o filmie, jest nieuzasadnione a krótka wzmianka o Pendereckim nie oddaje

jego pozycji i znaczenia w Polsce. Nie jest całkiem ściśle, iż pokazy *Człowieka z marmuru* były ograniczone do wybranej publiczności. Znana wypowiedź Kuronia, „nie palcie komitetów tylko zakładajcie własne” doskonale obrazuje przełom w działalności opozycji w 1976-1977 roku i szkoda, iż autor jej nie zacytował. Pierwszą wizytę Papieża Rollet charakteryzuje trafnie, ale może niedostatecznie podkreśla jej kapitalne znaczenie. Złożona tematyka „Solidarności” i kontrowersje odnośnie jej polityki: zbyt radykalna czy zbyt umiarkowana?, dyskusje na temat stosunku wojsko-partia, interwencja rosyjska czy *bluff?*, a wreszcie ocena Jaruzelskiego figurują na końcowych kartach dzieła, ale oczywiście nie mogą być ostatnim słowem na ten temat. Rollet orientuje się dobrze w tych wszystkich sprawach i niektóre jego sformułowania są uderzająco trafne. Podkreśla na przykład, iż stale wyrażane obawy w zachodnich środkach przekazu na temat grożącej inwazji sowieckiej zawierały opinie i zwroty, które propaganda moskiewska mogła doskonale wykorzystać dla usprawiedliwiania swych działań. Słusznie zauważa, iż sankcje podjęte przez USA skierowane były przeciw Warszawie a nie przeciw Moskwie, co stanowiło pewną nielogiczność wobec podkreślenia głównej odpowiedzialności Rosji za stan wojenny — *invasion by proxy*. Zapewne analiza autora wzbogaciłaby się gdyby uwzględnił wspomnienia Brzezińskiego i Vance’a, ale nie zapominajmy, iż rok 1981 to tylko wycinek w dziele Rolleta o historii Polski w XX wieku. Autor zdaje sobie zresztą sprawę w pełni z wagi wydarzeń ostatnich lat tak dla dziejów naszego narodu jak i dla jego przyszłości.

Przyznając, iż prognozy polityczne i gospodarcze obecnej Polski są czarne, Rollet przypomina zdolność oporu jaką Polacy wykazali przez ostatnich 40 lat i widzi w niej rękojmię tego, iż naród jest silny, zdrowy i nie dający się powodować mrzonkom i ideologiom. Potrafił on zapobiec zniszczeniu społeczeństwa (*société civile*) przez partię i zachować pewną dozę pluralizmu. Naród polski, pisze autor „rozumie może lepiej niż jakikolwiek inny znaczenie takich słów jak ‘wolność’, ‘prawa człowieka’ i ‘sprawiedliwość’ i potrafi je włączać do swej duchowej spuścizny”. Podkreślając przeciwieństwo między upojonym postępem technicznym i uwiedzionym przez komfort materialny Zachodem a narodem polskim, Rollet kończy swój tom słowami: „Dlatego też przyszłość należy do niego...”, „*C'est pourquoi l'avenir lui appartient...*”. Choć zwrot ten zatrąca o „pokrzepienie serc” to jednak brzmi on w ustach Rolleta autentycznie — i w tym sensie będzie on miły sercu każdego Polaka.

Piotr WANDYCZ

## Zerwanie z Moskwą

Książka Arkadija Szewczenki „Zerwanie z Moskwą” znajdowała się przez kilka miesięcy na liście amerykańskich *best-seller'ów* i szybko została przetłumaczona na wiele języków. Zainteresowanie książką jest zrozumiałe: są to wspomnienia sowieckiego dyplomaty w randze ambasadora, byłego doradcy Gromyki i zastępcy generalnego sekretarza ONZ w latach 1973-1978. Swą nieoczekiwaną prośbą o azyl w Stanach Zjednoczonych Szewczenko wzbudził sensację. Przez ostatnich pięćdziesiąt lat nie zdarzyło się, by dyplomata tej rangi zerwał z Moskwą.

Wspomnienia są gatunkiem kapryśnym: autor sam wybiera ze swej przeszłości to, co chce i gotów jest opowiedzieć. Mimo tej „kapryśności” i selekcji tematów, ustepnianych czytelnikom, pamiętniki są zawsze interesującym źródłem historycznym. Pozwalają wczuć się w nastrój epoki, utrwalają szczegóły, bez których historia byłaby suchą wyliczanką danych statystycznych i mało mówiących nazwisk. „Zerwanie z Moskwą” jest ciekawe głównie z uwagi na osobę autora. Nie znaczy to, by ze stron książki wycierała jakaś niezwykła osobowość. Przeciwnie: waga książki polega na tuzinkowości autora, przeciętnego przedstawiciela pokolenia urodzonego w roku 1930, któremu się powiodło. To właśnie pokolenie znajduje się dziś u szczytów władzy: Gorbaczow urodził się w 1931 roku.

Szewczenko spędził szczęśliwe dzieciństwo w rodzinie należącej do prowincjonalnej wprawdzie, ale elity, po czym wstąpił na studia do elitarnego moskiewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Przydatne przyjaźnie i znajomości — np. z kolegą z roku Anatolem Gromyką — w niemałym stopniu ułatwiły mu początki błyskotliwej kariery. Nie ulega wątpliwości, że był zdolny i miał zalety, które otwierały mu wszystkie drzwi. W wieku lat czterdziestu został osobistym doradcą Gromyki, trzy lata później — zastępcą Waldheima w ONZ-ecie. Mając czterdzieści osiem lat rzucił to wszystko i rozpoczął nowe życie.

Co spowodowało ten nagły zwrot losu? W latach 30-tych takie decyzje były zrozumiałe: na Zachodzie zostawali sowieccy dyplomaci i wywiadowcy, którzy robili rewolucję i budowali władzę sowiecką, a potem albo się rozczarowali, albo doszli do wniosku, że Stalin zdradził rewolucję. Autor „Zerwania z Moskwą” przytacza w książce swój list do Breżniewa, w którym tłumaczy, dlaczego odmawia powrotu do ojczyzny. Szewczenko pisze, że „sowieckie kierownictwo zdradziło ideały rewolucji Październikowej”, że „KGB prowadzi niesłychanie samowolną politykę”. Całą książkę Szewczenki cechuje jednak tak absolutny brak zainteresowania ideologią i tak typowo sowiecka obojętność wobec polityki, że wyjaśnienie zawarte w liście do Breżniewa brzmi bardzo mało wiarygodnie. Analizując relację Szewczenki o życiu sowiec-

kiej elity można nawet dojść do wniosku, że w Stanach Zjednoczonych będzie mu materialnie gorzej. Uda mu się zapewne osiągnąć poziom życia, do jakiego przywykł poprzednio i dorzucić do niego jeszcze to, czego nie miał, ale w Stanach Zjednoczonych dobra materialne są dostępne dla wszystkich. W Związku Sowieckim Szewczenko nie tylko cieszył się przywilejami jako przedstawiciel warstwy rządzącej, ale na dodatek miał poczucie, że jest wybrańcem: inni, nie należący do elity, przywilejów takich mieć nie mogli.

Szewczenko, przedstawiciel drugiego pokolenia po rewolucji, tym się różni od pokolenia ojców, że nie wiadomo właściwie, co go skłoniło do zerwania z Moskwą. W książce opisuje m.in. epizod, charakterystyczny dla pokolenia „dzieci”, a nieznany ich poprzednikom. Po ucieczce przez jakiś czas odpowiadał na niezliczone pytania amerykańskich służb wywiadowczych. Odpowiadał tak, odpowiadał — aż zatęsknił: „Poczułem potrzebę emocjonalnego oparcia, którego nie mogłem znaleźć u agentów CIA i FBI”. Amerykanie poradzili mu, aby się zwrócił do specjalnego biura, podali mu numer telefonu. Tam znalazł kobietę, gotową mu dostarczyć „emocjonalnego oparcia”. Wybór okazał się jednak zły — wybranka napisała własne memuary na długo, zanim ukazały się wspomnienia Szewczenki.

Szewczenko, wysoki sowiecki urzędnik, opisuje świat, w którym żył, pracował, stykał się z ludźmi, którzy decydowali o losach ZSSR, czyli o losach świata. Jest świadkiem, jakich mało: obserwował ludzi, którzy niczym bogowie nie zadawali się z plebem, widział, jak żyją, jak podejmują decyzje, słyszał, jak uzasadniają swoje działania. Jego spostrzeżenia można podzielić na prywatne i ogólne. Pierwsze dotyczą jego osobistych stosunków z kolegami z pracy i z kierownictwem. Szewczenko jest dyplomatą, opisuje więc, jak kształci się sowieckich dyplomatów, jak pracują, jakie są stosunki między przełożonymi a podwładnymi. W relacji Szewczenki wszyscy są przyzwoitymi ludźmi: swego dobroczyńcę Gromykę opisuje z zachwytem, wiceministra spraw zagranicznych Kuzniecowa i ambasadora Dobrynina z sympatią, dobre słowo znajduje też dla marszałka Ogarkowa. Wszystko się zmienia, kiedy Szewczenko przechodzi do uwag natury ogólnej: wówczas surowo krytykuje totalitarny charakter władzy partii, a ściślej mówiąc tuzina członków Politbiura. Zwraca uwagę na najbardziej charakterystyczną cechę totalitaryzmu — chęć kontrolowania absolutnie wszystkiego, strach przed utratą choćby cząstki władzy. Opisuje niepokromioną żądzę dóbr materialnych, którą uważa za odwrotną stronę niepokromionej żądzы władzy. Nierozzerwalna więź między władzą a dobrobytem jest jednym ze źródeł stabilności systemu i niebywałej pychy i serwilizmu urzędników wszystkich szczebli: pychy wobec podwładnych, służalczości wobec przełożonych. Doradca amerykańskiego prezydenta po odejściu z Białego Domu łatwo znajdzie pracę, i to znacznie lepiej płatną. Usunięty z wysokiego stanowiska sowiecki urzędnik jest wyrzucony za burtę.

Sprzeczność między uwagami ogólnymi a prywatnymi dopro-

wadza do tego, że autor nierzadko sam sobie przeczy. Twierdzi na przykład, że w kierownictwie sowieckim nie ma oczywiście żadnych „jastrzębi” i „gołębi”, choć kilka stron wcześniej skarżył się, że „jastrzębie” w KC uważali Gromykę „za coś w rodzaju gołębia”.

Zyczliwość wobec dawnych przyjaciół i znajomych, uczucie samo w sobie godne szacunku, nie przeszkadza Szewczenko podkreślać, że sowieccy przywódcy różnią się między sobą tylko stopniem do środków, jakie należy zastosować dla osiągnięcia celu. Poza tym wszyscy, „od Lenina do Czernienki”, jak pisze (było to jeszcze przed wyborem Gorbaczowa) „skrojeni są z tego samego materiału”.

Szewczenko spytał raz Gromykę, na czym polega główna słabość polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Sowiecki minister spraw zagranicznych odparł bez chwili namysłu: „Nie różnicujemy naszych dalekosiężnych celów. Mylą taktykę ze strategią. Na dodatek mają za dużo doktryn i koncepcji... Ich główną wadą jest brak solidnej, skupionej na jednym celu, konsekwentnej polityki”.

Politykę taką prowadzi Związek Sowiecki, bo przyświeca mu jasny cel. Szewczenko pisze: „Przekonanie niektórych ludzi na Zachodzie, że przywódcy sowieccy mają nakreślony tajny plan podboju jednego państwa za drugim — jest czystą fikcją. Ale o ile taki plan nie istnieje na papierze, to idea rozciągnięcia władzy sowieckiej na cały świat jest podstawowym perspektywicznym celem. Moskwa jest przekonana, że przy pomocy ideologii, dyplomacji, siły czy gospodarki odniesie zwycięstwo w starciu z kapitalizmem — jeśli nie w tym stuleciu, to w następnym. Moskwa jest przekonana, że walka będzie się stale nasilać, a zwycięstwo jest historycznie nieuchronne. Innymi słowy nie należy uważać tych celów za zwykłe przedłużenie rosyjskich planów imperialnych lub za tradycyjną polityczną grę sił. Są one znacznie szersze i mają głęboko ideologiczny charakter”.

Tak kończy swe wspomnienia człowiek, który siadywał z przywódcami sowieckimi za jednym stołem i zna ich, jak mało kto.

Michał HELLER

## Bułgarskie reportaże

Jeszcze do niedawna Bułgaria była krajem o którym rzadko wspomniano w prasie, radiu czy telewizji. Jeśli napomykano o niej w rozmowach towarzyskich, to najczęściej w związku z o letnimi wakacjami. Owszem, wiedziano o tym, że jest to najwierniejszy satelita sowiecki, że stalinizm nigdy tam nie był poważnie kwestionowany, że jest to kraj zacofany, ale w świa-

domości przeciętnego turysty ukształtował się obraz kraju cenionych i poszukiwanych rzekomo oliwek, „pachnących róż” (tak np. reklamowano w Polsce), Złotych Piasków i Słonecznego Wybrzeża. A więc niemal idylliczny, pastoralny obraz zachęcający do odpoczynku, morskich i słonecznych kąpielii.

Ten idylliczny obraz został po raz pierwszy zakłócony w sierpniu 1978 roku, kiedy to uchodźca polityczny i współpracownik Wolnej Europy, Władimir Kostow, dźgnięty został ostrym narzędziem w plecy. W wyniku tego napadu dostał wysokiej gorączki, ale uszedł z życiem. W dziesięć dni później obiektem podobnego ataku stał się Georgi Markow, również emigrant polityczny i znany pisarz. W jego wypadku atak zakończył się śmiercią. Oba wspomniane akty terrorystyczne, zaplanowane i wykonane z całą pewnością przez wywiad bułgarski przyciągnęły uwagę opinii publicznej, bo miały miejsce w Paryżu i Londynie, ale jakoś nie bardzo zwrócono uwagę na to, że już w 1974 roku zniknął ze swego mieszkania w małej Danii Borys Arsow, krytyk reżymu komunistycznego. Wkrótce potem w jednym z dzienników sofijskich podano wiadomość o „skutecznym” przeciwdziałaniu władz bezpieczeństwa. „Arsow igrał z ogniem” i dlatego spotkała go „karząca ręka sprawiedliwości”. Po dwóch miesiącach uprowadzony Arsow stanął przed sądem w Sofii i został skazany na piętnaście lat więzienia; po roku znaleziono go martwego w celi więziennej. Jako przyczynę śmierci podano samobójstwo.

Powoli spoza oficjalnej fasady słonecznego i przyjaznego dla turystów kraju wyłania się obraz dosyć ponury, obraz państwa zbudowanego na wręcz niewiarygodnym systemie terroru, brutalnej przemocy, donosicielstwa i skierowanej przeciwko Zachodowi dywersji. Potwierdzenie tej oceny znalazło swój ostateczny wyraz w zamachu na papieża, 13 marca 1981 roku, w który zamieszani są trzej agenci wywiadu bułgarskiego. To właśnie obraz tej drugiej Bułgarii opisuje wspomniany już Georgi Markow w pośmiertnie wydanych wspomnieniach pt. *Zaoczne reportaże o Bułgarii\**. Podobnie jak wiele fragmentów tej książki, tak i tytuł wyraża gorzką ironię.

Opuszczając swój kraj w 1969 roku, Markow miał już za sobą poważny dorobek literacki. Był autorem kilku powieści: *Mężczyźni*, *Sanatorium*, *Kobiety Warszawy*, opowiadanie *Portret mego sobowtóra*. Jego sztuka *Komuniści* została skonfiskowana przez cenzurę. Po wyjeździe na Zachód i czasowym pobycie we Włoszech i Austrii, Markow osiadł na stałe w Anglii, gdzie otrzymał pracę w bułgarskiej sekcji BBC. Współpracował jednocześnie z radiem *Deutsche Welle* oraz rozgłośnią radia Wolna Europa. To właśnie za jej pośrednictwem słuchacze bułgarscy mieli po raz pierwszy okazję zapoznać się z treścią „reportaży”. Były one nadawane w regularnych odcinkach tygodniowych w ciągu dwu lat.

\* Georgi Markow, *Zaoczni reportaże za Bułgaria*. Zürich. Tom I — 1980, 558 str. Tom II — 592 str.

Gdy chodzi o literaturę, która opisuje w sposób niezakłamywany współczesne życie krajów Europy środkowej i wschodniej, to trzeba powiedzieć, że czytelnik dzisiejszy ma bardzo szeroki wachlarz wyboru. Poczynając od A. Sołżenicyna, poprzez Wł. Maksimowa, M. Kunderę, J. Skvoreckiego T. Stalińskiego, J. Andrzejewskiego, K. Brandysa i wielu innych, każdy z tych pisarzy pokazuje różne aspekty życia na różnych etapach powojennej historii swojego kraju, wnosi jakiś swój punkt widzenia, opisuje pewien wycinek rzeczywistości. Wydaje się, że Markow ma jedną nad nimi przewagę: wszechstronność. Jego obraz rzeczywistości bułgarskiej jest wielowarstwowy, zbudowany jak gdyby z kilku piętér, a jednocześnie bardzo konkretny: opowiada nam o robotnikach, chłopach, inteligencji, twórcach, aparacie partyjnym — tym niższym i wyższym — o bezpiecze itp. Markow opowiada zdarzenia i fakty tak jak gdyby chciał nadrobić opóźnienie innych kolegów po piórze i ogarnąć spojrzeniem całą panoramę, to czego nie opisali inni. Ktoś nazwał Markowa „bułgarskim Sołżenicynem”. Porównanie zarazem trafne, ale i w pewnym sensie mylące. Sołżenicyn w swej prozie koncentrował się na łagrach, ludziach, którzy przeszli przez ich piekło. Markow niewiele o nich mówi, choć łagry istnieją w Bułgarii, łagrem jest dla niego cała współczesna Bułgaria. Okiem reportera stara się ogarnąć całość tej budowy. Doświadczenia i znajomości materiału z pewnością nie można Markowowi odmówić. Po ukończeniu studiów technicznych pracował jako inżynier w fabrykach, przebywał w sanatorium dla gruźlików; pisarstwo wprowadziło go do tzw. środowiska twórczego i umożliwiło nawiązanie znajomości z elitą partyjną.

Głównym problemem jaki zaprzęta myśl pisarza jest odpowiedź na pytanie, co stanowi specyfikę komunizmu. Zdaniem Markowa jest nią nienawiść i jakieś sadystyczne upodobanie w poniżaniu człowieka. Od momentu kiedy Georgi Dimitrow przywiózł w teczce, jak powiada Markow, sowiecki model komunizmu rozpoczęło się w Bułgarii podjudzanie ludzi przeciwko sobie, sztuczne dzielenie na „naszych” i „wrogów”, na „towarzyszy” i „przeciwników”. Cel tej procedury był jasny: zastraszyć człowieka i zmusić go do uległości. W Bułgarii proces ten realizowano ze szczególnym okrucieństwem. Markow przypomina budzące zgrozę wiece potępiające Trajczko Kostowa i zwykle kończące się zbiorowym skandowaniem słowa „śmierć”. Markow nazywa ten rytuał „orgią ludzkiej nienawiści i upodlenia”. „Nie znam innej politycznej religii, pisze autor, która oddziaływałaby tak mocno na najniższe instynkty i namiętności człowieka jak czyni to ideologia komunistyczna”. Cechą charakterystyczną tej książki jest znakomite dobieranie szczegółów. Każda teza ogólna znajduje konkretne potwierdzenie w faktach.

Innym składnikiem struktury społecznej komunizmu jest nierówność, podział na uprzywilejowaną elitę i biedaków, na turystów i „tubylców”, urzędników aparatu państwowego i zwykłych robotników.

Szczególnie interesujące są spostrzeżenia Markowa na temat

życia artystycznego Bułgarii. Wie się o nim niewiele, ale jeśli już można mówić o jakiejś odwilży w krajach satelickich, to była ona właśnie najmniej dostrzegalna w Bułgarii. Wszelkie przejawy samodzielniejszej myśli tępono z całą bezwzględnością i konsekwencją niespotykaną w innych krajach. Ponadto partia stworzyła tam sztuczny status twórcy, który kojarzy się z zamożnością a nawet bogactwem. Trudno się w tym miejscu powstrzymać od osobistego wspomnienia: przebywając na początku lat sześćdziesiątych w Sofii na stypendium miałem możliwość zapoznania się z wieloma pisarzami. Szczególnym przypadkiem był pewien reprezentant realizmu socjalistycznego w jego najgorszym wydaniu. Zaprosił mnie kiedyś do pięciopokojowego mieszkania w centrum miasta. Kiedy nie mogłem ukryć zdziwienia z powodu tak rzadko w tym kraju spotykanego luksusu, odpowiedział, że jest pisarzem, a pisarze muszą przecież dobrze żyć, aby móc spokojnie „tworzyć”. „A ponadto, zauważył zwięźle, przed wojną żyłem w nędzy i aby się jakoś utrzymać musiałem nawet sprzedawać przerwy. Więc coś mi się teraz z życia należy”.

Epizody opisujące zakłamanie, obłudę, fałsz znajdujemy u Markowa na każdej niemal stronie. Świadczą one o niespotykanej na taką skalę korupcji, deprawacji społecznej i cynizmie.

Zasadą literacką operującą w tych reportażach-wspomnieniach jest oko bystrego, wrażliwego obserwatora, kamera filmowa, przenosząca nas w czasie i przestrzeni. Opowiadacz wybiega naprzód, cofa się, aby dać ostrzejsze naświetlenie jakiegoś zjawiska lub faktu. Jest to książka napisana z pasją. Przeplata się w niej ironia z sarkazmem, śmiech z autentycznym ludzkim bólem, ale przede wszystkim dominuje w niej ton autorskiej rozpacz: jak długo to może trwać?!

Zaoczne reportaże o Bułgarii przetłumaczono na język angielski. W Polsce i na emigracji niewiele się wie o tej „drugiej stronie medalu”. Więc może warto pewne wyjątki z tej książki przetłumaczyć? Ostre, świeże i bezkompromisowe spojrzenie Markowa rzuca niewątpliwie nowe światło na wiele aspektów stworzonego w demoludach społecznego porządku i odkrywa jeszcze jeden wariant stalinowskiego modelu szczęścia: Bułgarię.

Edward MOŻEJKO

## Nadesłane nowości wydawnicze

WALICKI (Andrzej). *Spotkania z Miłozsem*. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £4, \$ US 10).

BOGUSZEWSKA (Teresa). *I przeszedł Bóg doliną krzywdy*. Str. 90 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1985).

TARNAWSKA-BUSZA (Celina). *Kossowska kuchania jarska*. Str. 216 i 6 nlb. (Wyd. Orbis Books, Londyn 1985).

TERLECKI (Tymon). *Szukanie równowagi. Szkice literackie i publicystyczne*. Str. 417 i 3 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1985).

ANDRZEJEWSKI (Bogumił). *Podróż do krajów legendarnych. Poematy i opowieści*. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1985).

Krytyka nr 16. Str. 331 i 5 nlb. (Przedruk krajowego pisma podziemnego, wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £4, \$ US 10).

SKRZYPOSZEK (Christian). *Wolna trybuna*. Str. 378 i 2 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni 1985).

*Wspomnienia byłych żołnierzy Armii Krajowej zamieszkałych w Australii* (praca zbiorowa). Str. 228 i 2 nlb. (Wyd. Migrant Resource Centre, Adelaide-Brisbane-Hobart-Melbourne-Sydney 1984).

KOWALICZKO (Roman B.). *Lecą liście z drzewa*. Str. 328 i 6 nlb. (Wyd. POW, Paryż 1985).

JESIONKOWSKI (Marek). *Historia Kościoła w Polsce 966-1978. Część I: do 1517 r.* Str. 99 i 7 nlb. (Wyd. POW, Paryż 1985).

POPIELUSZKO (Jerzy, ks.). *Słowa do narodu. Kazania i rozważania 1982-1984*. Opr. ks. F. Blachnicki. Str. 155 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Międzynarodowego Centrum Ewangelizacji Światłości, Carlsberg 1984).

JAKUNIN (Gleb). *Kościół rosyjski prawosławny. Perspektywy religijnego odrodzenia Rosji*. Str. 34 i 6 nlb. (Wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1981).

BEDNARCZYK (Czesław). *Kubuś. Z rysunkami F. Topolskiego*. Str. 163 i 11 nlb. (Wyd. Index on Censorship, Londyn 1984).

*Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich (wrzesień 1939)*. Praca zbiorowa pod auspicjami PUNO. Red. J. Jasnowski i E. Szczepanik. Str. 112. (Wyd. PFK, Londyn 1985).

ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*. Tom 31. *Sakrament chorych* (supl. 29-33); *Kapłaństwo* (supl. 34-40). Przeł. i w objaśnienia opatrzył o. R. Kosteci, OP. Str. 176. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).

MODRZEJEWSKI (Józef). *Od Armii Krajowej do wojny domowej*. Str. 200. (Wyd. nie podane, Nowy Jork 1985).

KRUSZEWSKI (Eugeniusz S.). *Duriska kandydatura do polskiego tronu (1673-1674). Geneza i problem wyznaniowy*. Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. PUNO, Londyn 1985).

PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Ziemia obiecana innym*. Str. 200. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).

MINKIEWICZ (Jan). *Utańskie dzieje*. Str. 110 i 8 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).

Janusz Korczak. *Bibliografia 1896-1942*. Opr. zespołowe. Str. 284. (Wyd. Deutsche Korczak-Gesellschaft, RFN).

MIŁOSZ (Czesław). *Wiersze*. Tom I — str. 296, tom II — str. 384. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, cena zł 450).

CZAPLIŃSKI (Władysław). *Zarys dziejów Polski do roku 1864*. Str. 550 i 4 nlb. oraz mapy. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 700).

NIEBUHR (Reinhold). *Poza tragizmem. Eseje o chrześcijańskiej interpretacji historii*. Str. 193 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 250).

*Kalendarz Słowa Bożego 1986*. (Wyd. Polska prowincja księży werbitów, St. Augustin, RFN).

*Cahiers Witkiewicz nr 5: Witkiewicz et la philosophie*. Teksty zebrali B. Michalski. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1984).

MAREK (Edmund). *Textes polonais. (Classes terminales — baccalauréats — concours)*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. nie podane, Lille 1985, cena F. 15).

HAVLICEK (Dusan). *L'information publique dans les systèmes politiques soviétiques*. KENDE (Pierre). *La censure en Hongrie*. Str.

- 61 i 3 nlb. (Wyd. Index, Kolonia w ramach „Projet de recherche 'Les crises des systèmes de type soviétique'”, studium nr 9). *A propos d'Helsinki*. Str. nlb. (Wyd. Internationale de la Résistance, Paryż 1985).
- HIRSZOWICZ (Łukasz, opr.). *Proceedings of the Experts' Conference on Soviet Jewry Today*, London, 4-6 January 1983. Str. 184 i 2 nlb. (Wyd. Institute of Jewish Affairs, Londyn 1985).
- HAVEL (Vaclav). *The Anatomy of a Reticence. Eastern European Dissidents and the Peace Movement in the West*. Str. 32. (Wyd. The Charta 77 Foundation, Sztokholm 1985).
- LARRABEE (F. Stephen). *The Challenge to Soviet Interests in Eastern Europe. Romania, Hungary, East Germany*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. Rand, Santa Monica USA).
- NSZZ „Solidarnosc” *on Price Increases and the Standard of Living in Poland*. Str. 27. (Wyd. Biuro Koordynacyjne „Solidarności” za Granicą, Bruksela 1985).
- WESTFAL (Stanisław). *Why Learn Polish — The Polish Language*. Str. 136. (Wyd. Veritas, Londyn 1985).
- LUBANSKI (Josef). *Cara, a Dog*. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. The Essice Company, Sutter Creek Ca, USA, cena \$ US 8,25).
- PIENKOS (Donald E.). *PNA: A Centennial History of the Polish National Alliance of the United States of America*. Str. 485 i 5 nlb. (Wyd. Boulder, distributed by Columbia University Press, Nowy Jork 1984).
- Solidarity and Other Polish Clandestine Publications in the British Library*. Str. nlb. (Wyd. British Library, Londyn 1985).
- Human Rights in Poland 1985*. Cz. I: *Helsinki Accords and Poland*. Cz. II: *A Chronicle of Death in Poland*. Cz. III: *Human Rights and Fundamental Freedoms in Poland*. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Toronto 1985).
- STANLEY (John D.). *The Birth of a Nation: The January Insurrection and the Belorussian National Movement*. (Nadbitka z: *War and Society in East Central Europe*, vol. XIV. *The Crucial Decade: East Central European Society and National Defense, 1859-1870*, wyd. Brooklyn College Press 1984).
- LAUB (Gabriel). *Spielen Sie Detektiv*. Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Europaverlag, Wiedeń-Monachium-Zurich 1985).
- KRISEOVA (Eda). *Prazdniny s bosonozkou*. Str. 105 i 7 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1985).
- Rozmluvy. Literarni a filozoficka revue*. Nr 4. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Londyn 1985).
- POPOWSKI (Mark). *Trietij liznij. On, ona i sowietiskij režim*. Str. 457 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1985).
- LUXEMBOURG (Eli). *Diesiaty god. Powieść*. Str. 313 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1985).
- KOPIELEW (Lew). *Swiatoj doktor Fiedor Pietrowicz. Istoria žyjni Friedricha Josepja Haasa, rodiw-szegosja w 1780 godu w Bad Münstereifel, umierszego w Moskwie w 1853 godu, pierieskazana Lwom Kopielewym*. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1985).
- GOMBROWICZ (Witold). *Dniewnik I (1953-1956), Dniewnik II (1961-1966), Dniewnik III (1957-1961)*. Str.: I — 401 i 7 nlb., II — 272 i 4 nlb., III — 310 i 6 nlb. Przeł. Petar Vujičić. (Wyd. Proswieta, Belgrad 1985).
- KARYJ (Łukian). *Krach. Dokumentalnyj roman z czasiw druhojii switowoji wijny*. Str. 564. (Wyd. Smoloskyp Publ., Toronto-Baltimore 1985).
- Versos polacos*. (Wiersze Cz. Miłozsa, T. Różewicza, W. Szymborskiej, R. Krynickiego, Z. Herberta). Przeł. M. T. Baçao, F. Menezes, M. C. Correia, C. Santos Pereira, H. Siewierski. Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. Faculdade de Letras, Lizbona 1985).

## WYDANIA MINIATUROWE INSTYTUTU LITERACKIEGO

Celem łatwiejszego docierania do kraju od kilku lat wydajemy każdy numer *Kultury* w wydaniu miniaturowym, jak również ważniejsze książki z „Biblioteki *Kultury*”, których nakłady zostały już dawno wyczerpane. Na skutek ciągłego poszukiwania w Kraju *Zeszytów Historycznych*, z których także wiele wyczerpało się od dawna, od 1983 roku wznowiliśmy w wydaniu miniaturowym również wyprzedane numery *Zeszytów Historycznych* a mianowicie numery: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 46, 47, 49, 50 i 51. Do końca roku ukażą się także *Zeszyty* 52, 53, 55, 56, 58 i 68.

Jeśliby ktoś z naszych Czytelników chciał nabyć te miniatury celem wysłania do Kraju lub uzupełnienia swego zbioru — prosimy napisać do Administracji *Kultury*. Cena pojedynczej miniatury *Zeszytów* wynosi F. 10,00 plus koszty porta.

Z wydanych miniatur książek z „Biblioteki *Kultury*” mamy jeszcze na składzie niewiele egzemplarzy następujących tytułów:

- 1) Maria Danilewicz Zielińska: „Szkice o literaturze emigracyjnej” (cena F. 15,00 plus porto);
- 2) Michał Heller: „Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka” (F. 15,00 plus porto);
- 3) Gustaw Herling-Grudziński: „Inny świat” (F. 10,00 plus porto);
- 4) Adam Krzyżanowski: „Dzieje Polski” (F. 15,00 plus porto);
- 5) Józef Mackiewicz: „Nie trzeba głośno mówić” (F. 20,00 plus porto);
- 6) Adam Michnik: „Kościół, lewica, dialog” (F. 10,00 plus porto);
- 7) Juliusz Mieroszewski: „Modele i praktyka” (F. 10,00 plus porto);
- 8) Aleksander Sołżenicyn: „Archipelag GUŁag”, trzy tomy (całość — F. 60,00 plus porto);
- 9) Aleksander Weissberg-Cybulski: „Wielka czystka” (F. 20,00 plus porto);
- 10) Paweł Zaremba: „Historia dwudziestolecia”, dwa tomy (F. 25,00 plus porto).





**14-5-85**

Na seminarium *Literature and Society*, zorganizowanym przez School of Slavonic and East European Studies uniwersytetu londyńskiego, polonistka i slawistka Nina Taylor wygłosiła odczyt pt. „Between Reality and Unreality: Social criticism in Polish Literature of the 1970s”.

**29-5-85**

Zmarł w Kurytybie w wieku 71 lat ks. Józef Zajac, wieloletni redaktor tygodnika *Lud*.

**5-6-85**

W Sydney zmarł kpt artylerii, Adam Polowiec, „Szczer Tobruku”, b. sekretarz Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, wieloletni sekretarz i prezes Towarzystwa Wiedzy o Polsce. Pozostawił cenny zbiór dzieł historycznych, rękopisów i własnych opracowań z dziedziny wojskowości.

**8-6-85**

Zmarł w Anglii w wieku 87 lat Jan Jodziewicz, adwokat, przed wojną prezes rady naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej, działacz Obozu Narodowo-Radykalnego, na emigracji długoletni redaktor techniczny *Dziennika Polskiego* w Londynie.

**15-6-85**

Londyński *Orzeł Biały*, zamknięty w marcu bież. roku, został jednak wznowiony i jego finansowanie przejęły: Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów oraz Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. ■ Wpływy Skarbu Narodowego za rok 1984 wyniosły £ 116.500. Jest to wielki wzrost w porównaniu z rokiem 1983, kiedy wpływy wyniosły £ 78.483.

**5-7-85**

Polski lekkoatleta (skok o tyczce) Władysław Kozakiewicz, który uzyskał złoty medal i rekord światowy na Olimpiadzie w 1980 roku w Moskwie, przekraczając wysokość 5,78 m, osiadł w Niemczech Zachodnich w miejscowości Bad Zwischenen i zamierza starać się o obywatelstwo niemieckie.

**8-7-85**

Zmarł w Sydney Leopold Muszkat, twórca teatru polskiego w Sydney w latach 50-tych i inicjator założenia Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Artystycznego.

**25-7-85**

Doroczna nagroda im. Stefana Badeniego została przyznana Józefowi Czapkiemu. Nagroda wynosi £ 1.000 i jest przyznawana za zasługi na polu krzewienia kultury polskiej.

**26-7-85**

Znany reżyser filmowy, Krzysztof Zanussi, wystawił w San Miniato w okolicach Pizy we Włoszech dramat napisany 20 lat temu przez Karola Wojtyłę pt. „Hiob”, uaktualniając go przez wprowadzenie do akcji Aldo Moro i ks. Jerzego Popiełuszkę, a nawet scenę dotyczącą katastrofy w Tesero. Scenariusz został opracowany przez Aleksandrę Kurczab, Polkę mieszkającą w Rzymie, która przełożyła na język włoski szereg utworów poetyckich i teatralnych Papieża. Jedna z wielkich telewizji amerykańskich nabyła prawa sfilmowania i dystrybucji tego dramatu na terenie Stanów Zjednoczonych. Należy się obawiać, że to będzie teatralno-filmowa kompromitacja, równa poprzedniemu filmowi Zanussiego o Papieżu.

**13-8-85**

Zmarł w La Crèche (Deux Sèvres) w wieku 65 lat prałat Zbigniew Bernacki, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji.

**16-8-85**

W Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium odbyło się seminarium poświęcone stosunkom polsko-ukraińskim. Prof. Bohdan Osadczuk wygłosił odczyt pt. „Poglądy działaczy politycznych i intelektualistów na rozwój stosunków polsko-ukraińskich” na podstawie ankiety przeprowadzonej przez periodyk *Widnowa*.

**9-9-85**

W Londynie odbył się zjazd Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” z okazji 40-lecia jego powstania. Na zjeździe zostały wygłoszone referaty: prof. M. K. Dziewanowskiego „Przyszłość Rosji i oczach Zachodu”, Jana Krok-Paszowskiego „Sytuacja gospodarza PRL i ocena jej wpływ na sytuację polityczną”, Rowmunda Piłsudskiego „Postulaty polskiej racji stanu”, Jana Radomyskiego „Ocena sytuacji politycznej Kraju i możliwości zmian”, Zbigniewa Rapackiego „Przyszłość stosunków polsko-niemieckich”, prof. Piotra Wandycza „Realizm a idealizm w dziejach Polski”, Bolesława Wierzbiańskiego „Opcje polityki polskiej”.

**16-9-85**

Jerzy Zubrzycki, profesor socjologii na australijskim uniwersytecie w Canberra, wygłosił odczyt na uniwersytecie londyńskim pt. „Żołnierze i chłopcy: socjologia polskiej migracji”. ■ Stowarzyszenie Polskich Kombatantów socjologia polskiej migracji”. ■ W Londynie przyznało tegoroczną nagrodę pisarską *ex aequo* po 250 £: Instytutowi Józefa Piłsudskiego za całokształt twórczości. ■ W polskim oraz Kornelowi Krzeczunowiczowi za wydanie „Korespondencji 1914-1917” Instytutowi Józefa Piłsudskiego za całokształt twórczości. ■ W polskim Londynie mówi się, że ambasador Edward Raczynski nosi się z zamiarem ustąpienia z prezydentury w kwietniu 1986 roku na rzecz Kazimierza Sabata.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

11 lipca 1985 roku Izba Reprezentantów uchwaliła przywrócenie kary śmierci za szpiegostwo w czasie pokoju. Ustawa ta, dotycząca wyłącznie wojskowych i urzędników cywilnych zatrudnionych w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych, przeszła większością 320 głosów przeciwko 101, co prawdopodobnie jest następstwem wielkiej afery szpiegowskiej, wykrytej przez FBI jeszcze w maju bież. roku. Najpierw zaarrestowano Johna Walkera, byłego weterana marynarki wojennej, specjalistę w dziedzinie komputerów. Wkrótce afera rozszerzyła się na pozostałych członków rodziny Walkera, przy czym jak się wydaje najważniejszą rolę grał w niej brat Johna — Artur Walker, który działał wspólnie z bratem i bratanikiem. Artur Walker był wysokiej klasy specjalistą w dziedzinie obrony przed łodziami podwodnymi i zajmował się szczególnie ważną dla Sowietów sprawą zlokalizowania dwóch rodzajów amerykańskich łodzi podwodnych: „Posejdon” i „Trident”. Tego typu statki, wyposażone w 16 do 24 wielogłowicowych wyrzutni nuklearnych, wędrujące w głębi oceanów, są dla Sowietów całkowicie niewykrywalne. W wypadku sowieckiego ataku mogłyby doszczętnie zniszczyć napastnicę. W wypadku Artura Walkera mogłyby te możliwości obronne USA sparować. Faktem jest natomiast, że nad tym wraz ze swymi sowieckimi zwierzchnikami pracował. Cała sprawa świadczyła nie tylko o niezwyklej sprawności sowieckiego wywiadu, ale przede wszystkim o całkowitej dretwo-

cie amerykańskiej, pozwalającej na głęboką penetrację Ameryki przez agentów KGB. Zastępa FBI w wykryciu tej groźnej afery szpiegowskiej wydaje się minimalna. Gdyby porzucona przez Johna Walkera jego była żona, Barbara Walker, nie złożyła donosu, prawdopodobnie FBI nie wiedziałoby o niczym do dzisiaj. ■ Na Morzu Północnym odbywały się w lipcu tego roku największe w dziejach manewry floty sowieckiej. Skoncentrowano ponad 100 jednostek wojennych. Celem manewrów o takim rozmiarze jest z jednej strony pokazanie imperialistom zdecydowanej postawy Sekretarza Gorbaczowa i nowego, odmłodzonego Politbiura, z drugiej — „opukiwanie” gotowości bojowej NATO. Manewry floty wojennej są rzeczą zwykłą i nie należałoby przywiązywać do nich szczególnej wagi, gdyby nie ich rozmiar i wybór Morza Północnego. Myślę jednak, że tego rodzaju inicjatywa daje efekty przeciwnie do zamierzonych. Nie należy bowiem zapominać, że Sowietów wspierają ruchy pacyfistyczne na Zachodzie, które starają się przekonać opinię światową, że Sowietom ani w głowie wojna z Zachodem (z czym się zgadzam) i że nie zamierzają nikogo szantażować swoją potęgą (co jest oczywistą nieprawdą). Gigantyczne manewry na Morzu Północnym podważają tę drugą tezę propagandową. Reakcją NATO były oczywiście kontrmanewry, tylko na znacznie mniejszą skalę. Sprowdzały się właściwie do obserwowania operacji floty sowieckiej. W czasie takich manewrów i „kontrmanewrów” często mają miejsce ryzykowne loty w pobliżu wielkich jednostek morskich, przy lekceważeniu przyjętych standardów bezpieczeństwa. Chodzi o to, żeby zdenerwować przeciwnika i sprawdzić stopień jego wytrzymałości. W czasie jednego z takich lotów wpadł do Morza Północnego samolot sowiecki z lotniskowca „Kiew”. Krążownik brytyjski „Newcastle” zdążył jednak wyłowić z lodowatej wody jeszcze żywą załogę w pobliżu kręgu polarnego. ■ W poniedziałek, 14 lipca prezydent Reagan poddał się operacji. Usunięto mu polip, który okazał się złośliwy, ale tym niemniej daje 73-letniemu prezydentowi możliwości jeśli nie pełnego wyzdrowienia, to szanse przeżycia wielu lat. Wszelkiego rodzaju prognozy w takich sytuacjach są — jak wiadomo — bardzo wątpliwe. Amerykańskie *mass media* zajęły się jednak tą sprawą w sposób maksymalnie niedyskretny i nachalny. Przez trzy kolejne dni amerykańskie TV grzebały się w brzuchu Prezydenta, sprowadzając na ekran wszelkich możliwych specjalistów z dr. Stevenem Rosenbergiem, dyrektorem Amerykańskiego Instytutu Badania Raka na czele. Lekarz ten oraz dr Sidney Winawer, specjalista od nowotworów grubej kiszki, byli przez dwa dni gwiazdami ekranu. Telewizji udało się wykorzystać chorobę i operację Prezydenta do rozpętania hysterii strachu. Nikomu nie potrzeba tłumaczyć jak straszną chorobą jest rak. Publiczność amerykańska doskonale to rozumie. To że dotknęła ona prezydenta Reagana nie czyni jej ani bardziej niebezpieczną, ani nie zwiększa statystycznego zagrożenia, gdyż np. przydarzyła się nieznanemu nikomu Johnowi Smithowi. Zachowanie się amerykańskich środków przekazu świadczy o tym, że komentatorzy i reporterzy w tym kraju przeżywają jakąś patologiczną satysfakcję, gdy nadarza się im okazja doprowadzenia widzów, słuchaczy i czytelników do paroksyzmu strachu. Czynną to zresztą z wielkim smakiem w świętek i w piątek ukazując widmo nuklearnego *holocaust'u*. Tu można by odnaleźć motywacje polityczne. W wypadku jednak choroby Ronald Reagana motywy polityczne straszania publiczności odpadają. Cóż więc innego leżało u źródeł stwarzania paniki? Głosy płynące z ekranów nawoływały do powszechnego i jak najczęstszego diagnozowania raka. Celowości tej propozycji trudno jest zaprzeczyć, ale sytuacja ogólna nie uległa zmianie od chwili wykrycia tej choroby u Prezydenta. Znając podatność tutejszej ludności na wszelką histerię, bez trudu można było przewidzieć, że od tej chwili poczekalnie lekarzy i laboratoriów zapełnią się pacjentami i pacjentkami nekanyimi zmorą tej choroby, a kieszenie amerykańskich lekarzy pęcznić będą jeszcze bardziej. Cena strachu jest bardzo wysoka, a amerykańscy lekarze na ogół

znani ze swego komercyjnego stosunku do pacjentów, bardzo to lubią. Analożyczna rzecz wydarzyła się 10 dni później, kiedy *mass media* podały, że wybitny aktor amerykański, Rock Hudson poleciał do Paryża, by poddać się eksperymentalnemu leczeniu SIDA. Cechą tej choroby jest penetracja niezbadanego wirusa, który całkowicie pozbawia organizm obronności nawet przed niezbyt groźnymi chorobami. TV pokazywała (czego na ogół nigdy nie robi) jak Rock Hudson — stosunkowo młody jeszcze człowiek — wyglądał dwa lata temu i jak wygląda obecnie. Następowaly liczne wywiady z lekarzami i z Sekretarzem Departamentu Zdrowia. Na koniec zdjęcia filmu z pewnych okolic Nowego Jorku, których mieszkańcy protestowali przeciwko umieszczeniu tam ośrodków zdrowia, w których leczy się ludzi dotkniętych SIDA. W obawie o własną skórę nie chcieli ich sąsiedztwa, choć choroba ta przenosi się wyłącznie poprzez bezpośredni kontakt dwóch osobników, transfuzję krwi dokonaną niewłaściwie lub użycie źle zdezynfekowanych strzykawek, używanych w USA tylko jednorazowo. Demonstracje domagające się usunięcia ośrodków, w których leczy się SIDA, były więc szczególnie odrażające, gdyż obrażowały absolutny egoizm i antyspołeczną postawę mieszkańców Nowego Jorku. Czy tylko Nowego Jorku? Czasami odnosi się wrażenie, że mieszkańcy tego kraju chcą żyć nie tylko bez ryzyka, ale po prostu bez cienia ryzyka. ■ Chociaż przestępczość uległa w wielkich metropoliach Stanów Zjednoczonych pewnej umiarkowanej poprawie, wymiar sprawiedliwości przedstawia się nadal zastraszająco. Według informacji publikowanych przez nowojorski *Nowy Dziennik*, które cytuję dosłownie, przestępcy zwolnieni z więzień stanowych w 1982 roku siedzieli średnio po 16 miesięcy. Morderców zwalniano po niecałych sześciu latach. Połowa gwałcicieli nie odsiedziała nawet trzech lat. Zaledwie 3% przestępców osadzonych w więzieniach w tymże roku otrzymało wyrok dożywocia. W jednej z ostatnich ulotek do swoich wyborców nowojorski republikanin, senator D'Amato, pisze że skazanego za zamordowanie policjanta na 15 lat, zwolniono warunkowo po 3 i pół roku więzienia. Od tego czasu przestępca ten został już dwukrotnie aresztowany: za włamanie w celach rabunkowych do kościoła i za nielegalne posiadanie broni. Warunkowego zwolnienia nie do uchylenia. Skazany został na jednak zaledwie na cztery miesiące aresztu za przyznanie się do drobnego wykroczenia. Odsiedział tylko dwa. Amerykańskie sądownictwo nadal zaciera granicę między złością a ofiarą. Niektórzy nazywają złością ofiarą systemu, pomijając jego osobistą odpowiedzialność. Wypada tu dodać, że — zgodnie z postawą neo-liberałów amerykańskich i zachodnioeuropejskich — tradycyjne pojęcie winy zostało od dawna zrelatywizowane. Ponieważ człowiek jest produktem warunków, w których żyje, jego osobowość została tak całkowicie rozmydlona, że nie właściwie z niej nie zostało. Bardzo to przypomina marksistowską zasadę „byt określa świadomość”. Ale, jak wiemy, marksieści skorzy są do przyznania oczu na „winy” popełniane tylko w pewnych warunkach i w pewnych systemach społecznych. W innych — nie. Odpowiednia proporcja „dialektyki” czyni ze sprawiedliwości marksistowskiej klucz uniwersalny. Niczego się nim jednak nie otwiera. Przeważnie służy do zamykania. ■ Korespondenci amerykańscy, którzy dostarczają swoim czytelnikom czy telewidzom wiadomości o Polsce od dawna zadziwiają swoją ignorancją. Od co najmniej dwóch lat działa w Warszawie korespondent *New York Times'a* p. Michael Kaufman. Żeby zapoznać Amerykanów z sytuacją rynkową w Polsce jedynym środkiem byłoby wskazanie relacji między cenami artykułów codziennego użytku i zarobkami oraz poinformowanie publiczności amerykańskiej jakie artykuły są dostępne na wolnym rynku, po jakich cenach, co i po jakich cenach można zdobyć na kartki. Nie jest to zadanie łatwe, ale konieczne. Jeśli to jest za trudne i zbyt pracochłonne dla korespondenta, lepiej niech wcale na ten temat nie pisze. Kaufman wybrał drogę prostszą. Podaje ceny artykułów na rynku reglamentowanym według oficjalnego prze-



M. Rybicki, J. Zumbach, J. Kurbiel, J. Zarzecki, L. Pimonow i L. Płowiecki) rozesłali ok. 150 listów informujących o nowej inicjatywie. Przybyło ok. 60 osób. W trakcie spotkania J. Zarzecki wyłożył dokładniej cele nowej organizacji, która ma być swego rodzaju „klubem polonijnym, apolitycznym i pluralistycznym, na którego terenie mogliby w kulturalnej atmosferze spotykać się i w kulturalnej atmosferze wymieniać poglądy... i biskup, i nasz ambasador, i — czemu nie — ktoś z 'Solidarności'”... „Klub byłby miejscem spotkań towarzyskich, gdzie można by kulturalnie spożyć polski posiłek, w polskiej rodzinnej atmosferze się zabawić, wypić (ożywienie na sali), urządzić naszą, polską choinkę, zaprosić zespół regionalny albo ratować naszą kochaną kulturę np. wydając autora, który obecnie w Polsce nie może publikować”. J. Zarzecki podkreślił konieczność czujności i niedopuszczenia do klubu wichrzycieli, których jednak bliżej nie określił. Powołano Radę Administracyjną klubu, która ma opracować projekt statutu. Wszystko wskazuje na to, że „cichym” patronem klubu jest ambasada PRL.

■ 25-letni atleta, Bogdan Morawski z Gdańska, skorzystał z okazji i odłączył się od grupy sportowców, z którą przybył do Francji na międzynarodowe mistrzostwa lekkoatletyczne. ■ W ostatnich dniach czerwca poinformowano w Paryżu o odroczeniu przez Sejm PRL wizyty, jaką w lipcu br. miała złożyć w Polsce delegacja francuskich deputowanych, należących do tzw. grupy przyjaźni polsko-francuskiej. Przedstawiciel ambasady PRL, Kornel Henschke, przekazał tę decyzję przewodniczącemu grupy, Claude Germonowi, informując go, że: „lepiej będzie odłożyć tę wizytę do czasu, gdy strona francuska będzie pozyskana dla sprawy normalnego rozwoju stosunków z Sejmem PRL”. Dodał ponadto — co wyjaśnia nieco tę decyzję — że „nie do przyjęcia jest, aby delegacja francuska kontaktowała się z tzw. opozycją w Polsce”. ■ W programie telewizyjnym warszawskich występów niejaki Andrzej Szadkowski, wydalony z Francji w marcu br. Przyczyną wydalenia — według niego — była odmowa współpracy z francuskim kontrwywiadem. Francuskie MSW zakomunikowało, że nie mu o tej sprawie wiadomo. Natomiast według AFP powołującej się na „pewne” źródła paryskie, Szadkowskiego wydalono z Francji, gdyż był po prostu „wtyczką” SB i miał za zadanie rozpracowanie paryskiej „Solidarności”. ■ 7 lipca br., w związku z 150-tą rocznicą Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księża Pallotyni) odbył się Jubileuszowy Zjazd Katolicki w Osny, któremu przewodniczył ks. biskup André Rousset, ordynariusz diecezji Pontoise, ks. prałat Zbigniew Bernacki, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji, oraz wicegenerał Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego — ks. J. B. Quaini.

■ 15 lipca br. przedstawiciele tzw. Klubu Paryskiego (reprezentanci 17-tu państw zachodnich, wierzących PRL) podpisali porozumienie z rządem PRL dotyczące spłaty długów. Zgodzono się na rozłożenie długu publicznego PRL, tj. 12 miliardów dolarów, na 11 lat, w tym 5 lat odroczenia spłat. Porozumienie to oznacza powrót do „finansowej legalności” po zawieszeniu 13 grudnia 1981 roku przez PRL spłat zadłużenia. Stanisław Nieckarz, minister Finansów PRL, wystąpił z tej okazji na konferencji w Paryżu, gdzie stwierdził m.in., że decyzja Klubu Paryskiego świadczy o początku normalizacji stosunków między PRL a państwami zachodnimi w dziedzinie finansowej. Minister PRL wystosował apel do rządów zachodnich o przyznanie nowych kredytów. PRL potrzebuje w 1985 roku od 600 do 800 milionów dolarów kredytu, aby zwiększyć eksport do krajów zachodnich. Paryski komitet „Solidarité avec Solidarnosc” ostro potępił decyzję Klubu Paryskiego, powziętą bez postawienia władzom polskim jakichkolwiek warunków natury politycznej. ■ Poznański „Teatr Ósmego Dnia” wystawił w lipcu w Grenoble i w Blois swój najnowszy spektakl pt. „Autodafé”. Jedyńe czterem członkom zespołu udało się dotrzeć do Francji, pozostałym odmówiono paszportów.

Wojciech SIKORA

## KRONIKA KANADYJSKA

W dniach 18-20 maja br. odbył się w Winnipeg XXI walny zjazd delegatów SPK w Kanadzie, na którym wybrano nowe władze. Prezesem został Mieczysław Szczeciński, a przewodniczącym Rady SPK — poprzedni prezes, Bohdan Ejbich. Jak wynika z danych uzyskanych z przeprowadzonej na walnym zjeździe ankiety, SPK liczące 2.383 członków zwyczajnych, 68 wspierających i 30 honorowych, jest najliczniejszą organizacją polonijną. Ponadto chyba i najzamożniejszą, gdyż wartość należących do niej domów wynosi \$ 5.565.000. Niektóre nieruchomości są obciążone hipotekami, ale przypuszczalna wartość rynkowa jest wyższa od podanej w zestawieniu. SPK odgrywa główną rolę w życiu polonijnym zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, gdyż wielu członków jest czynnych również w innych organizacjach — w tych danych, powstałych w okresie międzywojennym. Ankieta wykazała również dane dotyczące wieku członków: 1.296 — czyli ponad 50 % — liczy 65 lat i więcej, 939 — 35 do 65 lat, a 233 nie przekracza wieku 35 lat. Nie było tajemnicą, że w SPK przeważają ludzie starsi wiekiem, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe, gdyż należą do niego głównie kombatanaci Polskich Sił Zbrojnych — żołnierze drugiej wojny światowej. Ścisłych danych brak. Żadna inna organizacja polonijna nie zdobyła się na przeprowadzenie podobnej ankiety, ale wydaje się, że sytuacja w dawniejszych, starszych organizacjach — zresztą znacznie mniej licznych — procentowo przedstawia się podobnie. ■ Jak wykazuje powszechny spis ludności, grupa polska liczy obecnie około 15 % osób w wieku emerytalnym (65 lat i więcej). Jedyne grupa rosyjska ma wyższy odsetek osób starszych wiekiem. Starzenie polskiej grupy będzie wzrastać w ciągu najbliższych lat. ■ Rektor KUL-u, ks. bp Hemperek, przebywał w Kanadzie kilka dni w związku z wielką kampanią zbiórki na Kolegium im. Jana Pawła II. Przewodniczącym komitetu, Henryk Słaby, zorganizował 1 sierpnia br. spotkanie z księdzem rektorem w Copernicus Lodge w Toronto. ■ Klub Teatru Polskiego w Ottawie wystawił „Powrót posła” w reżyserii Jadwigi Domańskiej. ■ Działający od listopada 1981 roku Komitet pomocy przy KPK, okręg Québec, zebrał do końca grudnia 1984 roku ogółem \$ 2.607.051 (pieniądze, dary, leki itp.). W 1981 roku przekazano do Zarządu Głównego w Toronto \$ 128.820 — z Montrealu wysłano 49 transportów wartości \$ 2.435.757. Koszt kampanii zbiórkowej wyniósł \$ 14.460, a koszty administracyjne — \$ 3.807. W 1984 roku — jak i w dwóch poprzednich latach — najhojniejsze dary pochodziły od Sœurs de l'Assomption de la Sainte Vierge z Nicolet i od Johna M. Hallwarda: siostry ofiarowały \$ 20.000, a p. Hallward — \$ 23.820. Ponadto dzięki pomocy J. M. Hallwarda i jego rodziny uzyskano dary w naturze wartości \$ 41.300. Około 200 osób polskiego pochodzenia ofiarowało w gotówce ponad 18 tys. dolarów. ■ Federacja Kobiet Polskich w Kanadzie rozpoczęła akcję pomocy szpitalom w Polsce, tzw. *Operation Lifeline*, która ma na celu wysyłanie do polskich szpitali, szczególnie dziecięcych, podstawowych artykułów higienicznych oraz innych, których brak jest ogromny. ■ Zmarł w Toronto w wieku 80 lat płk Józef Chyliński, dowódca AK okręg Pomorze. ■ Na konferencji slawistów kanadyjskich w Montrealu dr Barbara Sharratt — polonistka wykładowca na University of Waterloo — zorganizowała dwie sesje: „Problem absurdu w literaturach słowiańskich” i „Barok w Polsce”. W pierwszej referat o Gombrowiczu wygłosiła Maria Baraniecka, a w drugiej dr Ryszard Sokolski referat pt. „Problemy studiowania twórczości Sępa Szarzyńskiego”, dr Andrzej Stoga „Architektura i sztuka polska od XVI do XVIII wieku”, dr Barbara Sharratt — „Jan Andrzej Morsztyn”. Po referatach odbyła się ożywiona dyskusja. Obecni na konferencji slawiści wybrali nowe władze. Przewodni-

czącą Stowarzyszenia została dr Stefania Szłęk-Miller, profesor wydziału nauk politycznych McMaster University w Hamiltonie, autorka licznych prac o organizacjach katolickich w Polsce.

B.H.

## KRONIKA NORWESKA

W majowym numerze *Kultury* błędnie podano nazwisko nowowybranego przewodniczącego polsko-norweskiego towarzystwa „Kultura” — został nim Jacek Juniszewski. ■ 20 kwietnia br. w Oslo miał miejsce V krajowy zjazd Solidarności Norwegia-Polska (SNP). Wybrano nowy zarząd, w którym 50 % stanowią Polacy. Kolejną przewodniczącą organizacji została Małgorzata Matusiak, a wiceprzewodniczącym ponownie Bjorn Cato Funne-mark. W organizacji działają głównie związkowcy norwescy. Kilka dużych organizacji związkowych o zasięgu krajowym jest członkami zbiorowymi. W SNP aktywnych jest 17 oddziałów lokalnych. ■ Parlament norweski zaprotestował przeciwko uwięzieniu Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika. Przedstawiciele wszystkich partii politycznych, reprezentowanych w norweskim parlamencie, wystosowali do władz w Warszawie list, w którym zwrócili się o zwolnienie aresztowanych niesłusznie działaczy związkowych. Posłowie wyrazili nadzieję, że rządzący w PRL podejmą kroki zmierzające do zgody narodowej w duchu porozumień sierpniowych i licznych konwencji międzynarodowych ratyfikowanych przez PRL. ■ 13 maja br. na lotnisku Gardemoen, w pobliżu Oslo, zostali zatrzymani w trakcie fotografowania obiektów wojskowych dwaj członkowie załogi czechosłowackiego samolotu pasażerskiego. Obu Czechosłowaków, po odebraniu im filmów i udzieleniu ostrzeżenia, zwolniono. ■ 20 czerwca br. ogłoszono w Oslo wyrok w procesie sowieckiego super-szpiega, działającego od ponad 10 lat w Norwegii. Były wiceminister Arne Treholt został uznany winnym szpiegostwa na rzecz Związku Sowieckiego i Iraku. Sąd wymierzył mu maksymalną karę 20 lat więzienia i 1,2 mln koron norweskich grzywny. ■ Zarząd krajowy Norweskich Związków Zawodowych wystosował do W. Jaruzelskiego depezę, protestując przeciwko bezprawnemu skazaniu przywódców Solidarności — Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika. Związkowcy wyrazili równocześnie zaniepokojenie sytuacją aresztowanego w kwietniu br. Czesława Bieleckiego. W depeży wyrażona jest nadzieja na osobistą interwencję W. Jaruzelskiego w tych sprawach. ■ Jakob Aano — przewodniczący komitetu spraw zagranicznych parlamentu norweskiego — zgłosił projekt przemianowania placu, przy którym usytuowana jest ambasada sowiecka w Oslo, na plac Andrieja Sacharowa. Jeśli wniosek zostanie przyjęty przez Radę Miejską, to adres ambasady sowieckiej w Oslo będzie: Plac Sacharowa, 1. ■ 11 lipca br. sowieckie okręty wojenne zerwały na Morzu Barentsa kabel elektroakustyczny służący do sporządzania mapy dna morskiego w dwustumilowej norweskiej strefie nadbrzeżnej. Zerwanie kabla nie można uznać za przypadek, bowiem nieco wcześniej te same sowieckie jednostki wojenne zostały po rosyjsku poinformowane przez radio o celu i miejscu badań. Równocześnie sam kabel zagał. W Norwegii panuje opinia, że jest to po prostu bezczelne szpiegostwo przemysłowe.

Paweł GAJOWNICZEK

## Listy do Redakcji

Paryż, 27 lipca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przyjemnością odczytałem w ostatnim numerze *Kultury* wiadomość o moim sukcesie malarskim w Monte Carlo w maju 1985 — gdzie otrzymałem II nagrodę im. Princesse Grace. Chciałbym bardzo Pana prosić o sprostowanie błędu, który zaistniał w piśmie mojego nazwiska (*nota bene* ten błąd przesładuje mnie od niepamiętnych czasów!).

Jestem wnukiem Jana Karczewskiego i miałem honor poznać Pana Redaktora w lecie 1979 roku — więc przy okazji załączam bardzo dużo ciepłych uścisków!

Tadeusz BRUDZYŃSKI

Monachium, 3 sierpnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. Tadeusza Podgórskiego z dn. 27 kwietnia br., ogłoszonym w *Kulturze* z lipca/sierpnia br. zabieram głos w celu sprostowania niezgodnych z prawdą twierdzeń i wniosków p. Podgórskiego.

Moje spotkanie z dr. Hupką 24 listopada 1984 roku stanowi mniej niż jedno promille mej działalności na stanowisku przewodniczącego Oddziału Rady Narodowej w RFN od chwili jego utworzenia w 1978 roku. Sprawę mego spotkania wyjaśniłem krótko w liście do *Tygodnia Polskiego* z 20 kwietnia 1985, ponadto wywiad ze mną na ten temat ogłoszono w *Dialogu* nr 2/3 z 1985 r. (w wersji polskiej tego czasopisma).

Zarzut p. Podgórskiego w sprawie rzekomego naginania przeze mnie uchwały RN celem oddziaływania na opinię niemiecką odrzucam kategorią rycynie. Odnosna uchwała brzmi: zadaniem RN jest „oddziaływanie na opinię publiczną oraz czynniki oficjalne w RFN w kierunku poszanowania opinii publicznej oraz czołowi niemieckiego, a więc czynnikiem oficjalnym, podpada zatem pod cytowaną uchwałę RN. W swym liście do *Kultury* p. Podgórski celowo przemilcza, że podejmując rozmowę z dr. Hupką działałem nie tylko w ramach ogólnej uchwały RN ale miałem w dodatku na to jej milczące *placet*. Na plenarnym posiedzeniu 22 września 1984 roku oświadczyłem bowiem, że poseł dr Hupka prosił mnie o spotkanie i że wobec tego go spotkam. Spośród obecnych posłów (w tym kilku z PPS z p. dr. Ciołkoszową na czele) padła jedynie krótka uwaga p. Podgórskiego: „z tym trzeba uważać, bo to może być niebezpieczne”, na co odpowiedziałem, że nie widzę w tym nic niebezpiecznego. Sprawa istotnie okazała się niebezpieczna ale nie z uwagi na dr. Hupkę tylko na p. Podgórskiego.

Od dziesięcioleci wiadomo mi, że Kraj życzy sobie aby emigracja wal-

czyła o stabilizację granicy na Odrze/Nysie. W spoce stalinowskiej od 28 kwietnia 1952 do 10 czerwca 1956 roku przebywałem w więzieniu, skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na 15 lat z art. 86 § 2 K.K. za „usiłowanie zmiany ustroju przemocą”. W więzieniu rozmawiałem na temat niebezpieczeństwa rewizjonizmu zachodnoniemieckiego. Byliśmy zgodni, że polska emigracja w Niemczech będzie temu przeciwdziałała w dyskusjach z przeciwnikami obecnej granicy. Tego zdania było wielu przedwojennych dygnitarzy i kilku działaczy podziemia epoki stalinowskiej. W ciągu ostatnich 2-ch lat otrzymałem z Kraju życzenie ze strony kilku b. więźniów politycznych, z którymi siedziałem w więzieniu i dwóch znanych adwokatów, abym podjął rozmowy na temat granicy na Odrze/Nysie również z pp. Czają i Hupką. Nazwisk tych osób nie mogę podać dziś do publicznej wiadomości, ani nazwiska jednego z czołowych działaczy wolnościowych z Kraju, znanego pisarza, b. więźnia Oświęcimia, i PRL w epoce stalinowskiej, internowanego w czasie stanu wojennego (nazwisko znane Redaktorowi *Kultury*, autorowi kroniki niemieckiej i p. Podgórskiemu), który będąc w ub. roku w RFN rozmawiał z dr. Czają. Wielu mieszkańców Ziemi Zachodnich ciągle obawia się niemieckiego rewizjonizmu i sądzi że trzeba o tej sprawie rozmawiać z Niemcami wszystkich odcieni politycznych.

Twierdzenie p. Podgórskiego, że „wszystkie politycznie odpowiedzialne ugrupowania i instytucje polskiej emigracji niepodległościowej wykluczają możliwość wdawania się w przetargi z ziomkostwami niemieckimi ze wschodu” jest dla mnie nie do przyjęcia. Archaiczny pogląd, że wszelka rozmowa z przeciwnikami granicy na Odrze/Nysie jest niemożliwa, nie może obowiązywać polskiej politycznej emigracji w Niemczech w połowie lat 80-tych. Rozumiem, że te sprawy mogą inaczej wyglądać z optyki Londynu czy Paryża, ale o tym z kim my mamy tutaj rozmawiać muszą decydować instytucje emigracyjne w RFN, w zależności od naszych stosunków i układów z tutejszymi władzami i partiami politycznymi. Dialog to nie są żadne konszachty, przetargi czy licytacje, w dialogu nie zawiera się żadnych paktów. Takich spotkań jak z dr. Hupką miałem wiele z politykami niemieckimi, przeciwnikami granicy na Odrze/Nysie. Dr Hupece wręczylem uchwały RN o nieodwracalności tej granicy i przeciw rewizjonizmowi, na jego zapytanie o zgodę na zniesienie w przyszłości granic, udzieliłem odpowiedzi odmownej, reprezentowałem więc polski punkt widzenia prawidłowo. P. Podgórskiemu to nie wystarczy i w sposób arbitralny ustala, jakobym wdawał się „w przetargi i rozmowy oraz w debaty” i „zawarł wstępne polityczne porozumienia” (*Komunikat prasowy* nr 2/85). Zarzut ten jest tak ujęty, iż w podtekście oznacza zarzut szkodliwego działania na rzecz Kraju. To oszczerstwo odrzucam z całą stanowczością i kategorycznie protestuję przeciw świadomemu tworzeniu przez p. Podgórskiego wymyślanego stanu faktycznego.

Votum nieufności przeciwko mnie i notatka o tym w *Kulturze* zwróciły uwagę nie tylko pisemka przesiedleńców, ale też wielu polityków niemieckich wysokiego szczebla. Otrzymałem pismo CSU (bawarska chrześcijańska demokracja) z 27 marca 1985 roku z uprzejmą prośbą o poinformowanie o dalszym ciągu sprawy votum nieufności przeciwko mnie, gdyż wysunięte przeciwko mnie zarzuty, jak również negatywne nastawienie PPS wobec dialogu, są niezrozumiałe dla CSU, która ma pełne zrozumienie dla naszego odmiennego od niej stanowiska w sprawie Śląska. Wielu Niemców sądzi, że nie chcemy z nimi dialogu. W tej sytuacji wobec powstałego zamieszania i chwilowego upadku naszego prestiżu, jeszcze w styczniu wystąpiłem do Rządu o rozwiązanie Oddziału RN, co zostało poparte przez PSL, SPK i wielu posłów indywidualnych nie partyjnych. Zarządzeniem z dnia 8 lipca 1985 roku Prezydent RP rozwiązał Oddział Rady Narodowej w RFN.

Z wyrazami wysokiego szacunku

Ludwik FRENDL

List p. Tadeusza Podgórskiego, ogłoszony w nr. 7/454-8/455 *Kultury*, atakujący działalność dr. Ludwika Frendla, wywołał szereg sprzeciwów. Listy potępiające oświadczenie p. Podgórskiego nadesłali: Stanisław Mikiciuk z Monachium, Grupa Robocza „Solidarności” z Monachium, Jerzy Arłamowski z Monachium, Ryszard Rudnicki z Monachium i J. Zuchowski ze Stockholmu. — REDAKCJA „KULTURY”.

Pretoria, 29 lipca 1985.

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze!

Do artykułu Zbigniewa Byrskiego o Południowej Afryce, *Kultura* — Lipiec-Sierpień 1985 r., Nr 7/454-8/455, zgłaszam dwie poprawki, a mianowicie bp Desmond Tutu jest biskupem anglikańskiej diecezji johannesburskiej, do której należą tak biali jak i czarni członkowie tej kongregacji. Bp Tutu nie jest więc biskupem Pretorii (str. 61).

Przewodniczący opozycyjnej partii konserwatywnej nazywa się Andries Treurnicht, a nie Trernicht (str. 65; przypisek).

Oczekiwania pana Byrskiego o wynikach reform są zbyt optymistyczne. Zdaje mi się, że jeśli obecne pokolenie zgodzi się na reformy wprowadzane przez rząd i ich dzieci będą się uczyć a nie palić szkół i rzucać kamieniami, to będą ludźmi i dopiero ich dzieci będą pełnowartościowymi ludźmi bez uprzedzeń tak do białych jak i czarnych.

Zmiany socjalne niestety wymagają czasu, a konstytucja jest podstawą regulującą te zmiany

Łączę wyrazy szacunku i poważania

F. KAŁUŻA

Double Bay, N.S.W., 25 czerwca 1985.

Drogi Panie Redaktorze,

Niech mi wolno będzie dorzucić parę uwag do zasłużonej nauki, wymierzonej przez Kostantego Jeleńskiego panu Majchrowskiemu.

Jeleński słusznie też wykpiwa 'polonocentryzm' Sandauera w odniesieniu do działalności Kongresu Wolności Kultury; niemniej sam popada w błąd 'eurocentryzmu'. I tak, wylicza on najważniejsze czasopisma literacko-polityczne wspomagane przez Kongres w Europie, ale widocznie zapominał, iż świat nie składa się jedynie z 'L'Europe decadenta' (z przyczepką Stanów Zjednoczonych, niezbyt mile widzianą).

Pisma finansowane (w całości lub częściowo) przez Kongres Wolności Kultury ukazywały się także poza Europą. Niektóre z nich odegrały wielką rolę na terenie ich promieniowania. I tak *Transition* było ważną instytucją w Afryce Zachodniej, *Quest* w Indiach, *Solidaridad* było najważniejszym czasopismem w języku angielskim na Filipinach, *Horizon* redagowany w Dżakarcie przez sławnego pisarza indonezyjskiego Mochtera Lubisa. Wreszcie niżej podpisany założył w Australii czasopismo *Quadrant* w roku 1956. Od tego czasu pismo przekształciło się z kwartalnika na miesięcznik i jest największym czasopismem literacko-politycznym Australii. Od 1969 nie otrzymujemy żadnych zapomóg z centrali Kongresu. Z pism europejskich, wymienionych przez Jeleńskiego jedynie *Encounter* ukazuje się do tej pory. Pisma azjatyckie ukazywały się długo po zamknięciu biura w Paryżu.

Zasylam miłe ukłony

Ryszard KRYGIER

Uppsala, 30 maja 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie odmówi Pan chyba umieszczenia listu, wywołanego lekturą kwietniowego numeru *Kultury*? Przeczytałem tam tuż niemal po sobie biegnące zdania: „jako politolog mógłby nieco precyzyjniej konstruować swe wywody i sądy... Jest to trochę mówienie ślepego o kolorach... Historyczne zamierzania Turbacza kazi chwilami spora schematyczność sądów... Całość artykułu, gdy ją zestawić z niezbyt logicznie przeprowadzonym wywodem robi wrażenie niekoherentne... (Turbacz) w swym sposobie myślenia jest w jakiś sposób porażony szczególnego rodzaju sowietyzmem... Autor musiałby bowiem przeczytać kilka prac... owo zsovietyzowanie intelektu... Turbacz zapomina więc... Nie jest to akt odwagi ale akt tupetu...”.

Jest to część zdań wynotowanych z polemiki Józefa Szretta przeciw Markowi Turbaczowi spowodowanej artykułem *Kościół a komunizm w Polsce*.

Przeczytałem kilkakrotnie oba artykuły. Jeśli w replice Szretta są jakieś logiczne argumenty, to trudno mi je dostrzec, toną bowiem w potoku słów zamierzenie impertynenckich. Nie wiem kim jest Turbacz i kim jest Szrett, nie wiem, dlaczego artykuł pierwszego jest aktem tupetu, dlaczego Turbacz nie ma racji, co gorsze, nie mogę się zorientować jaką rację reprezentuje Szrett. Nasuwa się niedobre przypuszczenie, że Szrett „jest porażony szczególnego rodzaju sowietyzmem”, ową manierą polemiczną sowieckich publicystów, dążących do wydrwienia — jeśli nie zniszczenia — adwersarza.

Być może, że wrażenie to jest mylne. Złe obyczaje polemiczne nie są ani wyłączną własnością komunistów ani nawet ich wynalazkiem, niszczenie przeciwników było stosowane długo przed ukształtowaniem się bolszewizmu. Te uwagi nie rozwiązują jednak zasadniczego problemu. Nadal nie wiem o co toczy się spór a tym bardziej nie mogę wysnuć kto w tym sporze ma rację.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Józef LEWANDOWSKI

Barnet, Herts (Wielka Brytania), 3 lipca 1985.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W związku z ciekawym artykułem p. Jerzego Horzelskiego pt. „Przygodne notatki o mowie”, w którym autor omawia słowo „Piast”, pragnę dorzucić swoje trzy grosze zwracając uwagę na fakt, że duży słownik „Oxford English” podaje pod słowem „Piast”: „someone of purely Polish origin” (ktoś czysto polskiego pochodzenia). Taka jest etymologia angielska tego słowa.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Krzysztof ROWIŃSKI

Veenendaal (Holandia), 1 sierpnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od pewnego czasu ukazują się w Pana czasopiśmie artykuły autorstwa Krzysztofa Stachowskiego. Ponieważ zarówno imię, jak nazwisko autora są identyczne z moimi, więc chciałem wyjaśnić, że nie mam nic wspólnego z Krzysztofem Stachowskim piszącym artykuły dla Pana czasopisma. Krzysztofa Stachowskiego. Ponieważ zarówno imię, jak nazwisko autora

rów *Kultury* wyjaśniającej informacji, która położy kres nieporozumieniom wywołanym identycznym brzmieniem imienia i nazwiska.

Z poważaniem

K. W. STACHOWSKI

Do wiadomości:

1. w/w
2. Ambasada PRL w Hadze.

Nigdy nie należy przesadzać. Tylko jeden raz ukazał się w *Kulturze* artykuł podpisany Krzysztof Stachowski — a nie „K. W. Stachowski”, tak jak Pan podpisuje. — Było to w numerze listopadowym z 1984 roku (Nr 11/446). Nie ma więc chyba powodu do tłumaczenia się przed Ambasadą PRL i to prawie rok później.

REDAKCJA

Londyn, 5 lipca 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Po przyjeździe z Polski do Londynu poszedłem do Polskiej Biblioteki na King Street dla nadrobienia zaległości w lekturze pism wychodzących na emigracji. W pierwszym rzędzie wziąłem na warsztat dwa ostatnie roczniki *Kultury* pisma niedostępnego dla mnie od dawna w Warszawie.

Z radością zauważyłem, że pismo Wasze nie unika najbardziej drażliwych tematów nurtujących Polaków w kraju. W prasie podziemnej natomiast przez tematów przecież centralnie nie sterowanej, jest zbyt duży ładunek autocenzury. Jest to skrzępowanie, które wynika z obawy przed wykorzystywaniem podawanych informacji i komentarzy przez reżim. Ta obawa, choć usprawiedliwiona nie powinna eliminować świadomości, że jawność dyskusji daje więcej korzyści aniżeli technika tuszowania tematów kłopotliwych czy „niebezpiecznych”.

Do najbardziej drażliwych spraw omijanych chętnie przez prasę podziemną należy temat Prymasa Glempa. Dlaczego tak się dzieje? Najczęściej słyszy się opinię, że popularyzowanie krytyki Prymasa grozi jednoci Kościoła i społeczeństwa. Ten stereotyp rozumowania działa paraliżująco na publicystykę.

Lecz opinia publiczna i tak przebiła już swój wpływ na bieg spraw w Kościele. Nie wykluczam, że czytelnicy *Kultury* mogą nie mieć jasnego obrazu sytuacji jaka ukształtowała się w Polsce w relacji Prymas — opozycja. Nic zdają sobie zapewne sprawy z przełomu jaki się w tej relacji dokonał. Śmierć ks. Jerzego Popiełuszki wskazuje z pewnością na punkt kulminacyjny tego przełomu. Chyba najbardziej dramatyczny okres mamy już za sobą. Ks. Prymas Glemp nie składa już kontrowersyjnych oświadczeń. Zachodni publicyści dopatrują się usztywnienia postawy Prymasa wskutek wzmagającej się fali represji wobec społeczeństwa i Kościoła.

Jest to diagnoza, sądzę, powierzchowna i tylko częściowo słuszna. W ostatnich latach były, jak wszyscy dobrze wiemy, też represje a wbrew nim odbieraliśmy wypowiedzi Prymasa nazywane „ugodowymi”. Należy więc raczej przyjąć, że zmiana stanowiska Prymasa ma inne źródło. Jest nim opozycja, jaka uformowała się w stosunku do niego wśród duchowieństwa. Prymas nie dopuszcza ona możliwości kontynuowania dotychczasowej „linii”. Prymas nie jest dyktatorem więc nie może działać wbrew poglądom swego kościelnego środowiska a również wbrew ostremu pouczeniu Jana Pawła II w Polsce, że „najważniejsza jest w Polsce kolegalna jedność episkopatu”.

Złagodzenie kontrowersyjnego charakteru wystąpień Prymasa jest w dużym stopniu wynikiem wytworzenia się opinii publicznej w Kościele. Obawy, że krytyka w obrębie Kościoła może doprowadzić do jego osłabienia nie

sprawdziły się. Kontrowersje wokół Prymasa, niezależnie od tego jak były one bulwersujące, wzbogaciły nasze narodowe doświadczenia (trudna do uniknięcia zawadność czynnika ludzkiego w Kościele — również i w Polsce) a intryganci polityczni reżimu dostali trochę po łapach. Machiawelska koncepcja, że wystarczy wejść „w układy” z Prymasem, aby podporządkować sobie całe społeczeństwo i zdezorientować polityczną opozycję — okazała się nierealna. Opinia publiczna w Kościele, jej cicha lecz intensywna presja, przekreśliła takie rachuby a Kościół zachował swą jedność.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Nazwisko znane Redakcji

Kraków, lipiec 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 6 *Kultury* z bieżącego roku ukazał się artykuł zatytułowany „Sytuacja w środowiskach artystycznych Krakowa” zawierający szereg nieścisłości, do prostowania których nie czuję się jednak upoważniony. Zatrzymam się tylko nad tym, co dotyczy mnie osobiście. Otóż tekst ten zawiera zdanie: „Wielu literatów i dziennikarzy jest na rencie tzw. ‘twórczej’, którą załatwili sobie po 13 grudnia — renta w wysokości pensji docenta PAN”. Pragnę stwierdzić, że renta, jaką otrzymywałem w związku z chorobą nerek od października 1982 do maja 1985 roku, wynosiła 6.440 złotych, a więc tylko nieco więcej niż jedną trzecią owej pensji docenta. Odcinek renty w załączeniu. Wysokość tych świadczeń, o jakiej mowa w tekście jest bajką.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Jerzy SURDYKOWSKI

New Haven, USA, 10 lipca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wielce spóźniona lektura „Rozmowy z Jeane Kirkpatrick” w kwietniowym numerze *Kultury* nasunęła mi pewne refleksje, którymi chciałbym podzielić się z Panem i czytelnikami Jego pisma. Muszę z góry zaznaczyć, że od wydania w 1980 roku mej książki *The United States and Poland*, polityką zagraniczną USA nie zajmuję się już „zawodowo”, ale raczej po amatorsku.

Uwagi Jeane Kirkpatrick o Jalcie (konsekwencje nieuniknione czy do uniknięcia?) raz jeszcze potwierdzają dość ograniczony walor wywiadu jako źródła, zwłaszcza gdy chodzi o analizę przeszłości. Ciekawsze są sformułowania Kirkpatrick o nikłym stopniu amerykańskiego zainteresowania gospodarczego i strategicznego Europą środkowo-wschodnią, jak też i jej zdania na temat czynnika moralnego czy moralizatorskiego w polityce zagranicznej Stanów. Nie dlatego, aby powiedziała coś nowego, ale właśnie dlatego, iż reprezentuje tu punkt widzenia głęboko zakorzeniony w Ameryce, często niezależny od ideologii i stanowiska w sprawach wewnętrznych. Z kolei jej głębokie przeświadczenie o skuteczności sankcji wobec PRL i jej życzenia „aby pozwolono Polsce zbankrutować” odzwierciedlają chyba nastawienie „bojowego” skrzydła rządowego, raczej spod znaku Weinbergera.

Na marginesie powyższego wywiadu pozwolę sobie druznić parę obserwacji. W niedawnej rozmowie z dość wysoko postawionym urzędnikiem Departamentu Stanu, zapytałem czy można obecnie mówić o jednej (całościowej) polityce wobec ZSSR i bloku wschodniego — w ramach której to polityki kurs wobec Polski jest wypadkową kursu wobec Rosji i przez niego uwarunkowany — czy też o różnych politykach odnośnie poszczególnych

państw bloku? Sprawa ta, wielokrotnie dyskutowana w przeszłości, figuruje w paru miejscach mojej książki. Mój rozmówca odpowiedział, że nie mamy do czynienia z jedną polityką, na przykład stosunki USA z Sowietami poprawiają się podczas gdy z PRL wyraźnie się pogarszają. Nie negując tego faktu, można jednak upierać się nadal przy tezie, że prymat polityki wobec Rosji jest nadal oczywisty, rozumując następująco:

(1) pogarszająca się sytuacja w PRL jest wynikiem presji Moskwy; (2) USA, chcąc sytuację poprawić winny skoncentrować swą presję na Moskwę, uzależniając poprawę stosunków Waszyngton-Moskwa od polepszenia się sytuacji w PRL; (3) USA nie robi tego, co może być jedynie odczytane na Kremlu jako niechęć do zaostrzenia stosunków amerykańsko-rosyjskich, które mają znaczenie nadrzędne; (4) USA daje upust swemu niezadowoleniu — ważną rolę spełnia tu wyżej wspomniany czynnik moralny — traktując sankcje już nie jako instrument nacisku, ale raczej jako narzędzie „kary”; reżym jest karany za zaostrzony kurs wewnętrzny.

Wydaje się, że w obecnej chwili trudno znaleźć jakąś ogólną nazwę-slogan dla określenia polityki Reagana wobec Europy środkowo-wschodniej. W przeszłości mieliśmy politykę powstrzymywania (*containment*), zimnej wojny, budowy mostów, zaangażowania, odprężenia, praw ludzkich itp. Naklejka nie zawsze oddawała wiernie zawartość danej polityki, ale z grubsza wskazywała kierunek. Obecnie *détente* (odprężenie) jest w pewnej pogardzie w Waszyngtonie, co wynika częściowo z niezrozumienia faktu, że odprężenie jest tylko pewną fazą polityki i odbiciem danej sytuacji a nie *programem* politycznym *per se*, a tym mniej panaceum. Ale w tym kraju, gdzie rząd musi „sprzedawać” kurs polityczny kongresowi i wyborcom, którzy „kupują” go lub nie, reklama oferowanego towaru gra zasadniczą rolę. Czy istnieje w tej chwili coś więcej niż zbitka polityki rokowań z pozycji siły — znów metoda raczej niż program — z deklaracjami na temat poszanowania zasad moralnych, prowadzącymi niekiedy do świętego (i *nota bene* słusznego) oburzenia? Jeśli tak, to jest to brak wyraźnej koncepcji. Daje się także odczuć brak elastyczności w rokowaniach czy naciskach.

Może jestem jednakże zbyt wielkim pesymistą. W nadziei, iż moje obserwacje spotkają się z przekonującymi kontr-argumentami.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę

Piotr WANDYCYZ

## SPROSTOWANIE

Chochlik drukarski sprawił, że w tytule artykułu Jana Lityńskiego i na paginach zamiast słowa *racjonalizm* jest „nacionalizm”. Przepraszamy Autora i Czytelników.

REDAKCJA



TOM 398 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

## ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił w jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie.*

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

TOM 400 — CZESŁAW MIŁOSZ

## NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.

TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

## DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytyramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

## NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.

TOM 404 — ADAM MICHNIK

## Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

- Grupa Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Kitchener, Ontario (Kanada) — na pomoc dla ludzi więzionych, prześladowanych i pozbawionych pracy w Kraju oraz ich rodzin (nadesłała skarbnik — Teresa Gromek) — \$ c. 500,00 F. 3.100,00
- Jan Kisiel, Darek Niworowski, Paweł Piechura i Edward Siwiec, Nowy Jork — za zakup sprzętu dla „Solidarności” Walczącej we Wrocławiu — \$ 22,00 F. 182,60
- Gena Kliszewska, Los Angeles, CA (USA) — jako jeden z prezentów dla pp. A.P. — \$ 20,00 F. 166,00
- A. Lepsy, Toronto, Ontario — na cele „Solidarności” w Polsce — \$ c. 100,00 F. 620,00
- Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston na rzecz „Solidarności” Podziemnej złożyli: Ks. A. Nadzieja, W. Ostrowski, W. Szypszak i Z. Padzik — po \$ 10,00; T. Daniszewski, C. Rybak, W. Micherda, A. Kruczyński, T. Wojdakowski, W. Wierzbowski, M. Stankiewicz, A. Kangur, W.G., P. Janik, Z. Wallek i Z. Łabejsza — po \$ 5,00; na ten sam cel w Redakcji *Listów do Polaków*: R. Figurniak i Leszek z Gdańska po \$ 20,00; M. Orłowski — \$ 10,00; Z.G. z Wiednia \$ 5,00; razem: — \$ 155,00 F. 1.286,50
- Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston na rzecz „Solidarności” Podziemnej złożyli: Ks. A. Nadzieja, W. Ostrowski, W. Szypszak i Z. Padzik — po \$ 10,00; S. Borucki, W. Wierzbowski, C. Rybak, W. Micherda, A. Kruczyński, T. Wojdakowski, T. Daniszewski, M. Stankiewicz, M. Olech, I. Bielak, A. Biedak, Z. Wallek, W.G. z Cambridge, P. Janik, T. Pokarski i S. Borucki — po \$ 5,00; na ten sam cel w Redakcji *Listów do Polaków*: Turysta z Polski — \$ 10,00; G. Kliszewska z Los Angeles na rzecz rodzin uwięzionych działaczy „Solidarności” — \$ 10,00; razem: \$ 140,00 F. 1.162,00
- Polish Canadian Action Group „Solidarność i Niepodległość”, Toronto, Ontario — na pomoc „Solidarności” w Polsce \$ c. 1.050,00 (w tej sumie, nadesłanej przez skarbnika B. Lewandowskiego, mieści się \$ c. 50,00 — dar p. W. Dufeka, prezesa Czechoślowskiego Legionu w Kanadzie) .. F. 6.510,00
- Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość — Solidarność”, Calgary, Alta (Kanada) — (Jan Moczulak) — na działalność podziemnych struktur NSZZ „Solidarność” — sumy uzyskane z następujących źródeł: dochód z zabawy zorganizowanej 8 czerwca br. — \$ c. 996,17; dar pp. Elżbiety i Janusza Radziłło — \$ c. 50,00; dar anonimowego uczestnika zabawy — \$ c. 210,00 — razem: \$ c. 1.256,17 F. 7.788,25
- Roma Starczewska, Alexandria, VA (USA) — na pomoc prześladowanym członkom „Solidarności” i ich rodzinom w trzecią rocznicę śmierci Ojca, Karola Kucińskiego — \$ 13,00 F. 107,90
- Szczupak na „Solidarność” .. F. 780,00
- Jan Zybała, Lakewood, Col. (USA) — \$ 6,00 F. 49,80

### WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

- E.M., Paryż — na prześladowanych w Polsce .. F. 200,00
- „Pomost” — Ruch Społeczno-Polityczny w Nowym Jorku — na fundusz niezależnej prasy w Polsce — TZR Wielkopolska — sumę uzyskaną ze sprzedaży biletów 100-złotowych, wy-

danych przez Region Wielkopolska (nadesłał Dariusz Szczepańczyk) — \$ 500,00 .....	F.4.150,00
Polacy i ich szwajcarscy przyjaciele z okolic Zurychu i Baden, sumę zebraną na spotkaniu towarzyskim .....	F. 462,13
T.R., Kanada — na fundusz pomocy prasie podziemnej w Kraju — \$ 200,00 .....	F.1.656,12
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Sztokholm) — Krs 150,00 .....	F. 150,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce — Fr.szw. 30,00 .....	F. 108,00
Z.Ch., Sztokholm — zamiast kwiatów na grób Joli Wróblewskiej, zmarłej w maju 1985 r. w Dinard (Francja) — Krs 200,00 .....	F. 200,00
◆	
C. i I. Czuchwicy, Panorama, SA (Australia) — na: Fundusz „Kultury”, po raz 16-ty .....	F. 400,00
Fundusz Drukarski im. W. Głowackiego .....	F. 400,00
S. O. Coordination Pologne .....	F. 300,00
◆	

Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadesłali: przewodniczący Komitetu Bonawentura Migala i skarbnik Jan Jurewicz): — na NSZZ „Solidarność” w Kraju — \$ 2.000,00 ....	F.16.600,00
— na Fundusz drukarsko-dziennikarski im. Władysława Głowackiego — \$ 1.000,00 .....	F.8.300,00
◆	

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — dla rodzin uwieczonych — \$ 50,00 i na prasę podziemną — \$ 50,00 — razem: \$ 100,00 .....	F. 830,00
--	-----------

### WPLATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Hyde Park (Australia) .....	F. 329,93
Andrzej M. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 .....	F. 305,00
Czesław M. Foksowicz, Edmonton, Alta (Kanada) — \$ c. 100,00 .....	F. 620,00
M.I., Michigan (USA) — \$ 500,00 .....	F.4.150,00
M.Z. z Lagen (RFN) — zamiast kwiatów na grób zmarłej w Warszawie Zofii Wardeckiej — DM 50,00 .....	F. 152,50
Andrzej Piotrowski, Chicago, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób jachtowego kapitana Janusza Kirszaka — \$ 20,00 .....	F. 166,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr.szw. 30,00 .....	F. 108,00
Aleksandra i Wiktor Szostało, Saint Louis (USA) — zamiast kwiatów na grób jachtowego kapitana Janusza Kirszaka z Kołobrzegu — \$ 20,00 .....	F. 166,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1985.

Imprimé en France  
N° d'imprimeur 7272.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1985			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 .....	\$ A. 6,50	\$ A. 35,00	\$ A. 67,00
AUSTRIA: Henryk Odianicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » .....	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Villingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379178.	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brocard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Mallinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowlec »), 1638 Bloor St. west, Toronto, Ont. M6P 4A8 .....	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY: St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalkstragatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgironkonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosluch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457 .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 405 — JAN MUR

### **DZIENNIK INTERNOWANEGO**

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.

TOM 407 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### **ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI**

Zawiera m.in. opracowania: R. Gorczyńska: *Wacław Jędrzejewicz — kronikarz epoki Piłsudskiego*; J. K. Zawodny: *Wywiad z G. F. Kennanem „U źródeł Jałty”*; M. Budny: *Epilog polskiej służby zagranicznej*; *Proces morderców ks. Jerzego Popiełuszki*; Z. S. Siemaszko: *Wileńsko-noworódzkie telegramy. Lato 1944* oraz obszerne działy: **WSPOMNIENIA, BIBLIOGRAFIA, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240.

Cena F. 60,00.

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

### **ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC**

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcjonarz wileńskich ulic*; *Do Tomasa Venclovy*; *Noty o wygnaniu*; *List półprywatny o poezji*; *Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem)*; *Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szeszow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

### **“PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)**

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaaresztowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.